

HENRYK BRANDT

PAMIĘTNIKI
OFICERA POLSKIEGO

(1808-1812)

przekład z niemieckiego

M.G.

z przedmową prof. SZYMONA ASKENAZEGO

Część III.

WARSZAWA

DRUKARNIA
A. T. JEZIERSKIEGO
47. Nowy świat 47.

1904.

18-go lipca wyruszyliśmy do Bobrujska pospiesznym marszem przez błota i piaski. Przybyliśmy dopiero po południu, mimo, że wyszliśmy bardzo rano i rozłożyliśmy się biwakiem niedaleko miasta. Miasto nie było całkowicie ogołocone z żywności, a przytem nieźle zabudowane, naturalnie stosunkowo do skali przyjętej w tym kraju. Tylko część mieszkańców uciekła. Żydzi dostawili do obozu mnóstwo rzeczy i wiadomości o tem i owem. Pogoda była piękna, ale noc przejmująco zimna. Rankiem cała równina pokryta była gęstą, przenikliwą, niezdrową mgłą, która rozeszła się późno. Ugotowaliśmy tam posiłek i około 10-ej wyruszyliśmy w kierunku Tołoczyna, gdzie doszliśmy tego samego dnia (19-go), ale dopiero około 7-ej wieczorem, przebywszy zaledwie trzynaście wiorst. Musieliśmy często przystawać; co chwila zdawało się, że nadchodzą kozacy, albo że się ich widziało. Tołoczyn, miłe i dość duże miasteczko, po pierwszym rozbiorze Polski punkt stanowiło graniczny i miało kilka porządných celnych budynków, które stały się bezużyteczne, odkąd granica została przesunięta do samego Niemna. Niedaleko

6

od miasta był klasztor, miasto było nieźle zabudowane, a na ulicach sporo ludzi. Obóz nasz, rozłożony o ćwierć mili od miasta, odwiedzany był licznie przez mieszkańców, bardzo przyjaźnie dla nas usposobionych. Uprawa ziemi w tej okolicy była staranniejsza, znać było we wszystkim silną, kierującą rękę. Drogi były lepsze, a mianowicie rozpoczynający się tu wielki gościńiec do Smoleńska, szeroki i dobrze utrzymany, po obu stronach wysadzany dwoma rzędami wysokich brzoź. Dwie trzecie tej drogi podobne były do łąki. Zwykle jadący zajmowali jedną stronę gościńca, tak, że druga była zawsze dobra i nie było nigdzie głęboko powyjeżdżanych wybojów. Na każdej wiorście były wysokie murowane słupy, a na nich wypisana odległość Smoleńska, od Moskwy i najbliższego gubernialnego miasta. Szeroki gościńiec dawał jednocześnie wygodne miejsca wypoczynku dla zwierząt pociągowych, przy licznych wozach, które tędy przejeżdżały.

Położenie Tołoczyna jest bardzo obronne i sądzę, że nawet z niewielkimi środkami możnaby się tam bronić i nie oddać go bez wielkich strat nieprzyjacielowi. Rosyanie oddali je naszej konnicy bez jednego wystrzału.

20-go rano poszliśmy do Kochanowa, nędznej dziury. Droga nie była zła, ale czas niepogodny. Nasz obóz stanął na gościńcu do Orszy, ale strześliśmy także i drogi do Obolca — Sienna. Grouchy poszedł ze swoją konnicą przez Babinowice do głównego korpusu armii, do Witebska.

Porozstawialiśmy starannie forpocztę; krążyły wieści, że Rosyanie są w pobliżu. Rzeczywiście kozacy podchodzili do nas bardzo blisko. Nawet podczas nocy musieliśmy wysyłać podjazdy dla przeszukania okolicy. To tu, to tam słyhać było strzały i mówiono, że to patrole armii Barclaya de Tolly, które usiłowały dotrzeć do wojsk Bagrationa. Na nieszczęście, pozostaliśmy na tem samem miejscu przez

7

cały dzień następny. Czekaliśmy na rezultat wyprawy Colberta, który posunął się do Orszy. Zajął on to miejsce przeprawy przez Dniepr, które w historii wojen rosyjsko-polskich odgrywa tak wielką rolę i zdobył znaczne magazyny i zapasy paszy. Ale że zmuszony był wkrótce opuścić miasto, wszystko to dostało się mieszkańcom.

22-go lipca wyruszyliśmy nagle i skierowaliśmy się tym razem na południe, do Starego-Sioła. Droga była bardzo zła i utrudzająca, ale pogoda znośna. Rozbiliśmy obóz w lasku. Mięsa nie brakowało, wódka była, ale droga, chleba było mało, soli także.

Doszła nas tam wiadomość o gorącej rozprawie pod Mohylowem pomiędzy rosyjskimi i fracuskiemi wojskami, pod dowództwem Bagrationa i Davousta.

24-go przeszliśmy przez to miasto. Mohylów był bezsprzecznie największem i najładniejszym miastem ze wszystkich, przez jakie przechodziliśmy od Wilna. Powitano nas tam przyjaźniej niż w Wilnie. Położenie miasta nad Dnieprem, jako też i ta okoliczność, że od 1772 roku było ono miastem pogranicznym, wpłynęły na jego zamożność. Było tam kilka ulic takich, jakich nie powstydziłoby się wówczas żadne prowincjonalne miasto niemieckie. Znaczna liczba kościołów nadawała cechę pewnej odrębnej religijności, bo była tam stolica biskupstwa katolickiego i obrządku prawosławnego. Gubernator, książę Tołstoj, pozostał w mieście do ostatniej chwili. Człowiek ten energiczny i wykształcony nie wiedział nic o zbliżaniu się Francuzów i nie zdążył zniszczyć dużych i bogato zaopatrzonych magazynów.

Zaledwie urządziwszy się w obozie, pobiegliśmy na pobojuwisko z poprzedniego dnia. Pozycja zajęta przez doświadczonego w bitwach francuskiego marszałka, była doskonale obrona, a dobremu użytkowaniu wojsk, jeszcze lepszemu ich rozmieszczeniu,

8

oraz ich męztwu zawdzięczaliśmy zwycięstwo. W 30 lat później rozmawiałem o tej bitwie z generałem Achardem, który brał w niej udział osobiście jako pułkownik 108-go pułku i jeszcze wtedy przejęty był trafnością rozporządzeń marszałka i męztwem, jakiego dowody dali jego żołnierze w tej bitwie. Pobojuwisko pokryte było poległymi obu armij, trupy Rosyan, jak na wszystkich prawie polach bitew, obdarte do naga. Pokazywano nam dom, w którym Davoust o mało nie został zabity. Śledził on przez małe okienko ruchy nieprzyjaciela, kiedy kula armatnia zdruzgotała belkę, której kawałki spadły do pokoju, a największy z nich potrafił prawie marszałka. Oficerowie, będący świadkami bitwy, a niepozobawieni daru obserwacji, pewni byli, że Rosyanie są dużo silniejsi i że można każdej chwili obawiać się, iż okrążywszy prawe skrzydło francuskie, postawią główny korpus w położeniu niebezpiecznem. Sam marszałek i wszyscy wyżsi oficerowie byli ogólnie tego przekonania, że Rosyanie skorzystają w ten sposób ze swojej przewagi.

Davoust miał rzeczywiście siły zanadto rozproszone i z pewnością nie byłby w stanie odeprzeć dobrze poprowadzonego ataku przeważających sił rosyjskich. Ale prawdopodobnie, a raczej napewno, generał rosyjski myślał tylko o tem, ażeby od nieprzyjaciela odgradzić się Dnieprem i bez przeszkody odbyć pochód do Smoleńska, gdzie go wzywały naglące rozkazy. Gdyby zaś po doskonale udanym ataku pod Starym-Bychowem posunął się był zaraz do Mohylowa, a mógł to uczynić, nie wiem, co byłoby się stało z marszałkiem Davoustem. Przesadzony raport generała Paskiewicza, dowodzącego lewem skrzydłem

nieprzyjaciela, któremu zdawało się, że widział przed sobą jakoby 20,000 ludzi, jak również przekonanie samego Bagrationa, który o wiele przeceniał siły przeciwnika, a wreszcie obawa, żeby armia dowodzona przez Hieronima podczas walki

9

nie nadeszła i nie zajęła mu tyłów, wszystkie te względy musiały wpłynąć na ten brak energii u Rosyan. Wprawdzie w bitwach pod Mirem i pod Romanowem atak Polaków został energicznie odparty, ale Rosyanie musieli zrozumieć, że lepsze poprowadzenie licznej, pięknej i odważnej jazdy polskiej, stojącej naprzeciw nich, (sam Latour-Maubourg miał 17 pułków jazdy i 27 polnych dział do swego rozporządzenia), mogłoby być dla nich niebezpieczne i dlatego przełożyli pewne nadniepewne. Wzmiankowane bitwy należą do najpiękniejszych, jakie stoczyła kiedykolwiek konnica. Pierwszy polski pułk strzelców konnych pod pułkownikiem Przebendowskim, który pod Romanowem miał przeciw sobie całą liczną rosyjską straż przednią, w tem starciu postradał więcej niż połowę ludzi. Otoczony ze wszystkich stron, przerznął się przez dziewięć linii nieprzyjacielskich i powrócił szczęśliwie do głównego korpusu, który niepojętym sposobem nie posłał mu na pomoc ani jednego szwadronu. Pułk ten składał się przeważnie z ludzi z nad brzegów Warty, synów tam osiedlonych Niemców, ale oficerowie wszyscy byli Polacy.

26-go wyszliśmy rano i uszliśmy 13 wiorst do Żukowa, gdzie rozłożyliśmy się obozem.

28-go rano poszliśmy do Szkłowa, dokąd skutkiem różnych okoliczności dostaliśmy się późno. Pochód nasz miał w sobie jakiś niepokój, co chwila przybywali adjutanci, tu i owdzie kazano nam przystawać. Szliśmy jakby na bitwę. Pod Szkłowem porostawialiśmy forpocztę, patrolowaliśmy gorliwie przez całą noc, a rankiem około 10-ej doszliśmy w okolice Orsży, zrobiwszy w ciągu 13 godzin 33 wiorsty. Zastaliśmy tam cały korpus Davousta, który nadszedłszy z różnych stron, zebrał się w tem miejscu. Dzień był zimny i nieprzyjemny, szczególnie wiatr wiał z wielką gwałtownością. Ponieważ rozrzucił ciągle porostawianą w kozły broń, żołnierze,

10

chcąc tego uniknąć, pozatykali karabiny bagnietami w ziemię, co naturalnie nie przyczyniało się do dobrego ich zakonserwowania. Jenerał Chłopiccki wpadł z tego powodu w wielki gniew, rozkazał karabiny poukładać na ziemi i zabronił podobnego niedbalstwa pod groźbą surowych kar. Francuzcy jenerałowie byli na to daleko pobłażliwsi i mówili, że to było *un usage à la grande armée d'Allemagne*.

Wyszliśmy około południa, pozostawiając Dniepr po prawej stronie. Pochód był ciężki, co chwila przerywany. Marszałek jechał lekkim powozikiem to naprzód, to w tył, rozglądał się na wszystkie strony, wyszedł po drabinie na dach jakiegoś odosobnionego domu i rozpatrywał się naokoło przez lunetę. Nad wieczorem przystaliśmy w miejscowości zwanej Towolin, czy Trolino. Zabieraliśmy się tam urządzić na noc, kiedy nadszedł rozkaz posuwania się dalej. Szliśmy z różnemi przystankami przez całą noc i stanęliśmy w końcu pod Bilnikami, gdzie rozłożyliśmy się obozem.

Mówiono, że Rosyanie są blisko, widać było w niektórych otwartych miejscach kozaków, lecz bardzo daleko; od czasu do czasu padał strzał. Ale nikt nie wiedział dokładnie nic, ani nawet w sztabie dywizyi nie miano wiadomości.

1-go sierpnia wyruszyliśmy nagle w pochód, ale tym razem wstecz. Szliśmy pośpiesznie napowrót tą samą drogą, którą przyszlismy, i nocą biwakowaliśmy znów w pobliżu Towolina. Chodziły pogłoski o Płatowie, który miał być tuż, o armii Bagrationa, której kolumny miały się pokazywać w okolicy, Davoust podwajał swą czynność, ale brakowało mu wszelkich dokładnych wiadomości. Dowiedzieliśmy się od polskich oficerów, których używano często do służby kurierskiej, o posuwaniu się cesarza ku Witebskowi, o bitwie pod Ostrowcem, o zdarzeniach pod Drują, o jenerale St. Genie, o posuwaniu się Oudinota ku Dynaburgowi i t. d.

11

2-go sierpnia, o dziewiątej rano, dywizya ruszyła. Gorąco było wielkie, pochódniesłuchanie powolny, marszałek podwójnie czynny, widać go było to na koniu, to w powozie, na każdym wynioślejszym punkcie, w każdym budynku, z kądem widok był rozleglejszy. Nasi flankierzy widocznie staczali potyczki z nieprzyjacielem, bo choć nie było słyhać strzałów, widać było dym karabinowy i rosyjskie oddziały. Koło południa doszliśmy nad brzeg Dniepru, przez który przeszliśmy po moście łyżwowym. Francuzi, którzy dużo słyszeli o te j rzecze, zadziwieni byli bardzo, widząc, że jest tak nieznaczna.

— *Cela ne raut pas la peine de l'avoir passé* — mówili żołnierze, którzy walczyli nad Dunajem i znali Tag hiszpański.

— *Il est comme la Russie, vue de loin c'est quelque chose, c'en est rien, touché de près* — żartowali, przechodząc przez rzekę, którą niewielu z nich miało zobaczyć z powrotem.

Pod Dubrownem rozłożyliśmy się obozem, o ćwierć mili od miasta. Deszcz padał gęsty. Dubrowno, małe, ale czyste miasteczko w województwie Witebskiem położone, całe drewniane, leży przy ujściu małej rzeczki Krupiny do Dniepru; jest tam doskonały punkt do przeprawy przez rzekę, z którego korzystali kolejno to Polacy, to Rosyanie.

Przy wyjściu dowiedzieliśmy się, że Płatow ze swoimi kozakami właśnie tylko co tędy przeciągał i stanął na odpoczynek niedaleko od nas i że armia Bagrationa, którą ścigaliśmy od 40 blisko dni, uszła szczęśliwie do Smoleńska. Plan Napoleona, polegający na tem, ażeby wpaść na obie rozdzielone armie rosyjskie i przynajmniej jedną z nich rozbić, został zniweczony z winy Hieronima. Gdyby jego działania prowadzone były rozumniej i energiczniej, bardzo jest prawdopodobne, że Bagration, pociągnięty ku południowi, nie uszedłby zguby.

W Dubrownie było dużo wyższych i sztabowych

12

oficerów z głównej kwatery. Sam Davoust zajmował w pobliżu zamek księcia Lubomirskiego, którego synowie podobno służyli w armii rosyjskiej.

Ponaznaczano w mieście miejsce dla każdej dywizyi i zawiadomiono, że zatrzymamy się tu dłużej, skutkiem czego trzeba założyć kompletny obóz. Zrobiono to niezwłocznie, bo było dużo słomy, a sąsiedni las dostarczył budulca i po upływie dwóch dni mieliśmy już doskonałe baraki, w których lepiej byliśmy umieszczeni, niż w lichych domostwach. Obozowaliśmy na drodze do Sawina, inne dywizye półkolem otaczały miasto. Pułk jazdy portugalskiej na rozległej płaszczyźnie pełnił służbę przy forpocztach, a piechota podtrzymywała go na wypadek potrzeby. Dostawa żywności została uregulowana zaraz po naszym przybyciu. 4-go odbył się przegląd pułku i wypłata dwumiesięcznego żołdu. Zakazano pod najsurowszą karą pustoszenia i

rabunków, a kilku żołnierzy francuskich, przydybanych na gorącym uczynku, zostało rozstrzelanych. Utworzono oddziały robotnicze, składające się z gorzelników, piwowarów, piekarzy, rzeźników i ich pomocników. Rosyjscy jeńcy i dezercerzy, których to ostatnich znaczną liczbę nam dostawiono, byli im dodawani do pomocy i stanowili doskonałą służbę. W okolicznych wioskach pourządzano budynki, w których pieczono chleb, gotowano i pędzono okowitę. Żołnierzom kazano kosić, zbierać zboże, młócić, mleć i wypiekać chleb. Nasi ludzie mieli zboże we młynach, najczęściej tylko na razówkę. Francuzi mieli ręczne młynki, na których 6 — 8 ludzi mogło w ciągu dnia zemleć zboża na 250— 260 porcy. Ale nam się one nie dostały. Jednocześnie znoszono do obozu olbrzymie zapasy paszy, z których codziennie pozostawały oszczędności; baraki zaopatrzyliśmy w krzesła i stoły, *place d'armes* przyozdobiliśmy drzewkami, które wprawdzie wkrótce uschły, ale zastępowaliśmy je ciągle świeżymi, a suche szły na ogień. Wszystko to zrobiło się z wielkimi

13

wysiłkami, ale była to rzecz główna, żeby żołnierzy czemś zająć. Nad Dnieprem został usypany szaniec przadmostowy, ale niewielki i słaby. Od czasu do czasu kozacy przerywali nasze prace. Wpadali do wiosek, gdzie szła robota, lecz dobrze zorganizowane straże i karabinowy ogień, którego unikali, trzymały ich w oddaleniu. Największe straty, jak sądzę, poniosła konnica portugalska, skutkiem ciągłych podjazdów, do jakich była używana.

Zdarzył się tam tragiczny wypadek, dobrze charakteryzujący położenie. Sierżant wołyżerów, Dachowicz, z mojej dawnej kompanii, został posłany o brzasku na rekonesans z 17 ludźmi. Był to człowiek przezorny, rozsądny, bardzo odważny i byłby pewnie został już oficerem, ale, na nieszczęście, nie umiał pisać. Może być, że posunął się dalej niż mu kazano, a może w ciemnościach zmylił drogę, dość, że obsaczyli go kozacy. Zaczął się cofać zupełnie spokojnie, odstrzeliwając się regularnie i kiedy pierwsze promienie słońca rozjaśniły widok, dochodził już do forpoczt. Jedna pikietka ruszyła mu zaraz na pomoc i zbliżając się do niewielkiego brzoźowego lasku, widziała, że Dachowicz, chociaż otoczony ze wszystkich stron, odstrzeliwiał się żwawo i trzymał kozaków w oddaleniu. Nagle ogień umilkł. Oficer prowadzący pikietę, przyspieszył kroku, ale zanim dobiegł do miejsca, na którym widział ostatnio wołyżerów, zobaczył kozaków odjeżdżających kłusem. Porucznik Milewski, który prowadził oddział, nie wróżył sobie z tego nic dobrego i nie pomylił się. Został wszystkich ludzi zakłótych i to może zaledwie o 50 kroków od brzoźowego lasku, o którym wspominałem. Prawdopodobnie, dochodząc do lasku, puścili się biegiem i z tej chwili skorzystali kozacy, wyćwiczeni w tego rodzaju walce, żeby na nich uderzyć. Wiadomość o tem nieszczęściu wywołała wielkie wzburzenie w obozie, tem większe, że sierżant Dachowicz był osobistością bardzo lubioną i szanowaną

14

w całym pułku. Niektórzy przypisywali to nieszczęściu zbyt ostrożności dowódcy pikietki, który jakoby nie dość śpiesznie i energicznie podążył mu na pomoc. Wyprawiono natychmiast 1 szwadron, 1 batalion i 2 działa w tę stronę, w którą uciekli kozacy, ale pomimo, że ten oddział posunął się o całą milę, nie spotkał ani śladu nieprzyjaciela. Wprawdzie porucznik Borakowski, który dowodził działami, utrzymywał, że widział kolumnę jeźdźców, stojących w ukryciu i zapewne czatujących na dalsze posunięcie się batalionu, ale kilku zaledwie żołnierzy potwierdziło jego spostrzeżenie. Ja tymczasem kazałem pogrzebać wołyżerów, którzy wszyscy byli mi osobiście znani, z którymi razem, mogę powiedzieć śmiało, nauczyłem się być żołnierzem. Nie mogłem się powstrzymać od łez, kiedy spuszczone do grobu mojego wiernego Dachowicza, miał on jedenaście pchnięć, z których większa część śmiertelnych. Teraz jeszcze stoi mi jak żywy przed oczyma, jak wtedy, kiedyśmy pod wodzą Chłopickiego zdobywali szturmem Col de Villastar, zjednywając sobie pochwałę generała. Był on typem obowiązkowego, wiernego, oddanego oficerom żołnierza, jakich tak wielu widzi się na niższych stanowiskach, a których tak rzadko spotyka uznanie. Wszyscy sierżanci kompanii, Dachowicz, Ziemiński, Wasilenko i Piotrowski, byli tego samego pokroju, wierni nam aż do śmierci i często dawali tego dowody.

Nadzwyczajnym jakimś sposobem nie było nigdzie naokoło nas ani jednego poległego Rosyanina, pomimo, że wielu naszych żołnierzy wystrzeliło 10 — 15 naboju, a Rosyanie bywali często pod ogniem ich celnych strzałów. Przypuszczać można, że kozacy zabierali z sobą ciała zabitych, do czego nie brakowało im ani koni, ani ludzi.

Podczas kiedyśmy tam stali, nadciągnęło kilka *bataillons de marche*, złożonych z żołnierzy, którzy pozostali w tyle podczas pochodu. I nam przybyło

15

przez to 400 ludzi. Oficerowie ich nie mogli się dość naopowiadać o *désordres inouis*, jakie się działy na tyłach armii; zapewniali, że cały korpus takich *traineurs de sabre* rozproszył się po kraju i że generałowie Hagendorp i Bronikowski wyprawili przeciwko nim z Wilna i z Mińska kompletne *colonnes mobiles* i to z rozkazem doprowadzenia do porządku *cette canaille de vive force*. Ale gdziekolwiek pojawiły się te kolumny, maruderzy uchodzili przed nimi; mówiono, że obozują po lasach oddziałami po kilkuset ludzi i urządzają ztamtąd zupełne wyprawy na rabunek. Wszystko to mówili oficerowie, którzy byli odkomenderowani z rozmaitych oddziałów do prowadzenia tych *bataillons de marche* i oburzeni tem wszystkim, co widzieli i słyszeli.

Dzięki energii i gorliwości, jaką marszałek rozwinął przy zaprowiantowaniu armii, byliśmy ciągle dobrze i regularnie żywieni, a przy wyjściu każdy pułk został zaopatrzone w rację chleba, kaszy, mąki, wódki i mięsa, *vivres sur pied*, na przeciąg dwóch tygodni. Marszałek posyłał od czasu do czasu niespodziewanie oficera, który był obowiązany rewidować zapasy żywności; w codziennych raportach zdawano sprawę z tego, co zostało zabrane, zmielone, wypieczone i ile wyrobiono okowity. W chwili wyruszenia w pochód mieliśmy w tornistrach żywności na pięć dni, na dziewięć upakowano na wozach, idących pod bardzo ścisłą kontrolą. Sądzę, że sposób, w jaki marszałek to wszystko nadzorował, może służyć wszędzie za wzór. Dopomagały mu do tego i miejscowe warunki, łąny najpiękniejszego zboża, pokrywające rozległe równiny, wspaniała pogoda, mnóstwo rąk roboczych, jak najlepsze chęci, a prócz tego nacisk koniecznych potrzeb. O ile zaś można pochwalać ten sposób zaprowiantowania wojska, to znowu rzecz inna. Mogliśmy się wkrótce przekonać o tem, że wszystkie nasze środki ostrożności były daremne i że zbieg okoliczności zniweczył je zupełnie.

16

Prócz tego sądzą, że Francuzi w zdobywaniu prowiantu nie wydoskonali się tak, jak my. Nieznajomość miejscowej machiny, całej manipulacji żniw i t. d. utrudniała im robotę i opóźniała dużo rzeczy, wymagających pośpiechu i pracy. Również i konie ich, przeznaczone do transportów, nie były już oddawna tak dobrze żywione, jak nasze.

W obozie wrzały rozmowy wojskowo-polityczne. Mianowicie postępowanie generała Claparèda dawało powód do gorzkich przygan. Zarzucano mu wyniosłość i trzymanie się zdala od oficerów. Niektórzy posuwali się tak daleko, że utrzymywali — może niesłusznie — iż generał umyślnie robił to wszystko, żeby zmarnować polskie wojsko i uwolnić się od niego. Na poparcie tego twierdzenia rozbiegano ściśle cały nasz pochód od samego Wilna. Ganiąco częste marsze nocą, zły wybór miejsc na biwaki i sam nawet porządek pochodu. Jednocześnie roztrząsano cały sposób prowadzenia wojny, krytykowano rozprężenie w wojsku i prorokowano jak najsmutniejsze następstwa w razie, gdyby karność nie została w armii przywrócona. Wiadomości, dochodzące z obozu pod Witebskiem, niejasne pogłoski, za których wiarygodność ręczono — wszystko się składało na to, żeby nas zaniepokoić. Bardzo ważną okolicznością była odpowiedź Napoleona na adres, wręczony mu w Wilnie przez deputację sejmu warszawskiego, która doszła do nas w całej rozciągłości. Dziwili się wszyscy, jak mógł cesarz mówić o powstaniu w gubernii Mohyłowskiej, na Podolu i Ukrainie — w części kraju od tak dawna odłączonej od Polski — kiedy nie odważył się ogłosić wskrzeszenia Polski. Zakończenie jego odpowiedzi, uderzyło wszystkich, jako wymijające i zagadkowe:

„*Je récompenserai ce dévouement de vos contrées, qui vous rend si intéressant et vous acquiert tant de titres à mon estime et à ma protection par tout ce qui pourra dépendre de moi dans les circonstances*“.

17

Wyprowadzano ztąd wniosek, że może zamiarem cesarza jest utworzyć z tego kraju państwo dla któregoś z francuskich generałów. Późniejsze wyjaśnienia wytłómaczyły to jasno.

Kiedy został wydany rozkaz przygotowania się do wymarszu, utworzył się w obozie istny jarmark. Tłumy kobiet i starszych ludzi napłynęły nagle, ażeby odkupić od żołnierzy zrabowane łupy, które pościgali tu z sobą. Ławki, stołki, krzesła, garnki, kotły na wszystko znaleźli się nabywcy. Ludzie kupowali te rzeczy zrabowane tak, jak gdyby były nabyte w najuczciwszy sposób. Muszę tu jednak stwierdzić, że popęd do tego wyszedł z obozu francuskiego. Przemysł naszych ludzi nie sięgał tak daleko — pierwsi Żydzi rozpoczęli z nimi ten handel.

Z chwilą przybycia do Dubrowna zajęliśmy gubernię kurlandzką, wileńską, grodzieńską, mińską, witebską i mohyłowską, a nawet część smoleńskiej. Było to rezultatem czterdziestodniowej kampanii — pochodu na przestrzeni 80 — 100 mil. Wprawdzie stacaliśmy tu i owdzie bitwy, ścierali się mężnie z nieprzyjacielem, ale rozumieliśmy dobrze, że to są dopiero przegrywki. Wszyscy odczuwali pewne zakłopotanie — nikt nie był zupełnie pewny wygranej czuliśmy się w przededniu ważnych wypadków.

— Wszystko idzie dobrze — mówili ludzie — dopóki ciepło.

A przezorniejsi dodawali:

— Rosyanie wtedy dopiero prowadzą wojnę, kiedy im Pan Bóg pobuduje mosty, t. j. kiedy rzeki i błota pokryją się lodem.

A co wtedy pocznie nasza armia, oddalona o setki mil od swojej podstawy, w mało zaludnionym kraju, który nasi maruderzy zrabowali i zniechęcili do nas? Młodzi oficerowie byli pomimo to pełni otuchy wierzyli tak mocno w szczęśliwą gwiazdę

18

cesarza, że gdyby nam był kazał przpuścić szturm do księżycy, sądzą, że bylibyśmy odpowiedzieli na jego rozkaz tylko:

— *Marchons!*

Marzyliśmy o bitwach i zwycięztwach. Jediną naszą obawą było to, żeby Rosyanie nie zawarli pokoju i nie odjęli nam przez to sposobności okrycia się sławą. Starsi oficerowie nazywali nas szaleńcami, lub opętanymi.

Dziwnem było i to, że przez cały czas stania w obozie ani razu nie odbywał ćwiczeń nasz pułk, ani dywizya. Kompanie ćwiczyły się kiedy niekiedy jakąś godzinkę i na tem się wszystko kończyło. Za to artylerya naszej dywizyi — sformowana przez nas w Sedanie — ćwiczyła się tem gorliwiej. W Hiszpanii, w podobnem położeniu, niezawodnie bylibyśmy odbywali codzienną kilkogodziną mustrę, widocznie teraz dowódcy woleli zużytkowywać siły żołnierzy na zdobycie prowiantu dla armii.

XXXVI.

Wyjście z obozu. — Pochód do Krasnoje. — Koncentracya wojska. — Utarczka pod Krasnoje 4-go sierpnia. — Murat. — Pochód do Smoleńska. — Opis miasta. — Bitwa pod Smoleńskiem.

Dnia 13-go rankiem opuściliśmy obóz, prowadząc z sobą park artyleryi. Dywizye szły w znacznem od siebie oddaleniu, a za niemi konie wierzchowe i juczne; parki artyleryi tworzyły na końcu korpusu nieprzejrzaną kolumnę, ale wszystko szło w porządku. Dywizya rozłożyła się biwakiem niedaleko Kozian — w miejscowości nazwanej w rozkazie dziennym *Okulakua* (?). Było pogodnie, ognie biwaków płonące na wszystkie strony, od których łuna czerwieniła niebo, świadczyły o wielkiej liczbie

19

Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że cesarz jest blisko, że wielka armia przeszła Dniepr, że mamy uderzyć na Smoleńsk od południa i że Rosyanie czekają tam na nas. Około 9-ej rano 14-go poszliśmy dalej. Kolumny co chwila zatrzymywały się, gęsta kurzawa otaczała wojsko, zaledwie na kilka kroków przed sobą można było coś widzieć. Przytem krzyżowały się tu często kolumny, piechota i jazda szły bokiem gościńca, a artylerya i parki samym środkiem drogi. Pochód nie odznaczał się osobliwszym porządkiem, karność była podobna do tej, jaka panowała przy przejściu Niemna; każdy chciał być pierwszym, nikt nie chciał czekać. Klótnie w kolumnach nie ustawały ani na chwilę i często zamieniały się w krwawe bójki. Przeszedłszy przez miejscowość zwaną *Ljady*, rozłożyliśmy się obozem, przyczem zetknęliśmy się z gwardyą, przy której już pozostaliśmy od tej pory. Nasze piękne kolumny, zorganizowane w Dubrownie dla obrony zapasów, w pierwszym zaraz dniu pochodu zostały od nas

odłączone, i zobaczyliśmy je dopiero po wejściu do Moskwy. Oficer, wysłany na ich poszukiwanie z Ljad, ujechał przeszło dwie mile, nie napotkawszy ich śladu.

Grouchy i Nansouty wyparli Rosyan w stronę Krasnoje, gdzieś tam leżały ciała poległych. Przypuszczenie, że Rosyanie pod Krasnoje zechcą stawić nam opór, spowodowało skoncentrowanie armii i dało nam rzadko spotykany widok zebrania w jednym miejscu całego wojska. Gwardya i nasza dywizja stały na grzbiecie wzgórza, z którego był rozległy widok na wszystkie strony. Przed nami — w stronę Krasnoje — stał 3-ci korpus. Na widokregru zamykali linię kirasyerzy, na których hełmach i pancerzach odbijały się promienie słońca; w stronę Ljad posuwały się długie linie piechoty i konnicy. Po obu stronach gościńca roztaczała się panorama z żywymi postaciami, a drogi, na których

20

parki artylerii; podnosiły obłoki kurzawy, podobne były do węży pełzającego z wolna po równinie. Nie było słychać strzałów, tylko widniały po za Krasnoje długie linie wojsk — drogą od tamtej strony powracali pojedynczo ranni jeźdźcy. Na tyłach armii można było śledzić przez całe mile kolumny toczące się powoli gościńcem. Nigdy przedtem nie przedstawił mi się równie wyraźnie, jak wtedy, obraz niedołęstwa takiej wielkiej armii. Nabrałem jednakże silnego przeświadczenia, że połowa — może nawet trzecia część tych sił transportowych — mogła być wystarczająca, gdyby wszystko było porządnie zarządzane. Ale nie było żadnych urządzeń. Z początku zdawało się, jak gdyby bitwa miała się rozegrać na wschód od Ljad; zaczęto koncentrować kolumny, ale jeszcze to nie było skończone, kiedy przyszedł rozkaz dalszego posuwania się naprzód. Rozległa równina opustoszała z wojsk, które ją przedtem pokrywały; po gorącym, pogodnym dniu, nastąpiła zimna noc, od północy wiał wiatr lodowato-zimny. Wojska, obozujące po obu stronach gościńca, nie mogły odpocząć, dokuczał im mianowicie wielki brak wody. Mogło się to dać we znaki, bo od chwili opuszczenia brzegów Dniepru, nie spotkaliśmy ani kropli wody. Pragnienie i kurz były naszym największym udręczeniem do chwili bitwy pod Możajskiem. O północy zaczęło się budzić życie we wszystkich obozach. Dobosze bili w bębny, grały orkiestry; obchodziliśmy w ten sposób urodziny cesarza i wszędzie rozlegały się okrzyki:

— *Vive l'Empereur!*

Wyruszyliśmy 15-go wczesnym rankiem, ale kolumny utykały nieustannie. Było prawie gorąco, kurz otaczał nas ze wszystkich stron i leżał na grubość palca na naszych ubraniach. Około dziesiątej przeszliśmy przez Krasnoje i w pewnej od niego odległości rozłożyliśmy się obozem. Sprzyjające położenie tej miejscowości skłoniło Bagrationa do

21

pozostawienia tam dywizji Niewiarowskiego; nie rozumiem dobrze, w jakim celu, bo dywizja, złożona z 8,000 ludzi, nie była w stanie stawić czoła całej armii francuskiej. Zapewne rozporządzenie to wynikało z tego, że Napoleon główną uwagę zwrócił na drogę do Rudni, a tu zostawił tylko niewielki korpus. Prócz tego, pozycja do stoczenia bitwy była doskonale wybrana.

Ale właśnie tam nie było Rosyan. Popełnili znowu ten błąd, że chcieli bronić drogi do Krasnoje, ale zostali odparci przez 24-ty pułk i wepchnięci do miasta, z którego też bez szczególnej trudności zostali wyrzuceni. Dało to możliwość konnicy zatrzymania dywizji w odwrocie i rzucenia się na nią żwawo.

Dużo, bardzo dużo pisano o tem starciu dywizji Niewiarowskiego z jazdą Murata. Sądzę, że w dziejach wojen jedyny to chyba przykład tak źle pokierowanej kawalerii i tak nierozsądnego jej użytkowania. W całej armii wywołało to jednomyślny okrzyk oburzenia. Trzeba widzieć to miejsce i zbadać jego położenie, żeby mózgi zrozumieć to w całej rozciągłości. Rozległą płaszczyznę po za Krasnoje przecina wielki gościńiec w kierunku prawie pionowym. Ma on 30—40 kroków szerokości, wysadzony jest po obu stronach dwoma rzędami wysokich brzoź, tak, że kolumna, rozwinięta na całą szerokość, mogła iść po nim bez przeszkody, a grube,

prawie jedno przy drugim stojące drzewa, zabezpieczały wojsko po bokach. W niższych miejscach po obu stronach gościńca są rowy dla odprowadzania zbytecznych wód. Murat, zamiast przepuścić naprzód swoją liczną artylerię i zrobić z niej użytek, strzelając do Rosyan z kilku dział od frontu i z kilku baterii od boków, a kawalerię puścić klusem dla okrążenia nieprzyjaciela i przecięcia mu o ile możliwości odwrotu, wyczerpywał swoje siły w bezowocnych pojedynczych atakach do

22

cofających się, którzy zawinięci w kłębek, wykonywali w porządku odwrot. Rosyjska jazda, która odważyła się wytrzymać uderzenie nieprzyjaciela, została częścią roztratowana, częścią zrabana i postradała 7 armat. Kres tej pogoni położył wąż, który później miał zyskać tak rozgłosną sławę, a który Rosyanie bardzo mądrze obsadzili zawczasu. Deputacja konnicy przywiodła cesarzowi zdobyte działa, jako upominek imienninowy, wyrażając przytem ubolewanie, że *la fuite des Russes* nie pozwoliła zdobyć więcej łupów. Ale mówiono w obozie, że cesarz był bardzo rozdrażniony tą całą rozprawą, a żołnierski dowcip pomścił się, wkładając mu w usta te słowa:

— *Murat a agi comme un élève de St.-Cyr.*

Dnia 16-go poszliśmy w dalszy pochód do Smoleńska. Nie było bardzo ciepło, ale spokojnie, kurz dokuczał nam mocno, trudno było oddychać. Ludzie niemal omdlewali z gorąca i brali do ust liście brzeziny, żeby stłumić pragnienie i zabezpieczyć się od kurzu. Kto tego sam nie doświadczył, nie jest w stanie wyobrazić sobie, co żołnierz cierpi z tego powodu. Zimno, głód, deszcz, zła droga, nic tak nie męczy ludzi. Z tego powodu idące kolumny zatrzymywały się co chwila. Artyleria szła prawie bez przestanku i podnosiła tak gęstą kurzawę, że możnaby ją prawie nożem krajać. O trzynaście wiorst od Smoleńska biwakowaliśmy w brzożowym lasku, ale za blisko od gościńca, żeby mieć spokój. Turkot, wołania, bicie w bębny, nie ustawały przez całą noc, a kiedyśmy rano stanęli pod bronią, większa część wojska była tak pokryta kurzem, że trudno nas było rozpoznać. Woda była rzadkością, mieliśmy je j zaledwie tyle, ile potrzeba do ugotowania jedzenia. Otrzymaaliśmy rozkaz przyszlusowania się nazajutrz do gwardyi, pozostawiając za sobą wszystkich, którzyby mogli opóźnić pochód. Po ugotowaniu wyruszyliśmy 17-go, około 10-tej

23

rano. Dzień był piękny i jasny. Po 2—3 godzinach pochodu dostaliśmy rozkaz, żeby zwrócić się na lewo i iść za oficerem służbowym, który nam przyniósł ten rozkaz. Dostaliśmy się zaraz w tak gęstą brzezinę, że z trudnością przyszło nam przedzierać się przez nią. Dywizja cała pomieszała się i trudno było utrzymać ogólny kierunek. Naraz rozległo się:

— Szluszuj się!

Trochę rzadszy las umożliwił nam wykonanie rozkazu. Zaledwie powróciliśmy do porządku i ruszyli dalej, wyszliśmy prawie zaraz na płaskowzgórze, z którego zobaczyliśmy na lewo od nas Smoleńsk w odległości strzału działowego. Rosyanie, spostrzegłszy nas wychodzących ztamtąd zniemacka, zadziwili się niemniej od nas i dobra chwila minęła, zanim zaczęli strzelać. Ale potem już strzał padał za strzałem, pierwszy zabił nam dwóch doboszów, drugi urwał tylną nogę koniowi oficerskiemu, który rzuciwszy się w środek batalionu, wywołał wielkie zamieszanie. Przypadek zrządziły że w chwili najgwałtowniejszego ognia ocaliło nas pochylenie się, bo gdyby nie to, sądzę, że nasze straty byłyby bardzo znaczne. Czy uczyniono to z rozmysłem, żeby nas wysunąć bez osłony jako cel dla nieprzyjaciela i odwrócić tem jego uwagę od innych punktów — czy też stało się to przypadkiem, nikt nie może napewno twierdzić. Dopiero kiedyśmy już przez jakiś czas wytrzymali ogień, ukazały się wojska w górze Dniepru; był to korpus Poniatowskiego — także powyżej Smoleńska — tam, gdzie poprzedniego dnia zmierzli się Rosyanie z korpusem Ney'a; słychać było ogień karabinowy, pomieszany z działowymi strzałami, również i na drodze do Krasnoje ukazały się kolumny wojska. Z chwilą ich pojawienia się ustał ogień kierowany na nas, tylko kiedy niekiedy puszczone jeszcze jakiś granat. Z naszego stanowiska mogliśmy widzieć

24

prawie całe pole bitwy, tylko krańce prawego skrzydła, gdzie stali Polacy, i lewe skrzydło, gdzie byli Wirtemberczycy, były dla nas niewidzialne.

Widok Smoleńska zrobił na Polakach wielkie wrażenie, bo łączyło się z nim tak wiele wspomnień. Właściwe, czyli wyższe miasto, leży na wyniosłym poszarpanym lewym brzegu Dniepru, a w odległości 1,000 — 1,200 kroków wznosi się niewielka wyniosłość, opasująca miasto półkolem. Po drugiej stronie rzeki wzgórze są więcej oddalone od rzeki, ale wyższe. W samej dolinie leży dolne miasto, w którym mieszka część ludności, zajmującej się przemysłem i handlem, gdy górne miasto jest siedliskiem urzędników i gmachów rządowych. Nam z góry wydawał się Smoleńsk jak by umieszczony w kotlinie przez którą przepływa Dniepr. Gęste zarośla brzożowe, głębokie wąwozy, wielkie wyrwy, miejscami o bardzo stromych ścianach, utrudniały dostęp do miasta, pozostawiając do niego jedną tylko drogę. Dopiero pod samym miastem łatwiejsze było wspólne działanie wojska. Dwa strumienie, które od południowej strony Dniepru płyną w głęboko wyżłobionych łożyskach, utrudniały bardzo atak od tej bastionu i stanowiły punkt oparcia do obwarowania miasta. Długość samego muru nie przenosiła 7,000 kroków. Ze starych baszt pozostała tylko nieznaczna ilość, zdaje mi się, że naliczyłem ich około dwudziestu kilka było uzbrojonych w działa, reszta bez żadnych środków obronnych. Mury, grube na jakieś 5 metrów, a wysokie na 8, miały w wielu miejscach dobrze utrzymane blanki, zaopatrzone w działa, a miejscami zabezpieczone zewnątrz i ochronnymi galeriami.

Przed murami były okopy, przez które żołnierze przeszli bez trudności, miejscami coś nakształt szańców. Od północy i od południa miejsce szańców zastępowały wspomniane powyżej parowy. Mur opierał się o Dniepr, przerwy w murze pozamykane

25

były ziemnymi wałami. Przerwy te musiały pozostać od czasu ostatniego oblężenia, wyrwane zapewne przez miny. Znaczna ilość bram ułatwiała komunikację, ale oprócz nich musiały być jeszcze i inne otwory, bo widzieliśmy wchodzące i wychodzące oddziały, które nie przekraczały żadnej z bram.

Smoleńsk, widziany z naszego stanowiska, przedstawiał się malowniczo. Liczne ogrody w mieście z wysokimi starymi drzewami, a między nimi duże gmachy i wysokie wieże, zdobiły miasto piękne, ale nie mające wcale charakterystycznego typu rosyjskiego.

Na przygotowaniach do bitwy upłynęła może jedna lub dwie godziny. Nagle zawrzało w dole, u naszych stóp. Z zarośli tłoczyli się tyralierzy, których odpierali pojedynczo lub oddziałami kozacy i piechota. Z przedmieścia Mścislawskiego zaczęto żwawo strzelać do Francuzów, ale nie przeszkodziło im to poobsadzać bardzo sprawnie i bez wielkich wysiłków dużo ważnych punktów, a tymczasem działowy ogień z szańców ziemnych przed bramami stawał się coraz gwałtowniejszy. Wojska, które przedarły się na gościniec do Krasnoje, dywizye Gudin, Moraud i Friant, skierowały się w stronę Mścislawia i wysunęły na prawo. Zdawało się, że chcą podać rękę korpusowi Poniatowskiego. Davoust stał na ich czele.

Nasi tyralierzy po przybyciu tych kolumn, przedarli się przez oszańcowaną drogę i udało się niektórym dojść do podnóża muru, ale że było to zupełnie bezużyteczne, cofnęli się, czy to na rozkaz, czy dobrowolnie — nie wiem. Kolumny zajęły przedmieścia i znalazły chwilową osłonę za dużym, stojącym wysoko budynkiem. Przez cały ten czas coraz gwałtowniej powiększał się ogień w górze i w dole rzeki. W tej stronie, z której nacierali Polacy, słychać było strzały armatnie, zawładnęli oni, ale po bardzo gorącej walce, przedmieściem Raczyńskim,

26

a ztamtąd przedarli się aż do miejskiego muru. Dla tych zuchów z przedniej straży był to pewien punkt honoru, żeby zapukać do bram miasta. Skutkiem tego kilka batalionów z przedniej straży znalazło się w przykrem położeniu i przyszło do tego, że trzeba było nakazać im odwrót, ale wszyscy oficerowie, którzy otrzymali polecenie zanieść ten rozkaz, padli pod strzałami nieprzyjaciela. Wtedy ofiarował się młody oficer, hrabia Heliodor Skórzewski, adjutant generała Fiszera, do zanieśienia rozkazu. Popędził galopem aż do parowu, zsiadł z konia, sprowadził go za cugle po stromej ścianie, w ten sam sposób wdarł się na drugą stronę, oddał rozkaz i przeciąwszy napoprzek parów, powrócił na przedmieście do księcia Poniatowskiego, któremu zameldował o wykonaniu rozkazu, nie otrzymawszy przytem żadnej rany, tylko jego koń został dwukrotnie postrzelony. Piękny to przykład, że szczęście sprzyja odważnym.

Nadjechało tym czasem sześćdziesiąt dział i skierowały one ogień częścią na mosty, częścią na Rosyan, którzy obchodzili z boku Polaków przypuszczających atak. Działa grzmiąły potężnie, a w dole rzeki, na przedmieściu Kraśnieńskim, gdzie nacierał Ney, wrzała też gorąca bitwa. Tam niespodziewanie, jak sądzę, wpadli nasi na szańce, wzniesione przed dawnym wyłomem w murze, pozostałym zapewne od czasów poprzednich oblężeń. Trzy bataliony były od strony pola, dwa od miasta. Na odległość strzału karabinowego wycięto wszystkie drzewa; od pola były suche, niezbyt szerokie fosy, ale ku miastu ciągnęły się głębokie, pełne wody rowy, na których były mosty. Francuzi i Wirtemberczycy opanowali wszystkie drogi do tego fortu. Niektórzy

przedarli się aż do samego szańca, ale prażeni przez rosyjskie działa z boku i z tyłu, a jednocześnie napierani z frontu, musieli ustąpić.

Może była czwarta, a może nawet później. Na

27

skrzydłach słyhać było ciągle huk dział, w centrum bitwa trochę osłabła. Raz tylko ożywiła się w okolicach bramy Mołochowskiej, kiedy Rosyanie spróbowali się wysunąć, ale zostali energicznie odparci.

— *Votes verrez* — powiedział pułkownik Obłusowicz do podpułkownika Regulskiego — *les Russes évacueront la ville pour continuer la retraite.*

W tej samej chwili ukazał się cesarz, jadący galopem od prawego skrzydła. Jechał na arabskim, szpakowatym koniu, w towarzystwie tylko dwóch adjutantów, w pewnym oddaleniu jechało za nim kilku *Chasseurs des Gardes*. Cesarz jechał miarowym galopem i nieosobliwie siedział na koniu, z puszczonej długo cugłami, wiosłując prawą ręką. Przed przedmieściem Mścislawskim zatrzymał się i rozmawiał z kilku wyższymi generałami, a potem pojechał dalej, znowu przystanął, przypatrzył się miastu przez lunetę i znikł nam z oczu. Przez ten czas z przedmieścia i z po za niego wyjechała masa 12-to funtowych dział, naliczyłem ich 36, ustawiły się na wprost muru i rozpoczęły gwałtowny ogień, ale, o ile można było sądzić, bez skutku. Potem skierowały swoje strzały na blanki, skutkiem czego żołnierze musieli się ztamtąd cofnąć. Inne działa rozstawiły się na oszańcowanej drodze, gdzie były uszykowane armaty rosyjskie. Kiedy to wszystko działo się pod naszymi stopami, gwardya, która przybyła z biwaku pod Iwanowskoje, ustawiła się za nami. Na pochyłości wzgórza, na którym staliśmy, usiadł książę Neufchâtelu. Obok niego siedziało dwóch oficerów, wyróżniających się czerwonymi, jak raki, mundurami. Jednemu z nich książę coś pokazywał, a potem dyktował. Kiedy niekiedy padały niedaleko od nas pociski działowe. W mieście pokazywał się tu i owdzie ogień, może podłożony, a może skutkiem naszych granatów. Otrzymaliśmy wtedy rozkaz cofnięcia się na przedmieście

28

Mścislawskie, gdzie mieliśmy się ustawić pod osłoną wielkich magazynów, stanowiąc rezerwę 1-go korpusu. Nasze miejsce zajęła dywizja Roguet. Około 7-ej ogień zaczął stopniowo ustawać, zdawało się, że jesteście panami wszystkich dróg wiodących do miasta, ale od czasu do czasu odzywały się strzały, ogień działowy towarzyszył karabinowemu. Tak ciągnęła się bitwa blisko do godziny 10-ej.

W mieście tymczasem pożar zaczął się rozszerzać. Rosyanie podpalili swoje magazyny. Siano i zboże wylatywało z trzaskiem w górę w ciemno-czerwonych żarzących słupach wśród gęstego dymu, potem coraz więcej bladło, a w końcu przygasalo i opadało na ziemię jako popiół, podobnie jak przy wulkanicznych wybuchach. Na lewym skrzydle naszym zapłonął wielki ogień, to Rosyanie podpalili drewniane szopy w cytadeli, a i na prawem skrzydle strzelił wysoko słup ognia. Była to wielka cegielnia, zapalona przez rosyjskie granaty; poprzenoszono tam ciężej ranionych, ale skutkiem szybkości, z jaką ogień się rozpostarł, tylko małą ich liczbę można było uratować. Okropny wypadek, który wobec szybko następujących po sobie innych zdarzeń zeszedł na dalszy plan.

Wojska porozkładały się po większej części na tych miejscach, gdzie stały ich główne siły. Wieczór piękny, jasny, ale trochę chłodny nastąpił po krwawym dniu. Około 10-ej rozeszła się w obozie pogłoska, że Rosyanie miasto opuścili, czy też gotują się opuścić. O 1-ej wiedzieliśmy już to napewno, ale co prawda przyjmowano tę wiadomość z niedowierzaniem. O brzasku popędził tłum żołnierzy ku bramom miasta, w których straż trzymali grenadyerowie francuscy.

Nieprzyjaciel musiał bardzo wcześnie wykonać swój odwrót. Dwa bataliony trzeciego polskiego pułku (dowodzone przez Różyckiego i Kurcjusza) gdzieś się zapodziały podczas bitwy. Książę

29

Poniatowski wyprawił około 10-ej adjutanta, hrabiego Skórzewskiego, żeby postarał się odzyskać z niemi łączność, adjutant wśród ciemności o mało nie wpadł w ręce kozaków, którzy przepłynęli Dniepr dla zebrania wiadomości. Ścigany przez nich, dotarł do posterunku, zajętego przez batalion Różyckiego. Od niego dowiedział się, jak stoją rzeczy i to, że od zapadnięcia zmroku słyhać turkot wozów na drugim brzegu rzeki; zdaje się, jakoby nieprzyjaciel się cofał. Dowiedziawszy się jednocześnie, że niedaleko w kościele kwateruje generał francuski, kazał się do niego prowadzić. Zastał tam kilku sztabowych oficerów, piszących przy słabym świetle pod dyktandem generała. Drugi generał leżał na czemś w rodzaju kanapy i spał, było tam także wielu jeszcze innych oficerów. Kiedy Skórzewski powiedział, że o mało co nie wpadł w ręce kozaków, generał odrzekł:

— *Ah bah! messieurs les Polonais voient partout des Cosaques.*

Ponieważ oficer nie mógł wdawać się w spory z generałem, powtórzył mu to, co Różycki powiedział. Na to generał francuski odrzekł znowu:

— *Ah bah! croyez vous qu'ils évacueront la place? Ils ne seront pas si bêtes.*

Na to oficer piszący przy stole podniósł się i zwrócił uwagę generała, że jednak ta wiadomość zasługuje, żeby ją rozważyć i dalej zameldować. Obudzono więc śpiącego generała, który z niechęcią odwrócił się na drugą stronę i odpowiedział:

— *Ah! C'est une bêtise, pourquoi nous céderont ils la place, qui est toute intacte?*

I ułożywszy się, zasnął spokojnie. Adjutant odjechał z powrotem i zdał o tem raport księciu, który powiedział tylko:

— Tak! Jeżeli ci panowie nie chcą wierzyć, to już nie nasza wina.

Kto był ten generał, czy nie był to sam Davoust —

30

nie mogliśmy się dowiedzieć; liczne otoczenie naprowadzało na domysł, że to był właśnie on.

Miasto było jak by opuszczone przez mieszkańców. Wszyscy schronili się do piwnic i do kościołów. Podczas gdy jedne kolumny otrzymały rozkaz pójścia nad Dniepr, innym polecono gasić pożar. Rozszerzył się on z wielką szybkością, mnóstwo pięknych domów i całe ulice zamieniły się w jeden stos gruzów, z którego unosiły się słupy ognia i wirowały kłęby dymu.

Gwardya weszła zaraz do miasta, my pozostaliśmy na naszym stanowisku do 19-go. Otrzymałszy rozkaz gotowania, co nam dawało pewność, że pozostaniemy na miejscu przynajmniej kilka godzin, wybrałem się zaraz z kolegami na pole bitwy, które

przebiegliśmy w rozmaitych kierunkach. Na początek przejrzelśmy miejsce walki 1-go korpusu. Stosownie do czasu, przez jaki trwał gwałtowny ogień, powinno było leżeć tu więcej zabitych. I tak naprzykład, od wzgórza, na którym staliśmy, do samego magazynu solnego leżał jeden tylko poległy, żołnierz z 7-go pułku. — Na przedmieściu wprawdzie więcej było ciał, ale nie można tego było nawet porównać z pobojowiskiem pod Mohylowem. I rosyjskich poległych spotykało się stosunkowo także niewielu. Wprawdzie widać było dużo krwawych kałuży, a w pobliskich domach leżało mnóstwo trupów, ale to wszystko było niczem stosunkowo do takiej strzelaniny, jaka się tu odbyła. Na oszańcowanej drodze, jeżeli można tak ją nazwać, leżało dużo zabitych; prawdopodobnie ranni tu się chronili i tu poumierali, a może być, że i baterie ostrzeliwujące z boków oddzielne grupy budynków szerzyły tu większe spustoszenie. Były tu i ciała Francuzów, obdartych do naga, a rozpoznać ich można było po kaszkietach, które przy nich pozostawiano.

Zato na lewem skrzydle, które atakował

31

korpus Neya, leżało dużo, bardzo dużo trupów; na niektórych punktach, to jest w niższych miejscach i zagłębieniach, dokąd naturalny pociąg prowadził rannych, albo gdzie poprzenosili ich koledzy, leżały po trzy i cztery ciała jedno na drugim. Niektóre były straszliwie okaleczone, wszystkie obdarte z ubrań doszczętnie. Opisałem już przedtem fort, który tyle krwi kosztował. Leżało w nim kilka żelaznych dział. Pomimo, że podpalono drewniane szopy, kilka z nich nie spłonęło doszczętnie i było tam jeszcze dużo całych belek.

Nieprzyjaciel strzelał jeszcze z przeciwległego brzegu i tyralierzy z korpusu Neya podtrzymywali nieustający ogień. Co chwila przenoszono koło nas rannych. Przytem ruch był duży na mostach rzuconych przez wzmiankowane powyżej fosi pełne wody i na drodze do miasta, a z okoliczności tej gorliwie korzystali maruderzy, uchodzący tędy z łupami różnego rodzaju.

Po powrocie do obozu zastaliśmy tam pościągane mnóstwo rozmaitych rzeczy. Żołnierze gotowali, warzyli, piekli; miodu i wódki można było dostać za tanie pieniądze, tylko chleba było trochę skąpo. Nad wieczorem poszliśmy do 5-go korpusu. Była to pierwsza piechota polska, którąśmy widzieli, piękni ludzie, bogato umundurowani i dobrze uzbrojeni, ale pod względem postawy, karności i wojskowego ducha nie mogący się równać z nami. Kiedy u nas była we wszystkim może aż do przesady posunięta jednolitość, w najdrobniejszych szczegółach utrzymywana z największą ścisłością, naprzykład żołnierze musieli być ściśle ogoleni, tu panowała pewna tolerancja, dająca oficerom i żołnierzom dużo swobody. I tak: wolno było ludziom nosić brody, jeśli chcieli, można było tam spotkać „demokratyczne” brody u oficerów i żołnierzy, kiedy u nas tylko pułkowym saperom było to dozwolone. Prócz tego w korpusie oficerskim panowała swoboda, granicząca z niesfornością.

32

Pole bitwy było tu niemniej krwawe, jak na lewem skrzydle. Sam ten korpus miał 60 oficerów i 2,000 podoficerów i żołnierzy rannych i poległych. Jenerał Grabowski, pułkownik Zawadzki, majorowie Dembicki i Polkowski polegli, jenerałowie Zajączek i Krukowiecki byli ranni. Cegielnia, w której popalili się ranni, przedstawiała widok przerażający, opowiadano mnóstwo bohaterkich czynów, świadczących o męztwie żołnierzy. Były to istne wyścigi w celu odznaczenia się i przyłożyło się to niemało do tak znacznych strat, jakie wojsko poniosło.

Wieczorem opowiadano w obozie, że niemieckie wojska przeszły w bród Dniepr, zajęły część przedmieścia Moskiewskiego i jednocześnie szaniec przedmostowy — że Rosyanie próbowali je odebrać i że skutkiem tego przyszło do poważnej bitwy. Silny ogień karabinowy, z towarzyszeniem strzałów armatnich, który cały dzień dochodził do nas z tamtej strony, zdawał się potwierdzać te wiadomości. Wychwalano bardzo męstwo Wirtemberczyków i wymieniano jenerałów Hüglę i Bauera.

Pomiędzy poległymi i rannymi, którzy tu i owdzie leżeli porąbani na ziemi, zwrócił naszą uwagę młody Rosyanin atletycznej budowy. Był obdarty do naga; postrzał otrzymany w pierś spowodował jego śmierć. Dlatego odniesiono go na bok jako nieżywego. Ale nagle podniósł się do połowy, usiadł i wyszeptawszy kilka wyrazów, upadł na ziemię. Kazałem podesłać temu nieszczęśliwemu trochę słomy, okryć go i oddałem pod opiekę Gulicza, naszego doktora pełnego ludzkości. Ranny żył jeszcze do późnej nocy, co chwila podnosił się, mówił coś niezrozumiale i znowu opadał na słomę.

— Wy jesteście bardzo dobrzy ludzie — przemówił po małorusku w czasie jednego z takich ocknień — ale wasz cesarz musi być zły, bardzo zły człowiek — co mu zrobił nasz cesarz i czego on chce

33

od naszej matki — Rosyji? Powstań, o święta ziemi! broń naszej wiary, cesarza i ojczyzny.

Zdaje się, że to były jego ostatnie słowa, bo wkrótce potem dowiedziałem się od Gulicza, że już nie żyje.

— Tacy są oni wszyscy — powiedział wieczorem przy biwakowym ogniu kapitan Lichnowski, który był świadkiem tej sceny. — Obawiam się, że cesarz wplątał się w niebezpieczną sprawę.

Następnego dnia rano o 5-ej stanęliśmy pod bronią i weszliśmy do miasta. Wprawdzie pożar został ugaszony, ale spustoszenia były straszne. Szliśmy wężykiem pomiędzy gruzami, wśród których jeszcze połyskiwało zarzewie, a w końcu dostaliśmy się do ocalonej dzielnicy i po moście doszliśmy do Dniepru, gdzie na przedmostowym szańcu i w części przedmieścia mieliśmy się rozstawić. Miejscami tak gęsto rosły krzaki, że musieliśmy je wycinać — i dopiero po kilku godzinach mogliśmy się ostatecznie urządzić. Z jednej części szanca przedmostowego można było widzieć gościniec do Petersburga i Moskwy. Był on pokryty wojskiem. O pół mili od Gedeonowa, leżącego pomiędzy temi dwoma miastami, walka trwała do 8-ej wieczorem; bitwa potem zbliżyła się do Dniepru i musiała przybierać charakter coraz gwałtowniejszy, bo huk armat wzrastał ciągle, szczególnie nad wieczorem. Cesarza zobaczyliśmy około 5-ej, gdy powracał moskiewskim gościńcem. Wydawał się markotny. Przybywszy w pobliże wojska, które go radośnie witało, puścił konia galopem, jak gdyby chciał uciec od powitań.

— Nie ulega wątpliwości — powiedział kapitan Smett — że coś tam nie poszło dobrze. Cesarz ma taką minę, jakby się wstydził — dodał złośliwie.

Nikt nie wiedział, co o tem sądzić — mówiono o nieszczęśliwej bitwie, ale temu przeczył coraz bardziej oddalający się huk armat, a zresztą przecież

34

widzieliśmy cesarza powracającego spokojnie. Tymczasem urządziliśmy się na naszym szańcu przedmostowym, ogrody pod miejskie dostarczyły nam kuchennych zapasów — nie brakowało mięsa, drzewa, wody i chleba, chociaż w niebardzo dobrym gatunku, ale jednak jadalnego. Po skończonem gotowaniu musieliśmy być w pogotowiu do wymarszu, który wszakże nastąpił dopiero po kilku dniach. 20-go rano zobaczyliśmy cesarza, wyjeżdżającego przez bramę od strony Dniepru i zawracającego na drogę do Moskwy.

— Siadaj na konia — powiedział mi pułkownik — zobacz, gdzie cesarz się zatrzyma, zbadaj, co się tam dzieje i powracaj jak najprędzej.

Nie dałem sobie tego dwa razy powtarzać: w jednej chwili byłem już na koniu i przyłączyłem się do eskorty cesarza. Z początku jechał on rażno, ale wkrótce wpadliśmy na długą procesję rannych pieszych, konnych i na wozach. Wielu z nich witało cesarza zwyczajem *Vive l'empereur*, inni mijali go w milczeniu.

Przy niektórych wozach cesarz zatrzymywał się i rozmawiał z rannymi — a orszak ich był długi, bardzo długi. Na jakieś pół mili przed Kołodnią leżały ciała poległych, Francuzów i Rosyan, pomieszane razem. Były one po większej części odarte z ubrania, a że były już mocno nabrzmiałe, widok był wstrętny. Im więcej zbliżaliśmy się do pola bitwy 19-go sierpnia, tem więcej było nagromadzonych trupów. Droga szła nad brzegiem rzeki o wysokich miejscami brzegach, do które j spływały liczne strumienie, a nad niemi rozciągały się rozległe łąki. Bitwa toczyła się na obu brzegach. Cała okolica miała cechę tego, co Francuzi nazywają *terrain accidenté* i tylko z niektórych miejsc widok był rozległy. Z jednego pagórka zobaczyliśmy nagle przed sobą rodzaj równiny, zakończonej ostro zarysowanymi wzgórzami. Na równinie leżało dużo ciał

35

poległych, jak okiem było sięgnąć, wszędzie widać było trupy — i tych także większość była odarta z ubrania. Zbliżając się do wzmiankowanych pagórków, zobaczyliśmy, że są one obrzeżeniem bagnistej rzeczki, która gwałtownym zakrętem zwracała się na zachód i z której biegiem jechaliśmy milę. Była to rzeczka Stragon, a na jej brzegach walczone w przeddzień i bitwa ta w historii zwana jest pod nazwą bitwy pod Walutynem. Na przeciwległym brzegu widać było korpus Neya, który tu walczył tak mężnie. Rozłożony on był pomiędzy tysiącami poległych i umierających. Przez zły most dostaliśmy się do wojska, które powitało cesarza żywymi okrzykami *vive l'empereur*. Pamiętam, jak ciężko ranni wydobywali resztę sił, żeby wydać ten okrzyk. Jakiś grenadier, opatrujący sobie zranioną nogę, kiedy go cesarz mijał, zawołał:

— *Ah, mon empereur! que vous n'êtes pas hier à notre tête — nous aurions écrasé les Russes.*

Widok poboju był przerażający. Liczba poległych i rannych, Francuzów i Rosyan pomieszanych razem, była bardzo wielka — trafiały się miejsca, które trzeba było okrążyć, tak dużo leżało tam trupów, a nigdzie żadnych trofeów — zdobytych armat, skrzynek z prochem, przed sobą i naokoło tylko pole bitwy pokryte ściśle ciałami poległych. Wspaniałe słońce oświetlało to miejsce ofiarne, obficie krwią napojone.

Cesarz zrobił przegląd wojska na samem polu bitwy. 127-y pułk, który tu po raz pierwszy zmierzył się z nieprzyjacielem, otrzymał orła. Pułk stał ustawiony w czworobok, żołnierze byli czarni od prochu, usmoleni od przegryzania ładunków, ładownice wielu z nich były jeszcze krwią zbryzgane. Pułkownik i oficerowie ustawili się w półkole przy cesarzu. Jeden *chasseur de la garde* podał marszałkowi Berthier orła, którego ten stojąc na lewo od cesarza, wziął w prawą rękę.

36

— Żołnierze! — przemówił cesarz. — Oto wasz orzeł — będzie on wam służył za punkt skupienia (*point de ralliement*) w chwili niebezpieczeństwa. Przysięgnijcie, mi, że nie opuścicie go nigdy i nigdy nie zboczycie z drogi honoru, że będziecie bronili ojczyzny i nie pozwolicie nigdy na pohańbienie naszej Francji.

W odpowiedzi rozległ się głośny okrzyk:

— *Nous jurons!*

Wtedy Napoleon wziął orła z rąk Berthiera i oddał go pułkownikowi. Przez ten czas czworobok rozsunął się, ustawił frontem i *porte-drapeau* — dekorowany oficer — przy biciu w bębny i odgłosie muzyki zaniósł orła do sztandarów, poczem cesarz rozpoczął przegląd pułku. Ordery, awanse, dotacje i upominki synęły się gradem. Sierżant grenadierów został mianowany oficerem.

— *Faites - moi de suite reconnaitre ce brave komme - là* — powiedział cesarz.

Pułkownik dopełnił tego według przepisów, wymawiając następujące słowa:

— W imię jego cesarskiej mości cesarza i króla (*de la part de sa Majesté*) pan N. N. zostaje mianowany drugim porucznikiem i wszyscy mają wypełniać jego rozkazy, wydawane w imię prawa.

Ale nie uściskał go, jak nakazują przepisy.

— *Eh bien colonel* — zawołał żywo cesarz — *l'accolade! l'accolade!*

Poczem pułkownik uściskał sierżanta, wszyscy zauważyli to, że cesarz czuł jakąś potrzebę wynagrodzenia. To samo powtarzało się we wszystkich pułkach, we wszystkich batalionach. Jakiś młody oficer z 72-go pułku — jeśli się nie mylę — prosił cesarza o krzyż. Cesarz spojrzał na pułkownika:

— Najjaśniejszy panie — powiedział pułkownik — to jego pierwsza kampania: jest mężny i gorliwy w służbie (*zélé pour le service*), ale są oficerowie z pod Iłowa i Wagram, którzy przy takich samych

37

prawach dotąd nie mają orderów. — Powinien jeszcze poczekać.

Cesarz, nie odpowiedziawszy ani słowa, odwrócił się tyłem. Ale Berthier pozostał i zdaje się, że oficera surowo napomniął. W 95-ym pułku cesarz zażądał, żeby mu przedstawiono tych, którzy się odznaczyli. Pułkownik, przygotowany już zapewne na to, wymienił mnóstwo nazwisk. Łatwo zrozumieć, że zaczął od oficerów. Ale zaledwie 68 wystąpiło z szeregow, cesarz zawołał niecierpliwie:

— *Comment, colonel! Vos soldats sont donc des capons?*

Potem poszedł szybkim krokiem do batalionów, wywołał z szeregu podoficerów i żołnierzy i sam rozdał im ordery i awanse.

Ponieważ podczas tej uroczystości słońce wbiło się już wysoko, a nie zdawało się, ażeby była postanowiona w najbliższym czasie akcja wojenna, oddaliłem się i obejrawszy jeszcze pobojuwisko, powróciłem do obozu. Gościniec, prowadzący do pola bitwy, całą milę szedł równoległe do brzegów Dniepru, przez trzy małe dopływy, a pod Sołowiewem przez sam Dniepr. Przy trzecim dopływie leży pobojuwisko, które było miejscem krwawego boju.

To, co widziałem, musiało we mnie obudzić najdziwniejsze uczucia i myśli. Cześć, jaką mieli żołnierze dla swego wielkiego wodza, była czemś naksztat religijnego kultu i ludzie, którzy byli z nim w bliższych stosunkach, otrzymywali przez to rodzaj święceń. Oficerowie i żołnierze, z którymi cesarz rozmawiał, uważani byli za wybranych; nagrody, otrzymane z jego ręki przed frontem, uważane były za wyróżnienia nie mające ceny i nikt nie omieszkiał brać ich w rachubę przy zdarzonej sposobności. Widziałem nieraz, jak ranni, których życie uchodziło, zbierali resztę sił, żeby gasnącym głosem wydać ostatni okrzyk na cześć imperatora. Jest to przywilej wielkich duchów, które podbijając

38

słabsze natury, biorą je pod swoje jarzmo, a zależność ta nigdzie nie objawia się silniej i jaskrawiej, jak w stosunku żołnierzy do wodza.

W obozie opowiadanie moje przyjęto z wielkiem wzruszeniem — mianowicie młodszy oficerowie. Samego pułkownika nie zastałem, pojechał do obozu 5-go korpusu i powrócił dopiero późno. Był usposobiony posępnie — o tem, co mu mówiłem, wyraził

się, że jest to powtórzeniem tego, co już nieraz się zdarzało i zapytał — muszę przyznać, że z wielką żywością — czy nie słyszałem nic o korpusie Junota i czy nic nie widziałem?

— Widziałem tylko zdaleka biwaki korpusu — odparłem.

W tej samej chwili wszedł do namiotu podpułkownik Regulski. Pułkownik nabył w Wilnie namiot, który aż do Smoleńska kazał rozbijać na każdym biwaku. Namiot był obszerny i o ile można było wnosić, należał zapewne przedtem do któregoś z generałów rosyjskich. W każdej dywizji były namioty, szczególnie w korpusie Poniatowskiego.

— Czy pan słyszał, panie pułkowniku, o nowym genialnym czynie Junota? — zapytał pułkownika. Wypuścił z rąk nieprzyjaciela: gdyby nie on, 30,000 ludzi byłoby musiało złożyć broń — cała armia jest oburzona jego postępowaniem. Rozmawiałem właśnie z kilku wyższymi oficerami gwardyi, którzy są tego zdania, że Junot stał się niegodnym tytułu francuskiego generała i t. d.

Pułkownik, u którego podpułkownik nie był szczególnie *grata persona*, wysłuchał go spokojnie i odrzekł:

— I ja słyszałem coś podobnego. W każdym razie owoce zajęcia Smoleńska są bardzo nieznaczne, jak to mówiłem od samego początku bitwy: nie widziałem ani jednego możliwego do użytku działa zdobytego przez nas — same stare, żelazne armaty — prawie nic jeńców — tylko wszędzie miny,

39

gruzy i trupy. Gdyby Rosyanie mieli zamiar bronić Smoleńska, z pewnością inaczejby zaczęli. Znają oni dobrze historię Polski; wiedzą, jaką wagę Rosyanie i Polacy przywiązywali zawsze do jego posiadania, jakie rzeki krwi tu płynęły, jak większa część mieszkańców i załogi w 1611 r. wołała się wysadzić w powietrze, niż kapitulować — a tymczasem dziś walka o to dawne jabłko niezgody trwała niedłużej niż polowanie Karola XII na kałmuków, kiedy po bitwie pod Stołowczynem zwrócił się ku Smoleńskowi. Aby tylko głupstwo, popełnione przez Junota, nie stało się początkiem głupstw innych ludzi!

W ciągu dnia rozeszły się szczegółowe wiadomości o bitwie 19-go sierpnia, którą nazwano bitwą pod Walutyną-Górę. Zrobiły one zdumiewająco złe wrażenie. Nikt nie przypuszczał, żeby Rosyanie natychmiast po stracie Smoleńska odważyli się stawić opór: mówiono, że Davoust wystawił Neyą na sztych — z polskiego obozu dowiedziano się, że Junot otrzymał rozkaz przejścia Dniepru pod Prudiczewem i uderzenia na tyły nieprzyjaciela, którego Ney trzymał mocno od frontu i że tego w haniebnym sposób zaniedbał uczynić; widoczny był w tej całej sprawie brak jedności w działaniu, brak zgodności, z czego też wszyscy wyprowadzali rozmaite wnioski na przyszłość. Krążyły o tem setki opowiadań; podobno Junot usiłował się tłómaczyć zbyt pośpiesznym uderzeniem Neyą na nieprzyjaciela, na co cesarz miał mu odpowiedzieć:

— Ney walczył jak Francuz, ale ty zmarnowałaś nieodwołalnie najpiękniejszy dzień swego życia.

Niektórzy posuwali się tak daleko, że oskarżali generała o jawną nieprzyjaźń, a liczni nieprzyjaciele postępowanie jego przypisywali pewnej *aliénation d'esprit*. Podpułkownik Regulski przy tej sposobności chwalił się przenikliwością, przypominając

40

swoje zdanie, wygłaszane jeszcze pod Saragossą, że już wtenczas Junot zdradzał pewne objawy umysłowej nienormalności. Uważano też ogólnie za dowód niełaski cesarskiej, że korpus Junota przez cały czas do wymarszu musiał biwakować w pobliżu pobojuwiska.

Co zaś było szczególnie niemiłe, to nieskończone gadaniny i różne pogłoski, towarzyszące rozmaitym działaniom. Zdawało mi się, że są one nieodłącznym orszakiem wielu oficerów, którzy wszędzie latali jako posłańcy i adjutanci, kombinowali pogłoski i roznosili wszelakiego rodzaju wiadomości.

Moskiewskie przedmieście zostało tym czasem doszczętnie zrabowane; — było ono prawie zupełnie opuszczone przez mieszkańców, tylko gdzieniegdzie ukazywały się kobiety. Troskliwa administracja mogła być wyciągnąć niemało korzyści z zapasów, jakie tu zastaliśmy, mianowicie skór. Pełno było najpiękniejszych skór — prócz tego mnóstwo pięknych żelaznych i miedzianych naczyń, które można było zużytkować dla szpitali. Wszystkie obozy w pobliżu miasta były niemi przepelnione. Również i papierowe pieniądze rosyjskie znoszono masami do obozu. Ludzie mówili: „to rosyjskie pieniądze, to nic niewarte” i rzucali je w ogień. Dziś jeszcze pamiętam, jak całą szufladę takich pieniędzy w różnych kolorach rzucono w płomienie. Prawdopodobnie Rosyanie popakowali je, żeby z sobą zabrać, a potem w pośpiechu zapomnieli. Papierowe pieniądze były wówczas dla ludzi czemś niepojętem. Niektórzy oficerowie z prowincyi rosyjsko-polskich pobrali na pamiątkę po kilka nowych papierków, a reszta, wartości niemało tysięcy, poszła bezpożytecznie z dymem.

21-go Napoleon odbył przegląd korpusu księcia Poniatowskiego. Cesarz obsypał korpus oznakami swej łaski — rozdał mnóstwo awansów, darów i obdarzył go 86-ma krzyżami Legii Honorowej, nie licząc

wielu krzyżów oficerskich. Żołnierski dowcip przezwiał ten dzień dniem „pokuty Napoleona”. A żeby ten żart zrozumieć, trzeba się cofnąć wstecz. Książę, jak mówiono, w przeddzień bitwy pod Smoleńskiem pojechał ze swoim sztabem do głównej kwatery cesarza, znajdującej się w Iwanowskoje, czy po to, żeby mu się przedstawić, czy po rozkazy na dzień następny, czy też dla zatarcia złego wrażenia, jakie wywarły poprzednie skargi i uzalenia księcia na brak żywności, pieniędzy i t. p., oraz jego współudział w błędach, popełnionych przez Hieronima. Ale Napoleon wówczas odparł jego skargi w sposób cierpki i niesłychany. List napisany przez cesarza z Wilna 9-go lipca wpadł w niedyskretne ręce i krążył po obozie, a treść jego była następująca:

„Mon cousin! Répondez au prince Poniatowski que vous avez mis sa lettre sous les yeux de l'empereur, que S. Majesté a été très - mécontente de savoir qu'il parle de solde, de pain, lorsqu'il s'agit de poursuivre l'ennemi; que S. Majesté a été d'autant plus surprise, qu'il est seul de son côté avec peu de monde, et que, lorsque les gardes de l'empereur, qui sont venus à Vilna à marches forcées de Paris, au lieu d'avoir demi ration, manquent de pain, n'ont que de la viande et ne murmurent point. L'empereur n'a pu voir qu'avec peine, que les Polonais soient assez mauvais soldats, et aient assez mauvais esprit pour relever des pareilles privations, et que S. Majesté espère qu'elle u'entendra plus parler de cela”.

Książę w towarzystwie szefa sztabu, generała Fiszera, wielu generałów i adjutantów, zastał cesarza przy ogniu biwakowym. Po dość przyjaznym powitaniu zapytał cesarz o siły korpusu (*effectiv et présent sous les armes*), a gdy się w nim okazały znaczne braki skutkiem niedostatku, pochodów i trudów, zapytał cesarz, zwracając się żywo do generała Fiszera:

— *Mais f....! où avez - vous laissé votre monde?*

42

— *Sire* — odpowiedział generał Fiszer — *le manque des vivres, les fatigues, les....*

— *Bah!* — przerwał mu cesarz. — *Vous me ehantez toujours la même antienne; pourquoi les autres corps n'ont — ils pas laissé la moitié de leur monde en route — mats je sais bien, d'où cela vient; vous tous n'êtes bons qu'avec vos p..... à Varsovie.*

Inni utrzymywali, że cesarz powiedział: „z waszemi tancerkami”. I na tem skończyło się przyjęcie.

Scena ta musiała zrobić wielkie wrażenie na księciu, który był jak najlepiej usposobiony dla cesarza; musiał naturalnie uczuć się tem żywo dotkniętym i z trudnością, zdołał zapanować nad swem uniesieniem, a przez chwilę miał podobno zamiar wystąpić z wojska. Kiedy zaś po wspomnianym powyżej przeglądzie wojska, nastąpił pewien rodzaj pojednania, książę raz jeszcze udał się do cesarza w towarzystwie marszałka Davousta. Miał wtedy zwrócić cesarzowi uwagę, że jego korpus przy wielkiej armii marnuje się, gra nieznaczną rolę, a mógłby stać się nieskończenie pożytecznym, gdyby go zwrócić na Kijów. Tam jest obfitość żywności, ludność oczekuje jego przybycia, możnaby z łatwością sformować nowe pułki, szczególnie jazdy — tam jest słaba strona nieprzyjaciela, który dotąd z trudnością tylko powstrzymywał od wybuchu ludność miejscową, z którą książę oddawna jest w porozumieniu. Gdy cesarz odrzucił ten plan, książę zaczął usilniej nastawać i starał się przekonać o jego pożyteczności, a ukląkłszy wreszcie przed cesarzem, prosił go o pozwolenie na ten pochód. Ale to tylko rozgniewało i zadziwiło cesarza.

Według najpewniejszych wiadomości, odwrócił się od księcia rozgniewany i ostatecznie zagroził, że go każe rozstrzelać, gdyby wbrew jego woli zdecydował się na wymarsz. 22-go opowiadano to zajście w kołach zaufanych i najlepiej powiadomionych. Polscy historycy zaznaczyli to później w swoich

43

dzielach, a za nowszych czasów zostało to również potwierdzone.

Jeszcze dymiały zgliszczka Smoleńska, kiedy już ludzie wyciągali rozmaite wnioski. Po dwakroć wymknęła się armia rosyjska cesarzowi skutkiem niezręczności jego generałów — mówiono — a któż może zapewnić, że trzeci raz będą oni zręczniejsi? A cóż się stanie, jeżeli nieprzyjaciel będzie się ciągle cofał — jeżeli pociągnie tak aż do zimy — a my bez magazynów, bez punktu oparcia — o setki mil od naszych podstaw, wśród ludności rozgoryczonej niekarnością naszego wojska, pozostaniemy wystawieni na ataki Rosyan? Tego rodzaju uwagi krążyły także i po innych kołach. Mogę śmiało powiedzieć, że wiara w nieomyślność cesarza otrzymała pierwszy cios pod Smoleńskiem.

22-go cesarz odbył przegląd gwardyi i naszej dywizyi na placu parady, jak zwano piękny plac przed pałacem arcybiskupa. Cesarz zrobił przegląd naszej dywizyi, jeszcze dokładniej niż gwardyi, wyraził nam swoje zupełne zadowolenie, ale trzeba przyznać, żeśmy bardzo dzielnie wyglądali. Pozapełniał jednocześnie miejsca, które zawałowały w ciągu kampanii, bo dużo oficerów poprzynoszono do nowotworzących się pułków. Ci, którzy mieli awansować, byli wywoływani głośno przez pułkowników. Cesarz podszedł ku nam, którzy w liczbie czternastu wystąpiwszy z szeregow, staliśmy rzędem. Doszedłszy do mnie, zatrzymał się, spojrzął na mnie, wziął za guzik od munduru, pociągnął ku sobie i rzekł:

— *Celui - ci devait être déjà nommé capitaine à Paris — faites le nommer capitaine adjutant-major.*

Z tą nominacją związane było prawo otrzymania po upływie 18 miesięcy stopnia sztabowego oficera — ale w 18 miesięcy potem leżałem śmiertelnie ranny na polu bitwy, jako jeniec w ręku nieprzyjaciela.

44

— *Faites les reconnaetre* — powiedział cesarz. Kiedy pułkownik dopełnił ceremonii, zaczął cesarz iść przed frontem wojsk. Zobaczywszy dekorowanego sierżanta Kluska, z trzema szewronami i znakiem 20-letniej służby, zapytał:

— Jak się to stało, że on dotąd nie jest oficerem?

— Najjaśniejszy Panie, nie umie pisać, ani czytać.

— *C'est égal — ces pauvres gens non lettrés dont personne ne vent, sont souvent les meilleurs officiers; faites-le porte aigle et s.-lieutenant des grénadiers. Je suis bien sur, qu'il n'a pai été le dernier aux assauts de Saragosse.*

I tak stary sierżant, który zwykle budował baraki dla sztabu, został nagle oficerem. Ale pomimo to, nie dał sobie odebrać tej czynności i pełnił ją zawsze z równą gorliwością. W 3-ej kompanii porucznik Nowakowski przemówił do cesarza, skarżąc się, że nie został dotąd awansowany na kapitana, co jednak spotkało młodszych oficerów — w których liczbie byłem i ja.

— Dlaczego tak się stało? — zapytał cesarz.

— *Sire* — odparł pułkownik — *il n'a fait qu'une campagne en Espagne, pendant que les promus ont été toujours présents au régiment.*

Cesarz nic nie odpowiedział, poszedł dalej. Ale Berthier zapisał sobie nazwisko oficera. Przeszedł on zaraz potem w stopniu kapitana do nowo tworzącego się pułku. Po skończonym przeglądzie, przedefilowaliśmy przed cesarzem. Nie wiem jakim sposobem dowódca pierwszego batalionu źle zrozumiał komendę, zwrócił się w mylnym kierunku i zapędził się tak daleko, że cesarz musiał się cofnąć o kilka kroków przed nimi.

— *Mais diable!* — zawołał — *que me veulent – ils donc?*

Po wyjściu z promienia obecności cesarskiej, wszyscy rzucili się na nieszczęśliwego oficera.

45

— Byłbym cię skazał na dwa tygodnie aresztu — powiedział generał Chłopicki — gdyby był cesarz nie zwrócił uwagi na twoją niepojętą głupotę!

Potem cesarz rozpoczął przegląd starej gwardyi. Pierwszy raz wtedy mogłem się jej swobodnie przypatrzeć. Widziałem nieraz piękniejsze wojsko, ale nigdy nie widziałem żołnierzy, którzyby wyglądali tak imponująco. Gwardya holenderska włączona do cesarskiej, miała bezwarunkowo dorodniejszych ludzi, młodych, pięknych jak malowanie, wspaniale umundurowanych, ale brak im było tej rycerskiej aureoli, jaka otaczała starą gwardyę francuską. Nie mógł w niej służyć nikt, kto nie miał 10 lat służby, czterech kampanij i dwóch ran — i dlatego te pomarszczone, surowe twarze, te energiczne fizyognomie miały w sobie coś groźnego. Można ich było porównać tylko z rosyjską gwardyą, z tą różnicą, że i oficerowie w gwardyi francuskiej byli starsi, bo stopnie oficerskie nie dostawały się tym, o którym mówi Sallustyan, że szlachectwo „*inter se per manus tradebat.*”

Różnorodne odmiany w samej gwardii — wołyżerowie, strzelcy, i t. d. — stanowiły doskonały środek wynagrodzenia ludzi, którym natura odmówiła wielkiego wzrostu.

Dzień 22-go sierpnia, w którym zostałem kapitanem, był dla mnie smutny pod tym względem, że jednocześnie postradałem mego pułkownika, Chłusowicza — oficera takiego, jak ich niewielu spotkałem w ciągu długiego życia swego. Wykształcony, a nawet surowy — zręczny, wszechstronnie doświadczony, bardzo łagodny w obejściu, ale surowy w obowiązkach służbowych, wywierał on w pułku wpływ, który długo jeszcze później dawał się odczuwać. Raz tylko jeden widziałem, że się uniósł, ale sposób, w jaki to naprawił, świadczył najlepiej jak dalece był honorowym człowiekiem. Kiedy wojska zbliżyły się do Smoleńska, biwakowaliśmy raz tuż przy

46

gościńcu. Właśnie urządziliśmy się w obozie, namiot pułkownika był już rozpięty, a on sam siedział przy stoliku obozowym i golił się, jak robił regularnie codzień. Miednica z wodą stała przy brzegu namiotu. Nagle wpadł biały pudel i rzucił się na wodę. Zanim pułkownik, albo ja, który siedząc na łomoczkach pisałem, mogliśmy wypędzić zwierzę, wszedł do namiotu dekorowany grenadyr starej gwardyi w pełnym ubrojeniu, założył psu obrozę i uprowadzając go ze słowami „*pardon messieurs*”, wyrzucił miednicę z wodą, która była wtedy taką rzadkością.

— *A-t-on jamais vu un insolent comme ça?* — zawołał rozgniewany pułkownik, rzucił się — trzymając jeszcze w rękę brzytwę — na grenadyera i wypchnął go ze złością z namiotu. Myśleliśmy, że na tem się skończy sprawa, ale wieczorem zjawił się u nas sztabowy oficer gwardyi z grenadyrem, obaj w galowych mundurach.

— Panie pułkowniku — przemówił francuski oficer — ubliżyłeś pan dziś ciężko honorowemu człowiekowi — (*fortement compromis*), który cieszy się szacunkiem całego pułku. Przybywam tu w imieniu marszałka Berthiera, dla załagodzenia „*cette affaire désagréable*”, do czego, silnie jestem przekonany, wystarczy proste napomknienie.

Mój pułkownik, nie tracąc ani na chwilę spokoju, odpowiedział krótko:

— Nie mogę zaprzeczyć, że rano uniosłem się — (*je me suis emporté*), ale wnet tego pożałowałem — i byłbym załagodził na miejscu tę sprawę, gdyby nie to, że grenadyr znikł mi zaraz z oczu. Nieprawdaż, *grenadier, vous ne me voulez pas mai pour ça?*

I podał mu rękę, którą grenadyr uściśnął serdecznie — poczem dodał: *qu'il avait reçu la plus belle réparation du monde* i odszedł. Ale oficer pozostał jeszcze chwilę, usprawiedliwiając się niejako, że się podjął tej sprawy dla uniknięcia złych następstw,

47

jakie pociągały za sobą często podobne zatargi pomiędzy wojskowymi, o co, na nieszczęście, przy charakterze *bouillant des Français* było aż nadto łatwo. Mój pułkownik jednak nie wspominał już o tem; było mu to w każdym razie nieprzyjemne.

Pułkownik Chłusowicz został mianowany grosmajorem 2 pułku *des chevaux légers de la Garde* i został z piechoty przeniesiony do konnicy. Pułkownikiem tego pułku został Konopka, który przez atak swojej jazdy pod Albuera zdobył sobie wielki rozgłos. Obaj oni byli rodem z Litwy, a i sam pułk został sformowany na Litwie w Słonimiu. Pułkownik wydał tego dnia proszony obiad dla generała Wincentego Krasieńskiego i wielu innych dygnitarzy z gwardyi, *chevaux-légers*, oraz dla Polaków ze sztabu Berthiera, przyczem pito porządnie. Rozdawano tam posady gubernatorów, dywizye, pułki i brygady *ad infinitum* — na cześć polskiego państwa od Warty do Dniepra, wznoszono wiwaty. Ale przytem z wielką trafnością i bystrością sądzili wszyscy o położeniu armii. Wszyscy byli tego zdania, żeby się zatrzymać nad Dnieprem, umocnić najważniejsze punkty nad Dźwiną i Dnieprem, zorganizować

Litwę, całą armię operacyjną trzymać zebraną w jednym wielkim obozie, a polskie wojska wyprawić na Wołyń i do Małorosyi. Sami Rosyanie wtedy i później uważali tę część kraju za Achillesową piętę swego olbrzymiego państwa. Gdyby tylko księciu udzielone zostało pozwolenie pociągnięcia w tamtą stronę ze swem wojskiem, byłby niezawodnie odnalazł miecz, którym Chrobry nazaczył bramy Kijowa. W polskich kołach wojskowych daleko lepiej zdawano sobie sprawę z położenia, niż we francuskiej głównej kwaterze. Gdyby był Napoleon choć raz zebrał przy sobie dzielnych polskich dowódców i roztrząsał z nimi gruntownie cały stan rzeczy, byłby zupełnie zmienił swoje zapatrywania i odstąpił od czysto francuskiego, a raczej

48

Napoleońskiego punktu widzenia, z którego sądził okoliczności i niezawodnie pozbyłby się swoich dziwnych poglądów. W całej tej kampanii 1812 r. postępował on tak samo, jak Karol XII, upędzając się za cieniem, za marą — z tą tylko różnicą, że obrał inny kierunek, lecz to nie zmieniało rzeczy. Ale już pod Smoleńskiem zaczęły wzbierać fale, które go miały pochłoniąć.

Z moim pułkiem— z którym rozstałem się wtedy z najgłębszym żalem — spotkałem się dopiero znacznie później, w całkiem odmiennych okolicznościach. Dowódcą pułku został pułkownik Malczewski, adjutant marszałka Berthiera, człowiek bardzo energiczny, który poprzednio kształcił się w Krakowie na profesora matematyki, ucziwy, odważny i dzielny— ale już nie to, co Chłusowicz.

Z naszego przedmostowego szańca robiłem wielokrotnie wycieczki do samego Smoleńska. Podczas gdy cesarz miał tam główną kwaterę, zdarzały się wielokrotne pożary i to niemałe. W chwili naszego wymarszu dużo już domów leżało w gruzach.

August Caulincourt, który był gubernatorem, a raczej komendantem miasta, został za to przez cesarza przyjęty w sposób niesłychanie przykry, a gdy potem poległ pod Możajkiem, nie brakło ludzi, którzy utrzymywali, że dobrowolnie szukał śmierci pod wpływem zmartwienia. Ale czegoż to ludzie nie mówią!

23-go otrzymaliśmy rozkaz przygotowania się do wymarszu. Tego samego dnia, miałem sposobność widzieć plan Smoleńska u oficera inżynierii, który go zdejmował. Robota podzielona była pomiędzy czterech oficerów, z których jeden z pomocnikami zdejmował plan samych fortyfikacyj. Na wykończonej już części planu, można było widzieć, że dobra połowa miasta jest spalona. Że początkowo wzniciły pożar nasze granaty, nie ulega

49

żadnej wątpliwości; wspominałem też, że nieprzyjaciel przed wymarszem podpalił magazyny, z kąd ogień rozszerzył się na drugą część miasta. Ale pożary, które kilka razy wybuchały pomiędzy 18 — 22-im sierpnia, były bezwątpienia spowodowane niedbalstwem żołnierzy.

XXXVII

Opuszczenie Smoleńska. — Pochód przez pobojuwisko pod Walutynem, Dorogobuż, Zemlewo, Wiaźmę, do Gżacka. — Skoncentrowanie armii. — Bitwa pod Szewardynem. — Utarczka 6-go września. — Bitwa pod Możajkiem 7-go. — Biwak na pobojuwisku. — Pochód przez Możajsk, Krymskoje i t. d.

Rankiem 24-go sierpnia ruszyliśmy w pochód. Dzień był gorący, a gdyśmy szli przez pole bitwy pod Walutyną-Górą upał był już silny. Ciała poległych leżały niepogrzebane i wyglądały ohydnie.

— Spójrzyj-no, mój młody przyjacielu! — odezwał się do mnie stary kapitan Razowski, obok którego jechałem i dodał barbarzyńską francuzczyzną, którą posługiwał się zawsze, gdy nie chciał być zrozumiany przez żołnierzy. *Nous tous serons bientôt tués comme ça.*

Podzieliłem się tą miłą przepowiednią z moim przyjacielem Żórawskim. A kiedy ciepły powiew wiatru przyniósł nam zabójczy wyziew z pobojuwiska, gdyśmy jechali między niezliczonymi trupami, kolega mój — młodzieniec wrażliwy i uczuciowy — wybuchnął nagle.

Quels traits me présentent vos faits

Impitoyables conquérants!

Zdumiewający był i tutaj stosunek poległych Francuzów do Rosyan, których można było poznać po ogolonych głowach. Zapewne lepsze karabiny

50

francuskie i zręczniejsze kierowanie wojskiem były tego powodem. Jest to zaś zupełnie nieuzasadnione twierdzenie, żeby Francuzi zawsze mieli grzebać swoich poległych. Nie posuwali oni tak daleko swojej uczuciowości. To samo spostrzeżenie uczyniłem pod Połtanówką, pod Smoleńskiem i pod Walutynem.

Biwakowaliśmy w pustej okolicy, o 25 wiorst od Smoleńska; nazajutrz tak samo w pustyni o 42 wiorsty od Smoleńska. Staliśmy w pewnej odległości od gwardyi, której lewe skrzydło mieliśmy osłaniać. Dwa razy w ciągu nocy stawaliśmy pod bronią, bo zdawało się, że widać kozaków. Ale patrole, które posuwały się daleko, nic nie spotkały. Uważniejsi żołnierze i oficerowie twierdzili jednak,

że słycać odgłos marszu znacznych oddziałów jazdy. Obóz nasz stał o 12 wiorst od Dorogobuża nad Dnieprem, który przeszliśmy znowu następnego dnia po raz drugi, przebywszy go raz pierwszy w drugim dniu pochodu od Smoleńska, w pobliżu Pniewa.

Dorogobuż, dość znaczne w tej okolicy miasteczko, pobudowane wzdłuż wybrzeża Dniepru, było nietknięte, ale opuszczone przez mieszkańców. Nie sądzę, żeby mogło być dla armii źródłem wielkiego pożytku. Przeszliśmy przez nie żwawo i rozłożyliśmy się obozem o 30 wiorst od miasta, wśród lasu, w którym widać było wieże jakiegoś klasztoru.

28-go rano o 9-ej wyszliśmy, idąc wśród tumanów tak gęstego kurzu — że trudno było oddychać. W odległości 30—40 kroków nie można było dojrzeć grubych rosnących przy drodze brzoź, przytem brakowało zupełnie wody, skutkiem czego upał podwójnie był dokuczliwy. Około 4-tej przyszliśmy do Zemlewa, gdzie byłznaczony biwak.

Rozłożyliśmy się niedaleko od małego strumyka, nad którego brzegami leżały ciała pozabijanych koni, a gdzieniegdzie i trupy poległych. — Musiała

51

się tu odbyć potyczka, w której padło parę setek ofiar. Woda była zanieczyszczona i zła; żołnierze spuszczała ją do dołków, wygrzebanych w piasku nadbrzeżnym i zostawiali tam dla oczyszczenia, żeby w ten sposób uczynić możliwą do picia.

Chleb był rzadkością i zastępowaliśmy go sparzonym zbożem. Wszystko, cośmy przecierpieli podczas oblężenia Saragossy, podczas pochodów przez pustkowia Aragonii, na rozpalonych płaskowzgórzach Kastylii, tu znalazło się jednocześnie, razem zebrane!

29-go weszliśmy do Wiaźmy, rozłożyliśmy się biwakiem o wiorstę od miasta i przebyliśmy tam cały dzień 30-go sierpnia. Właściwe miasto leży dość wysoko, ale my górowaliśmy nad niem z grzbietu wzgórza, położonego od południowo-zachodniej strony na odległość armatniego strzału, a otoczonego w pewnej odległości lasem. Północny brzeg jest wyższy od południowego. Nieprzyjaciel stanął na północ od miasta, przyjął Francuzów silną kanonadą i po dłuższej utarczce cofnął się. Odchodząc, podpalił

magazyny. Ogień przerzucił się zaraz na miasto, a pomimo, że nasza przednia straż odkomenderowała ludzi do gaszenia pożaru, spaliła się jednakże znaczna część domów. Francuzi potem zajęli się ufortyfikowaniem pozostałych budowli, żeby je przygotować do obrony. Z trudnością przedzieraliśmy się przez dymiące zgłiszczka. Przejście przez miasto odbyło się pospiesznie, bo ogólnie przypuszczano, że przyjdzie tam do bitwy. I tu również podczas pochodu ucierpieliśmy dużo skutkiem kurzu i gorąca. Oba te czynniki bardzo źle wpływały na oczy. Francuzi ze znajdującego szkła robili sobie okulary, oprawiając je w skórę lub płótno i przywiązując przed oczyma. Inni owijali głowy chustkami, pozostawiając tylko szpary, przez które mogli widzieć i oddychać, a kaszkiety nieśli w rękę; wielu żołnierzy zrywało liście z drzew, chłodzili nimi

52

głowy i kładli je do ust dla orzeźwienia. Wojsko przedstawiało dziwaczny widok — ale chłodniejszy powiew wiatru, lub mały deszczyk, niweczyły szczątki maskarady i powracały wszystkich do zwykłej postaci. Zdobycie Wiaźmy spowodowało też zmianę w naszym pożywieniu. Nasi żołnierze już przed tem próbowali niekiedy końskiego mięsa — od tego miasta zaczęło ono być stale używane jako pożywienie, ponieważ miejscowa ludność pospędzała swoje bydło zbyt daleko od gościńca, żeby było możliwem je zagarnąć. Ale na nieszczęście, często brakowało nam soli; żołnierze sypali proch z nabojów do wody, żeby niesmaczne jadlo choć tym sposobem przyprawić w wodzie z saletrą.

Pomimo, że Dorogobuż i Wiaźma stanowiły dawniej graniczne punkty między Polską a Rosyą, wszystko tu miało zupełnie już inną, odrębną cechę, wszystko było inaczej, niż w Polsce. Wsie, domy od samego Smoleńska były zupełnie jednego pokroju i świadczyły wyraźnie, że tu rządzi jedna, silna, odrębna wola, która wszystkiemu nadaje jednakowe piętno. Pokażniejsze budowle, mianowicie nowsze, były stawiane według jednego wzoru i różniły się tylko rozmiarami. Świątynie też były do siebie podobne. Podłużny czworobok stanowił wnętrze, zawierające trzy oddziały. U wejścia był rodzaj przedsionka, za nim następowała obszerniejsza część, właściwy kościół, w którym nawprost wejścia wznosił się ołtarz zajmujący całą szerokość gmachu. Przez małe drzwiczki po obu jego bokach wchodziło się do trzeciej części, zakrystyi. Przez jedne wchodził tylko ksiądz, odprawiający nabożeństwo, a zwano je wrotami świętymi. Przed ołtarzem stał tylko skromny pulpit. W niektórych miastach były w ołtarzach piękne obrazy, ale wszystkie nowe. Nad przedsionkiem wznosiła się wieża, zwykle hojnie zaopatrzona w dzwony, a przy starych gmachach mająca nieodmiennie kształt cebuli.

53

Pod krzyżem na szczycie wieży w dawnych świątyniach były zawsze półksiężycy dla zaznaczenia zwycięstwa chrystyanizmu nad islamem, co już i na świątyniach litewskich można było widzieć. Dalej, w głąb Rosyi, po za Możajkiem, nierzadko widać było pięć wieżyc na świątyni, często pomalowanych kolorami, co przy dobrym świetle osobliwsze robiło wrażenie. We właściwej Rosyi wsie miały jedną długą, prostą, zawsze bardzo szeroką ulicę. W środku stał zwykle śpichlerz, po za domami mieszkalnemi, w pewnem oddaleniu stajnie i szopy. Wszystkie budynki podobne były do siebie zewnątrz i wewnątrz. Domy mieszkalne zawsze były szczytem zwrócone do ulicy, często oparte na filarach, stanowiących rodzaj kolumnady, co robiło przyjemne wrażenie. Dom chłopą składał się zwykle z dwóch izb. W izbie mieszkalnej główne miejsce zajmował ogromny piec. Po za nim rodzaj przedłużenia niższego od pieca było miejscem, gdzie sypiała cała rodzina. Naprzeciwko stał długi stół, po nad nim w rogu na półeczce obrazy święte, przed którymi każdy wchodzący do izby składał potrzykroć pokłon. W drugiej izbie mieściły się zapasy, które gospodyni chciała mieć tuż pod ręką: słonina, kasza, baryłki z kwasem, główne podstawy każdego gospodarstwa rosyjskiego, zapasy ryb suszonych, węgli, mąki i innych wiktuałów. W każdym gospodarstwie była też osobna lodownia, w stodole pod klepiskiem. Była to piwnica 6 — 8 stóp głęboka, starannie oszalowana, do której prowadziła kłapa, zbita z grubych bali, na równym poziomie z klepiskiem. Dzięki temu prostemu urządzeniu, można było mieć w lecie zimną i zdrową wodę, tu się też przechowywały zapasy, mięso i mleko. Łaźnia i wspólny plac, na którym przygotowywały się materiały do budowy i naprawy domów, były w każdej wsi.

Dnia 1-go września rozłożyliśmy się obozem niedaleko od miejscowości Carewo, która w polsko-

54

rosyjskich wojnach odegrała tak ważną rolę. Niedaleko ztamąd słynny Żółkiewski pobił w r. 1610 armię szwedzko-rosyjską pod wodzą jenerała de la Gardie, posunął się w szybkim pochodzie do Moskwy i tam z pomocą partyi rosyjskiej królewicza Władysława ogłosił carem rosyjskim, a 31-go sierpnia odbył wjazd do Moskwy po przyjęciu poprzednio deputacyi. Nazwiska tych, którzy byli w orszaku hetmana podczas tego pochodu bohaterskiego, świeciły teraz w armii napoleońskiej na wybitnych stanowiskach.

Cała wyprawa ówczesna szła tym samym szlakiem, co my teraz: nic dziwnego, że na każdym kroku budziły się wspomnienia z tamtych czasów bohaterskich. Na nieszczęście, głównemu korpusowi polskiemu nie dano było wstąpić na te miejsca: powierzono

mu osłonę prawego skrzydła wielkiej armii, co go trzymało o parę mil dalej na prawo. Myśleliśmy z początku, że nieprzyjaciel będzie chciał stoczyć bitwę na tem silnem stanowisku, ale cofał się ciągle, a my postępowaliśmy za nim spiesznie.

Dnia 3 września doszliśmy do Gżacka, dużego i ładnego miasta, które, pomimo że usiłowano je podpalić, zachowało się w całości i dopiero później spaliła się zupełnie główna ulica przez nieostrożność, jak sądzę. Większa jej część szła prosto, dwupiętrowe po większej części domy były bez wyjątku zaopatrzone w ozdobne przedsionki i jaśniały śnieżną białością, miały gżemsy niebieskie, a na nich białe płaskorzeźby, które całości nadawały gustowny i miły pozór. Miasto leżało na obu brzegach rzeki łączącej się z Wołgą, a jednocześnie małemi strumykami i potokami, które z wiosną zamieniają się na rzeki, połączone też było z Dnieprem i Dźwiną. Na tym wodnym gościńcu kwitł handel; miasto było głównym punktem handlu między morzem Czarnem a Bałtykiem, co tłumaczyło, że na

55

każdym, najmniejszym strumyku były warsztaty, gdzie budowano statki i domy, które, gotowe do ustawiania, rozsyłano ztąd po całej Rosyi. Oprócz tego miasto otaczały ogrody warzywne. W ogóle cały kraj od Wiaźmy do Gżacka ma zupełnie inny charakter,

niż kraj, przez który szliśmy od Mińska do Smoleńska. W piaszczystej i bagnistej Litwie, z wyjątkiem brzegów Wilii, zaledwie kilka powiatów można było nazwać górzystymi, gdy tu pagórki, łąki, ogrody i pola uprawne następowały po sobie kolejno, bawiąc przyjemnie oko. Te widoki i kilka dni chłodnych orzeźwiły nas znacznie.

Pierwszy opór, jaki zaczęli stawiać Rosyanie, wiadomość, że naczelnym wodzem mianowano starego Kutuzowa, którego Francuzi nazywali *le fuyant d'Austerlitz*, same te przygotowania, jakie spotykaliśmy na drodze, dawały nam nadzieję, że na koniec przyjdzie do bitwy stanowczej. Armia nasza zebrała się tu po raz trzeci; to, czego brakowało zupełnie pod Witebskiem, a pod Smoleńskiem w części, mieliśmy nadzieję osiągnąć tu w zupełności. Rozkaz dzienny polecał wojskom zaopatrzyć się w żywność, skompletować naboje, jenerałowie musztrowali żołnierzy i liczyli najsprawniejszych. Ci, co pozostali, mieli dobrą postawę i stojąc pod bronią wyglądali tak raźnie i czysto, jak gdyby tylko co wyruszyli w pochód. Odzienie mieliśmy dobre, mundury i spodnie były prawie jak nowe, tylko płaszcze mocno ucierpiałły. Wielkie cegielnie i należące do nich obszerne zabudowania, dały nam sposobność przespania się pod dachem, *po raz pierwszy* od rozpoczęcia kampanii, a że w ciągu tych dni deszcz padał kilka razy, było to dla nas tem więcej pożądane. Chłodny wiatr rozpedził wszystkie złe humory, a bliskość wody ułatwiła dokładne obmycie się z kurzu.

Dnia 4-go września, o 5-ej rano, opuściliśmy miejsce obozowania. Poszliśmy za 1-ym korpusem,

56

w pobliżu którego szliśmy już od pewnego czasu. Piechota tego korpusu była w bardzo dobrym stanie, ale jazda i artyleria przedstawiała się niewesoło; konie wyglądały nędznie. Oficerowie, którzy mieli sposobność widzieć korpus kawaleryi obozujący o milę przed nami, utrzymywali, że jego konie były jeszcze gorsze i że tylko pułki niemieckie i polskie były w znośnym stosunkowo stanie. Tymczasem korpusy 4 i 5, włoski i polski, osłaniające prawe i lewe skrzydło armii o godzinę drogi, przysunęły się do korpusów 1 i 3-go, do gwardyi i rezerwy artyleryi.

Nasza dywizya posuwała się w pewnej odległości za 3-im korpusem, stanowiąc tym sposobem połączenie między nim a gwardyą. Po wielokrotnych zatrzymywaniach się, skutkiem ustawiania mostów poniszczonych przez nieprzyjaciela, albo też skutkiem złych przejść na drogach popsutych przez deszcze, zostaliśmy doprowadzeni dość późno do Gridniewa, gdzie z tamtej strony miasta rozłożyliśmy się biwakiem w gęstym lesie.

Dnia 5-go wyruszyła znów nasza dywizya o takiej samej godzinie razem z korpusami 3-m i 1-m, utrzymując ciągle łączność tych korpusów z gwardyą, która szła teraz za 8-m korpusem, wysuniętym naprzód skutkiem marszu pośpiesznego. Tego dnia koncentrowaliśmy się jeszcze więcej, niż w przeddzień; cała armia tworzyła właściwie dwie wielkie kolumny, w których 3-ci korpus tak był zbliżony do 1-go, że prawie stanowił z nim połączenie taktyczne. Uszliśmy zaledwie kilka wiorst od naszego biwaku, kiedy usłyszeliśmy grzmot dział. Stopniowo stawał się on coraz potężniejszy, bo Rosyanie bronili dostępu do Kołockoje, klasztoru, leżącego o trzy godziny drogi od Gridniewa, na drodze do Możajska, a bronili uparcie, jak zwykle.

Armia rozciągnęła się i szła rozłożona szerzej — wszystko było przygotowane do bitwy. W różnych

57

stronach słyhać było strzały karabinowe, którym towarzyszył huk armat. Chwilami z pojedynczych pagórków widać było całą armię, posuwającą się naprzód w rozmaitych kierunkach. Na lewo, w niezbyt wielkiej odległości, ukazywał się od czasu do czasu korpus 4-ty; chmary kozaków i olbrzymie masy konnicy zasłaniały jeszcze przed naszym wzrokiem piechotę rosyjską. Za nami, w odległości, w której gubiło się oko, ciągnęły wojska, przybory wojenne i bagaże.

Martwa rezygnacya żołnierzy, wywołana długim pochodem, udęczeniami i brakiem prowiantów najkonieczniejszych, wobec zbliżania się bitwy stanowczej zaczęła ustępować zapałowi. Jak tylko nabraliśmy pewności, że widzimy przed sobą nieprzyjaciela gotowego do boju, zabrzmiały radosne okrzyki, chorzy i ranni zapomnieli o swych cierpieniach, nawet ci, co pozostali w tyle ożywili się i pośpieszyli do swoich pułków.

Nierówny grunt utrudniał trochę pochód. Gęsty las oddzielił na chwilę przednią straż od głównej armii. Nasi przebiegli go szybkim krokiem; jazda ukazała się także równocześnie na placu boju. Z wynioślejszych pagórków widać było długie linie piechoty i jazdy, ze wszystkich stron grzmiały strzały armatnie. Książę Poniatowski posunął się ze swym korpusem więcej na prawo. Dywizya Kniaziewiczza stanęła na samym skraju prawego skrzydła i posunęła się pod ogniem silnej artyleryi dawnym gościńcem moskiewskim aż do lasu. Pierwszy korpus stanął w łączności z 5-m, Ney (3-ci korpus), utrzymywał połączenie z 4-m. Ze wzgórza pod wsią Wałujewo widać było na prawo od gościńca, w niezbyt wielkiej odległości, oszańcowaną wyniosłość, a po za nią wojsko rosyjskie, stojące długimi rzędami. Kiedy nasze wojska weszły na ten pagórek, rozległ się głośny okrzyk radości. Przed nami działa huczały coraz silniej. Właśnie

58

Spuściliśmy się ze wzgórza na łąki, kiedy zobaczyliśmy cesarza nadjeżdżającego od lewego skrzydła. Nie jechał tu sam, jak pod Smoleńskiem; przed nim galopował oficer w otoczeniu kilku strzelców gwardyjskich i bardzo zręcznie wybierał oddzielne miejsca, z których cesarz mógł obejrzeć armię nieprzyjacielską i które zaraz obsadzali jadący za nim strzelcy i polscy ułani. W kilku miejscach nad rzeczką, płynącą przez łąki, robione były przygotowania do przejścia, aczkolwiek prawie wszędzie można ją było przebyć suchą nogą. Pośrodku, między dwiema wsiami Aleksinki i Fomkina, jak się później dowiedziałem, szliśmy jakiś czas przez łąki, przystając niekiedy, a przed nami na prawo wrzała bitwa zacięta i na lewo również grzmiały armaty. Bitwa w lesie, do którego posunął się książę Poniatowski, o ile się zdawało, nie bardzo gorąca, ograniczała się do ognia karabinowego i trwała blisko do godziny 8-ej. Żwawiej toczył się bój na wzgórzu oszańcowanem, które zobaczyliśmy z Wałujewa, a które nosiło nazwę reduty Szewardyńskiej. Tu nie ustawał gwałtowny ogień działowy z towarzyszeniem gęstych strzałów karabinowych; niekiedy wiatr donosił nam z tamtej strony okrzyki zwycięzkie, a pod wieczór, — przypuszczam, że było około godziny 6-ej — nagle umilkł tam ogień i tylko od czasu do czasu odezwał się strzał pojedynczy. Z boku, w niezbyt wielkiej odległości ujrzeliśmy cesarza. Rozpalono wielkie ognisko, przy którym stał tyłem do niego zwrócony. Był, jak zawsze, w szarym surducie i białych spodniach. Przy cesarzu stał Berthier, Sorbier, Monthion, Eblé. Duroc i jenerał Krasiński przechadzali się w pobliżu. Oficerowie służbowi, z których kilku konno, stali w pewnem oddaleniu. Adjutant Eugeniusza w towarzystwie oficera służbowego cesarskiego pokoszczyl szybko w tamtą stronę, a Berthier i Monthion poprowadzili go do cesarza. Zbliżyli się do niego, zdjawszy kapelusze

i stali tak przed nim. Po upływie jakichś dziesięciu minut odjechał adjutant, którego można było rozpoznać po opasce na rękę. Zaraz potem, gdy ucichły strzały na reducie Szewardyńskiej, nasza dywizja otrzymała rozkaz posunięcia się naprzód i rozłożenia się biwakiem na lewo, w niezbyt wielkiem oddaleniu.

Ponieważ nie potrzebowaliśmy rozstawiać placówek, ani przyjmować żywności, wielu oficerów i ja z nimi, poszliśmy do reduty, w której walczone. Jakkolwiek słońce we wrześniu zachodzi zaraz po 6-ej, a dzień był posepny, jednakże dość jeszcze wyraźnie widać było całe otoczenie. Reduta stanowiła nieregularny pięciokąt, którego najdłuższy bok był od strony Doronina, i mógł mieć długości około 60 kroków, a inne 40— 53 kroków. Niepojętym sposobem w reducie nie było nikogo, i leżało równie niewiele ciał poległych, a jednak stało tam dziesięć dział i od strony lasu jeszcze dwa, czy francuskie, czy rosyjskie, nie wiem. Na drodze spotkaliśmy dużo trupów, ale przed szańcem, to jest od strony, z której nacierali Francuzi, aż do samych fos leżało wprawdzie dużo koni z kawalerii rosyjskiej, a jeszcze więcej z francuskiej, lecz bardzo niewielu jeźdźców.

Żaden z niezliczonych opisów, jakie czytałem później, nie objaśnia, w jaki sposób tu się dostali, bo dość gwałtowna spadzistość wzgórze uniemożliwiała atak konnicy. Bardzo prawdopodobnym było to, że po ataku kawalerii, który się odbył na prawo od reduty, jazda przez jakiś obrót dostała się pod ogień dział rosyjskich, które strzelały bez wyjątku do wszystkich — wrogów i swoich. W stronie lasu, na samym zboczu góry, widać było dużo leżących ciał, jak również i na pochyłości od strony wschodniej.

Sama reduta, jak i szańce, które miałem sposobność obejrzeć 7-go września, pomimo, że

starannie zbudowana, miała cechę czegoś niewykończonego. O ile się zdaje, działa jej nie górowały nad drogami do niej prowadzącymi, albo niezupełnie górowały, profile były słabe, fosy nierówno wykopane, strzelnice do dział były w niewielu tylko miejscach porobione i t. p.

O ile mi się zdawało, to reduta Bagrationa górowała nad tym punktem. Z szanów można było śledzić większą część obu armij. Tylko rosyjskie lewe skrzydło i francuskie prawe nie były widzialne. Narachowałem po wyjściu z reduty trzydzieści trzy pożary.

Kiedy teraz po upływie czterdziestu jeden lat przeglądam to, com w czasie kampanii dorywczo notował, i przywodem sobie na pamięć, com wtedy widział, nie mógłbym zmienić ani jednego słowa w tem, co napisałem. Znane mi jest wszystko, co w językach europejskich napisane było o tej kampanii, muszę jednak przyznać, że najwiarogodniejsze jest to, co podał Gourmand w swoim *Examen critique etc.*, który opisuje tę właśnie chwilę. Ze sprawozdań polskich autorów można wnosić, że Polacy nie stoczyli tu wielkiej bitwy, co potwierdzają nieznaczne straty, jakie ponieśli. Noc na całym froncie wojsk minęła spokojnie, tylko na prawem skrzydle kiedy niekiedy słychać było strzały, po których następował krótki ogień tyralierski. Jak prawie zawsze, tak i wtedy po zachodzie słońca ochłodziło się znacznie, obfita rosa zwilżyła niziny i wszędzie wisały je j krople. Po zimnej nocy zaświtał dzień nieprzyjemny, ale suchy, ostry wiatr, który zerwał się o brzasku, pobudził wcześniej wszystkich. O czwartej stanęliśmy pod bronią. Dość gęsta mgła, rozpościerająca się na łąkach między wzgórzami, zasłaniała widok blisko do ósmej. Pomimo to z pierwszym promieniem słońca zobaczyliśmy cesarza przejeżdżającego mimo naszego biwaku w towarzystwie generała Sorbiera. a nim jechało tylko trochę

chasseurs de la garde i *chevaux légers polonais* bez lanc, i kilku oficerów służbowych, ale w pewnym oddaleniu. Cesarz miał minę bardzo surową, znikł wkrótce we mgle rozpostartej na łąkach, ale potem ukazał się nam z drugiej strony doliny, wjeżdżając pod górę na szczyt pagórka, sterczącego jak wyspa wśród morza mgły. W lesie na prawo od nas grzechotały karabinowe strzały bardzo wcześniej, chwilami słabiej, chwilami mocniej. Około 10-ej posłane tam zostały wojska francuskie na pomoc, bo nieprzyjaciel powstrzymywał nacierających. Koło południa uspokoiło się tam, a potem zaczęło się uspakając na całym froncie.

O dziesiątej wybrałem się po raz drugi do reduty Szewardyńskiej. Zastałem tam artylerię francuską, zajętą obwarowywaniem reduty do obrony. Poupząto już zabitych, ciała leżące wokoło były poobdzierane z ubrań, a od tego rabunku ocalały tylko te, które otrzymały rany od pocisków armatnich i których mundury były skutkiem tego zanadto pokrwawione. Jakkolwiek oficerowie artylerii, zajęci przy robotach w reducie, poprosili nas o opuszczenie tego miejsca, mogliśmy jednak przyjrzeć się dobrze do dość wysokiego wzgórze okolicy, którą rosyjski dowódca obrał za plac boju.

Prawe skrzydło, rozstawione w rzadkim, miejscami tylko gęstszym lesie, nie było widzialne, jedynie z wielkiego dymu, jaki się wznosił w tamtej stronie, można było wnioskować o znacznej liczbie zebranych tam wojsk. Od czasu do czasu zdawało się, że słychać krzyki; uderzenia siekier dochodziły ztamtąd wyraźnie. Na łąkach, ciągnących się ku Kołoczy, wznosiły się wyższe i niższe pagórki, zaopatrzone w szańce, przy których widać było jeszcze pracujących ludzi. W niewielkiej od siebie odległości ciągnęły się dwa pasma wzgórze. Prócz tego wyróżniały się trzy wyraźniejsze grupy, w równym od siebie oddaleniu, oznaczające stanowiska lewego

i prawego skrzydła, oraz centrum — co mogło zajmować aż do lasu przestrzeń $\frac{3}{4}$ mili. Grunt zniżał się od lewego skrzydła rosyjskiego ku prawemu. Mała rzeczka Kołocza, płynąca od północno-wschodu ku południo-wschodowi, którą przeszliśmy później,

przecinała na dwie części miejsce, na którym stała armia. Naprzeciwko Szewardynu górowało ono nad brzegiem, gdzie stali Francuzi.

Na dokładniejsze zbadanie stanowisk wojska nie miałem już czasu. Raz jeszcze obejrzałem się poza siebie, tam, gdzie pod Wałujewem były biwaki gwardyi, a w pośrodku stał rozbity namiot cesarski. W samym środku tego ożywionego krajobrazu jaśniała

wieża cerkiewna we wsi Borodino, pokryta zieloną blachą; z rozmaitych stanowisk, które zajmowaliśmy podczas bitwy, widziałem ją ciągle. Znając *ordre de bataille*, można było utworzyć sobie w przybliżeniu pojęcie o rozłożeniu wojsk, ale

niezupełnie jasne, jeżeli się nie wiedziało specjalnie podziału poszczególnych pułków, brygad i dywizyj. Wszędzie było widać tylko linie, kolumny i parki, nie wiadomo do jakich wojsk należące. W obozie rosyjskim, przy rozmaitych oddziałach długie szeregi powózek przyjeżdżały i odjeżdżały.

Na biwakach wszędzie pracowano gorliwie. Żołnierze czyścili broń, uzupełniali naboje w ładownicach: porządkowano i układano jednocześnie galowe przybory. Obwarowywano niektóre punkty.

Mogło być koło 3-ej albo trochę później, kiedy otrzymałem rozkaz zawiezienia listu jenerałowi Monthion, szefowi głównego sztabu. Ponieważ nie dano mi żadnej wskazówki, gdzie go mogę zastać, skierowałem się w stronę namiotu cesarskiego, a tam objaśnił mnie oficer gwardyi, który dawniej służył w 14-m pułku i z którym odbyłem oblężenie Saragossy. Oficer dyżurny z *bureau du détail du mouvement des troupes* wziął odemnie list i zarejestrował go. W powrotnej drodze spotkałem się

63

z kapitanem Dessaix, który był dawniej adiutantem marszałka Sucheta, a potem został oficerem ordynansowym przy cesarzu. Zaprzyjaźniliśmy się z sobą w Hiszpanii, a teraz zabrał mnie on z sobą do namiotu cesarskiego, przed którym z jednej strony stał portret małego *roi de Rome*, o czym wspomina Ségur. Opowiadano, że cesarz, otoczony adjutantami i grenadyerami starej gwardyi, długi czas wpatrywał się z zachwytem w ten portret. I wtedy jeszcze stały przed nim tłumy. Starzy żołnierze z siwemi włosami, którzy setki razy widywali cesarskie dziecię, robili różne uwagi.

— *Espérons* — odezwał się stary sierżant — *qu'il suivra les traces de son père.*

— *Souhaitons lui en attendant des moustaches* — dodał drugi, przez co chciał zapewne powiedzieć, że życzyłby, ażeby był już starszy.

We wszystkich ustach były słowa Napoleona:

— *Retires le, it voit de trop bonne heure un champ de bataille.*

I dopiero przerażające sceny następnego dnia odwróciły w inną stronę myśli wszystkich. Pamiętam dobrze, że portret przedstawiał cesarskiego syna siedzącego w kołysce i bawiącego się piłką. Zaraz potem zwrócił moją uwagę oficer z armii hiszpańskiej, adjutant marszałka Marmonta, którego Dessaix nazwał pułkownikiem Fabvier, przybyły, jak mówiono — z wiadomością o przegranej bitwie pod Salamanką. Ale trzymano to w tajemnicy i bardzo wielu, wyższych nawet oficerów, dowiedziało się o tem dopiero po powrocie do kraju, do Niemiec lub Francyi. Pułkownik rozmawiał z wielu oficerami; miał minę bardzo posępną i wygląd chorowity. Słyszałem później, że brał udział w bitwie razem z pułkiem piechoty z 4-go korpusu, a zaraz po bitwie odjechał z powrotem do armii hiszpańskiej.

W obozie, jak przedtem, krzatali się wszyscy bardzo żwawo. Wieczorem przy apelu odbył się

64

przeгляд broni, ubrania i obuwia. Należało podziwiać doskonały rzeczywiście stan tych wszystkich szczegółów. Świadczyło to dobrze o energii oficerów i żołnierzy. Ludzie też wyglądali świeżo, pomimo, że kompanie bardzo stopniały. Ten, kto widział w kotłach zboże ugotowane na miękko, które żołnierze jedli zamiast chleba i kto wiedział, że po za tem jedyne ich pożywienie stanowiło mięso ze spędzonego bydła lub z zastrzelonych koni, często bez soli, musiał się zdumiewać, że wszystko i wszyscy byli tak jak byli.

Wilgotna, drobnym deszczem przeplatana noc dopełniła w naszym obozie miary dolegliwości. Rozłożeni, przy ogniskach, spędzaliśmy czas na rozmowie o przeszłości i przyszłości, dopóki znużenie nie zamknęło nam oczu. Ale około północy rozpadł się znowu deszcz, a przenikliwie zimno pobudziło ludzi, którzy popodnosili się z wilgotnej ziemi. W tej właśnie porze doszedł do pułków słynny rozkaz dzienny Napoleona. Przetłómaczenie tego rozkazu, czego dokonał sam pułkownik z wielką starannością, zajęło trochę czasu. Było może około 3-ej, adiutanci *sous-officiers* Kupść i Madaliński zwołali feldfeblów, żeby im podyktować rozkaz przy świetle ogniska dla odczytania go o świcie żołnierzom. Po za naszym obozem przeciągały wielkie oddziały kawalerii z prawego skrzydła, byli to Francuzi, Niemcy i Polacy. Przed jednym z pułków śpiewał piękny dźwięczny głos *Pieśń jeźdźców* Szyllera, a chór powtarzał końcową zwrotkę ostatniej strofy:

Znikła już wolność na świecie

Wszędzie panowie i słudzy...

Te słowa zabrzmiały, gdy jeźdźcy mijali nasz pułk. Kazałem się zapytać, co to za wojsko i dowiedziałem się, że to pułk pruski.

65

Przy ogniach biwakowych widać było wszędzie ciemne postacie, które niespokojnie błąkały się wokoło. Była to dla wielu ludzi już ostatnia noc, którą spędzali wśród ziemskich udręczeń.

Ani bębny, ani trąby, ani żadne wojenne okrzyki nie wezwały żołnierzy pod sztandary. W popiele słabo tlejących ognisk upiekliśmy trochę kartofli, od dawnego czasu niewidzianych, których dostarczył nam szczęśliwy wypadek i to stanowiło całe nasze śniadanie. Napoleon przejechał, koło nas jeszcze przededniem. Z pierwszym brzaskiem wschodzącego dnia stanęło wszystko pod bronią. Za nami z prawej strony, po za redutą Szewardynską, stała stara gwardya w paradnych mundurach; czerwone kity i epolety jaśniały jak krwawa smuga na polach, cesarza widać było wysoko na szczytach.

Nie mam wcale zamiaru opisywać dokładnie samej bitwy, która się potem rozpoczęła, mogę tylko wskazać ogólnie miejsca, w których walczone i opisać ducha wojsk, które walczyły, mając w pamięci wyrażenie Wellingtona o bitwie pod Waterloo, że: tak samo niepodobieństwem jest opisać bal, jak bitwę.

Przed nami padło kilka strzałów, na prawo w lesie zawrzała żywsza walka. Około siódmej bitwa rozwinęła się w całej pełni: na wszystkie strony grzmiały działa. Ale pomimo, że staliśmy blisko pola bitwy i kule armatnie padały przed nami, albo też przelatywały ponad nami, nie widzieliśmy nic, co się dzieje. Ranni, których przed nami przenoszono, opowiadali, że reduta została nam odebrana, że jenerał Compans, Dessaix i marszałek Davoust ranieni. Od czasu do czasu dochodziły do nas wołania: *En avant!* — i rosyjskie „hura!” które nam wiatr przynosił; ale bitwy samej nie widzieliśmy. Zaraz po dziesiątej rozległa się komenda:

— Na ramię broń!

Ruszyliśmy naprzód. Mieliśmy Szewardyno z boku za sobą o jakie 1000 — 1200 kroków i doszliśmy do małego załomu wzgórza, kiedy nagle odezwało się:

— Stój!

Armatnie kule zaczęły ze wzgórza padać przed nami i przelatywać ponad nami. Jenerał Chłopiński przyjechał, przyjrzał się stanowisku nieprzyjaciela; jenerał Claparède przybył do batalionów, kazał wystąpić oficerom, przypomniał im dawną sławę pułku, a potem udał się do kompanii grenadyerów 1-go pułku i tam pozostał dłużej. Chambray objaśnia nasze pozostanie na miejscu tą okolicznością, że cesarz zamiast nas posłać na pomoc Neyowi, o co nalegał, odprawił z niczem jego posła. Bitwa srożyła się dalej. Na prawo od nas widzieliśmy przeciągających tłumnie rannych. Zdawało się, jak gdyby bitwa posuwała się z prawej strony i za nami — i tu i tam padały gęsto strzały. Pomimo, że słyszeliśmy bezustanny świst kul armatnich, nie postradaliśmy jeszcze ani jednego człowieka. Jenerał wybrał nam stanowisko z największą przezornością, byliśmy zabezpieczeni od niepotrzebnych strat, a mogliśmy się poruszać swobodnie na wszystkie strony w razie potrzeby. Około 10-ej przybył ordynansowy oficer od cesarza. Wzięliśmy natychmiast broń do ręki i skierowaliśmy się na lewo od zajmowanego miejsca. Przerznięliśmy w ten sposób znaczną część pola bitwy, idąc przez łąki wzdłuż małego przepływającego przez nie strumyka. Na prawo od nas wrzała bitwa, na lewo stały długie szeregi i jazdy *en ligne*, w których ogień nieprzyjaciela robił wielkie szczyby. I my także postradaliśmy kilku ludzi, ponieważ kule armatnie uderzały niekiedy w nasze kolumny.

Niedaleko nas musiała się toczyć najgwałtowniejsza walka, staliśmy na miejscu dobrze osłoniętem,

67

a całe gromady rannych przejeżdżały i przechodziły koło nas. Wieża Borodina wznosiła się przed nami, widzieliśmy tylko jej zieloną czapkę, na której połyskiwały chwilami promienie słońca. Nie wiem, która mogła być godzina, kiedy zobaczyliśmy z tamtej

strony wsi oddziały jazdy i usłyszeli armatnie i karabinowe strzały. Słońce było już wysoko na niebie. Był to sławny atak konnicy Suworowa, odparty, jak wiadomo. W tejże chwili nadjechał wolno od prawego skrzydła kapitan Dessaix. Przystanął przed nami i powiedział:

— *Je viens de la droite, votre prince Poniatowski ne marche pas, l'affaire y est stationnée depuis quelques heures — l'Empereur en est très peu satisfait, nos pertes, sont partout énormes, les Russes se battent comme les enragés.*

Około drugiej mniej więcej dostaliśmy rozkaz posunięcia się naprzód. Przeszliśmy przez jakiś strumień — zdaje się, że Semenówkę, w miejscu stratowanym przez konnicę. Wyszliśmy się tym razem na front, ale gdyśmy weszli na szczyt pagórka leżącego naprzeciwko, ujrzeliśmy przed sobą niesłychany tuman kurzu, a przerażający krzyk, z towarzyszeniem silnej kanonady, rozdarł powietrze. Kule armatnie sypnęły się, padając nad nami i na nasze kolumny. Kiedy kurz opadł, zobaczyliśmy, że Francuzi zdobyli główny szaniec, Rajewski-szaniec, i że konnica opodał od reduty ucierała się z nieprzyjacielem i ostrzeliwała go. Dostaliśmy rozkaz ustawienia się tuż pod redutą. Stanowiliśmy rodzaj rezerwy dla kolumny idącej do ataku, ale nie za nią, lecz z boku od prawej strony. Opisać widok, jaki przedstawiał szaniec-Rajewski, jest wprost niepodobieństwem. Rzeczywistość przewyższała tam wszystko co najokropniejszego może wymyślić ludzka wyobraźnia. Ludzie, konie, żywi, ranni, zabici leżeli jedni na drugich warstwami po sześciu i ośmiu, pokrywając szeroko i daleko wszystkie drogi

68

wiodące do reduty, zapełniając fosy i wnętrza szanca. Idąc w stronę reduty, spotkaliśmy jenerała Caulaincourta, który przy zdobywaniu szanca, już w jego wnętrzu został śmiertelnie ranny, niesionego przez kilku kirasyerów na białym, krwią zlanym płaszczu kirasyerskim. W samej reducie stało 21 dział dwunastofuntowych. Na parapecie leżał oficer sztabowy, człowiek już niemłody, z otwartą raną w głowie; najwięcej między poległymi było żołnierzy od piechoty; po prawej stronie i w samej reducie leżeli kirasyerzy w białych i niebieskich mundurach, sascy gwardziści, kirasjerzy Zastrowa z 5-go i z 8-go pułku, dalej na prawo Polacy i Westfalczyki. Polacy nie mogli razem przeprowić się przez Semenówkę i przybywali szwadronami, rozdrobieni na części. W pułku były tylko cztery kompanie, które dowodzili rotmistrze: Wielopolski, Budziszewski, Załuski i Wołowicz. Dowódca szwadronu Jabłoński — znany w Warszawie pod nazwą „pięknego Jabłońskiego”, wynalazł miejsce do przeprawy, sformował spiesznie swój szwadron i posunął się naprzód, ale padł pod ciosami nieprzyjaciół, zanim jeszcze nadbiegły inne szwadrony.

Z chwilą zdobycia reduty umilkł odrazu straszliwy ogień od tej strony, zdawało się, że walczący znużyli się pasowaniem — na prawo i na lewo od reduty biła się jeszcze konnica i gdzieś rozdrobnione oddziały piechoty. Później cofnęła się nasza jazda, a do reduty zbliżyła się znowu rosyjska piechota, nic jednak nie podejmując. Kiedy z tej strony nastąpiła przerwa w działaniach, zobaczyliśmy, że przestrzeń pomiędzy zdobytymi szancami Rajewskim i Bagrationa, naprzeciwko nas, zajęta została przez piechotę, artylerię i konnicę. Z naszej strony ustawiono wielką baterię, do której jenerałowie sprowadzali zewsząd działa i rozpoczęła się gwałtowna kanonada. Mianowicie Rajewski szaniec, za którym staliśmy, był niesłychanie

69

ostrzeliwany. Byliśmy obsypywani kulami, granatami i w pierwszej chwili straty nasze były bardzo znaczne. Wał rozsypał się wkrótce pod gradem kul, w parapecie były w kilku miejscach wyłomy. Zabici i ranni tworzyli jedną splątaną z sobą i krwawą masę, świadczącą o gwałtowności strzałów. Żołnierzom nakazano wkrótce kłaść się na ziemi, a oficerowie naturalnie musieli stać, ażeby — jak się wyraził kapitan Rechowicz *d' — attendre la mort debout*. Za ledwie wymówił te słowa, jego i mnie obryzgał mózg grenadyera, który podniósł się, chcąc poskoczyć na pomoc koledze, i któremu w tejże samej chwili kula armatnia urwała głowę. Plamy te nosiłem na mundurze przez cały ciąg kampanii i ilekroć padł na nie kurz, występowało zaraz jako *memento mori* miejsce obryzganego mózgiem w kształcie dużej, tłustej plamy! Baterie francuskie, których stanowiska fałszywie są oznaczone na wszystkich planach, jakie widziałem, dochodziły do samego szanca Rajewskiego. Końca ich nie było od nas widać. Stojąca najbliżej nas bateria straciła wszystkich starszych oficerów; dowodził nią młodzieńki oficer, który wydawał się bardzo z tego dumny.

Niepojętem prawdziwie było to, że nigdzie nie było widać zdemontowanego działła, pomimo tylu ranionych i zabitych kanonierów. Przed sobą mieliśmy wielkie masy piechoty i jazdy. Poruszały się w różnych kierunkach, posuwały naprzód i cofały, zdawało się, że silny ogień działowy przeszkadza im do energicznego posuwania się dalej. Wreszcie znikły zupełnie. O ile mogłem widzieć, ani Rosyanie, ani Francuzi nie występowali zaczepnie; nie było nigdzie widać wojska, wszyscy poukrywali się w zagłębieniach i pochyłościach gruntu przed pustoszącym wszystko ogniem artylerii. Głównym usiłowaniem było utrzymanie szyku bojowego i przygotowanie się do nowej walki. Tylko artyleria rozciągała się linią ginącą w oddaleniu i stała w wielu miejscach bez żadnej osłony.

70

W reducie zgromadziło się wielu jenerałów, którzy śledzili poruszenia nieprzyjaciela. Sam cesarz miał tam być jakiś czas razem z Berthierem i Bessierem, ale go nie widziałem. Murat był tam także, kule gwizdały naokoło, ale zdawało się, że oszczędzają tę grupę męźnych wojowników. Zaczynało się ściemniać i ogień z obu stron się uciszał; tylko jeszcze niekiedy odzywały się strzały karabinowe, z towarzyszeniem słabej kanonady armatniej. Ale przy zapadającym mroku podsunęli się Rosyanie do reducy i stanęli niedaleko. Nasza dywizja otrzymała rozkaz wyparcia ich ztamtąd. Zatoczyliśmy półkole na prawo od reducy i wzięwszy przed siebie dwie kompanie woltżerów, ruszyliśmy za nimi kolumnami. Przednie oddziały wpadły już pod gwałtowny ogień karabinowy, kiedy końcowe bataliony defilowały jeszcze w najlepsze.

— Na miłość Boską! — zawołał do mnie żywo pułkownik — niech się kolumny zeszlusują!

Przystanąłem na chwilę i zobaczyłem jednego z kapitanów wracającego w moją stronę.

— Czy jesteś raniony? — zapytałem.

— Nie! — odparł — tylko idę po żonę.

Ponieważ wiedziałem, że jego żona — Hiszpanka — została u jego rodziców nad polską granicą, nie mogłem zrozumieć tej odpowiedzi. Dopiero później dowiedziałem się, że kula przesywszy kaszkiet, ugodziła go w czoło, skutkiem czego dostał obłądu. Choroba wzmogła się tak dalece, że musiano go związać. Krzyki jego słychać było w całym obozie. Na domiar cierpień dostał się następnie, nie wiem kiedy i jakim sposobem, do niewoli rosyjskiej i pozostał w Saratowie do r. 1816. Zupełnie wyleczony, po zawarciu pokoju wrócił do kraju i dziś jako pruski emeryt mieszka w Ostrowie w W. Księstwie Poznańskim, ojciec licznej rodziny — i nie wie nic, oprócz tego, że był raniony i wzięty do niewoli.

71

Nastąpiła potem zwawa utarczka piechoty, w której kilku oficerów i dużo żołnierzy poległo i otrzymało rany, ale nie trwała ona dłużej niż pół godziny. Nieprzyjaciel cofnął się, a my zajęliśmy natychmiast miejsce, na którym odbyła się ostatnia potyczka. Otrzymaliśmy rozkaz zatrzymania się tu i porozstawiania forpoczt. Użyliśmy do tego czterech kompanij i sam jenerał Chłopicki zajął się ich rozstawieniem. Oparliśmy je z lewej strony nad strumieniem, gdy z prawej sięgały daleko po za reducę. Nie przypominam sobie, żebyśmy gdziekolwiek mieli łączność ze stojącymi w pobliżu posterunkami, tylko od czasu do czasu ukazywały się patrole, ale służba forpocztowa była nędznie urządzona. My tak, jak w Hiszpanii mieliśmy się zawsze na baczności, i później nie żalowaliśmy tego.

Biwakowaliśmy pośród umierających i umarłych, nie mieliśmy drzewa ani wody, ale żywności nam nie brakowało. Rosyanie mieli tornistry wyładowane kaszą i mąką, manierki z wodą i wódką pełne. Oddawna już zrobiliśmy to odkrycie i zagarnęli dziedzictwo po nich. Z zapasów żywności, znajdującej się przy żołnierzach, można było sądzić o mniejszej lub większej zabiegliwości dowódców; u wielu żołnierzy tornistry i flaszki bywały równie puste, jak u nas. Dla zdobycia drzewa rozbijaliśmy karabiny nieprzyjacielskie i kolby ich używali jako opału. Wózki z amunicją, lawety armat, porzrucane tu i owdzie, posłużyły do tego samego użytku dzięki czemu mogliśmy gdzieś tam porozpalać ognie, niewielkie wprawdzie, ale wystarczające, żeby przy nich upiec trochę końskiego mięsa i ugotować zupy, do której sprowadziliśmy wodę z Kołoczy. Ale ledwie zapłonęły ognie, ze wszystkich stron zaczęli ściągać i czołgać się ranni — jedni po to, żeby zaraz skonać, inni dla ogrzania skostniałych członków. Wkrótce było ich już tylu, co nas samych. Uważam to za piękny rys charakteru naszych

72

żołnierzy, że woleli cierpieć, niż pozostawić nieszczęśliwych rannych bez pomocy. Niezadługo leżeli obok siebie umarli i konający, z utkwionymi w ogień gasnącymi oczyma, jakby oczekując od niego pomocy i wzmocnienia. Umarłych odnoszono na bok troskliwie, jak gdyby obawiano się obudzić ich ze snu. Żywi poruszali się w ciemnościach, jak cienie umarłych. Biwak nasz podobny był do ambulansu. Dzielni nasi lekarze opatrywali rannych i ratowali ich według możliwości. W każdym pułku kilka kompanij stało pod bronią. Chodziłem właśnie z rontem, kiedy usłyszałem swoje nazwisko wymówione głośno. Poznałem głos jenerała Chłopickiego.

— Chodź ze mną — powiedział. — Chcę obejrzeć forpocztę — obejmiesz nad nimi dowództwo, ja sam zatrzymam się niedaleko.

Obeszliśmy tedy posterunki, stojące na oznaczonych miejscach. Wszędzie było spokojnie — na stronie rosyjskiej ognie nie paliły się tak jasno — nie dochodził ztamtąd żaden odgłos, słychać było tylko zrzadka przechodzące patrole konnicy i kiedy — niekiedy ciche:

— Kto idzie?

Tak było o dziesiątej — tak samo o północy. Około 2-giej forpocztę usłyszały silny tętent koni. Stanęliśmy w tej chwili pod bronią. Zaraz potem kozacy uderzyli na nas, ale że przyjęci zostali silnym ogniem, cofnęli się niezwłocznie. Później nastąpiła zupełna cisza, nie było już widać, ani słychać chodzenia patroli. Wyprawiłem kilka silnych oddziałów, zabawiłem dość długo, ale nie było nigdzie słychać strzałów. Około 3-ciej popowracały. Posunęły się aż do biwaku kawaleryi, który zastały opustoszone, ale znalazły tam dużo worków owsa i trzy z nich zabrały do obozu, gdzie zagarnąłem je dla koni jenerała i kolegów. Jednocześnie zawiadomiłem jenerała Chłopickiego, że Rosyanie

73

znikli. Przy kawałku świecy, którą każdy kapitan obowiązany był mieć przy krzesiwku, ażeby nocą było czem rozpaścić ogień, napisaliśmy zaraz raport, a jednemu z adjutantów generała polecono zanieść go do głównej kwatery gwardyi, do której i my byliśmy zaliczeni. Co się z tem dalej stało — nie wiem. Pozostaliśmy na naszym stanowisku aż zupełny dzień się zrobił. Ale jednocześnie z dniem ukazały się ze wszystkich stron wojska i stanęły przed nami, na prawo i na lewo od nas. Pierwszem wojskiem, które ustawiło się w pobliżu nas, była dywizya Roźnieckiego, z której dwóch szkolnych kolegów przybyło do mnie w odwiedzin. Zaledwie zdążyliśmy się powitać, gdy kawalerja ruszyła, a oni obaj musieli pośpieszyć do swoich oddziałów. Od tej chwili już ich więcej nie widziałem, obaj musieli zginąć jeszcze przed Moskwą. Wkrótce potem odezwał się w oddali grzmot dział. Ranek był zimny i wilgotny po nieprzyjemnej nocy. Około dziesiątej przyjechał cesarz konno. Stał dość długo przed naszym stanowiskiem, błądliwy był i posępny. Zawołał jednego oficera ze swej świty, rozmówił się z nim i zaraz potem zobaczyliśmy, że oficer, zabrawszy kilku *chasseurs* ze świty, odjechał do wielkiej reduty. Strzelcy rozstawili się w czworobok; na każdym rogu stanął jeden, a w przestrzeni

objętej między nimi, oficer rachował poległych. Zdaje się, że tę operacyę powtórzono w kilku miejscach. Jak mi mówiono, był to najłatwiejszy sposób obliczenia w przybliżeniu liczby zabitych na oddzielnych punktach. Z naszej strony, pomimo gwałtownego ognia, na jaki byliśmy wystawieni przez tyle godzin, straty były stosunkowo niewielkie. Kilku oficerów i 200 żołnierzy, a z tych trzecia część padła w krótkiej potyczce z piechotą pod szanćcami. Na początku bitwy stanowiliśmy rezerwę korpusu Ney'a, a potem korpusu 4-go. Podczas ataku na naszą redutę, staliśmy na prawem skrzydle, później

74

zajęliśmy redutę, wieczorem odepchnęli nieprzyjaciela od szanćców i obsadzili naszymi forpocztami przestrzeń pomiędzy szanćcami.

Cesarz stał przed nami dobre trzy kwadransy. Kilka razy spoglądał przez lunetę w kierunku Możajsk. Z jeńców przeprowadzanych koło niego w niezbyt wielkiej liczbie, którzy mieli więcej miny zmęczonych i pozostałych w tyle, kazał kilku przyprowadzić do siebie i zapytać, do jakiego korpusu należą, i czy ich pułki duże straty poniosły. Potem pojechał dalej, na wzgórze Semenowskie, jak się nam zdawało. Poskładaliśmy broń, ale nikt nie mógł oddalić się ze stanowiska. To przeszkodziło mi obejrzeć dużo punktów i pozostało mi tylko ogólne wrażenie z pola bitwy. Na lewo leżało miasto, zajęte przez Rosyan, przed nami czerwone, o stromych ścianach gliniaste wzgórze, nazwane *Krasnaja Góra*, od tego koloru, który już zdaleka był widoczny. Na wyniosłościach po za miastem nieprzyjaciel rozbił obóz. Wieczorem przybyli do naszego obozu ułani 13-go pułku polskiego z 5-go korpusu. Opowiadali, że poprzedniego dnia, w następstwie pomyślniej utarczki z kozakami, pod wodzą rotmistrza Gawrońskiego stoczony, podsunęli się pod Możajsk i dostali się zupełnie na tyły rosyjskiej armii. Fakt ten potwierdzają historycy polscy. Generał Sebastiani był obecny przy tej potyczce i ścigając kozaków, odkrył przejście trudne do zobaczenia na tym lesistym guncy. Ułani zapewniali, że w całym Możajsku narobili popocho. Polscy huzarzy zaś pod dowództwem generała Tulińskiego, według opowiadania adjutanta generała Fiszera — wyprawieni zostali na rekonesans w stronę Możajsk między 3— 4. Przedarłszy się przez zarośla, dostali się na równinę całkowicie zajęta przez rosyjskich rannych, zbiegów, bagaże i wózki z prochem. Tuliński pochwyił co było najbliżej, a ponieważ zabronione miał posuwać się dalej, zatrzymał się na miejscu.

75

Polacy zabrali około 2,000 jeńców; więcej niż cała razem armia francuska. Toll wspomina też, że Polacy usiłowali obejść Rosyan na lewem skrzydle, ale że dokonała tego tylko konnica, więc z powodu lesistego położenia nie pociągnęło to za sobą dalszych następstw. Ale my w obozie byliśmy tego zdania, że gdyby Napoleon wzmocnił był księcia Poniatowskiego choćby tylko jedną dywizją i poparł jego ruch ze swojej strony, niezawodnie prawe jego skrzydło byłoby jeszcze przed nocą zajęło Możajsk. Coby się było wtedy stało z armią rosyjską, trudno przewidzieć; ale nagromadzone tam zapasy byłyby niezawodnie dostały się Francuzom. Nie można twierdzić napewno, czy skutkiem tego byłby inny koniec kampanii, ale bitwa byłaby wzięła odmienny obrót, i pędząc nieprzyjaciela *tambour battant*, byłibyśmy weszli do Moskwy pod wrażeniem zupełnego zwycięstwa.

Dnia 9-go wczesnym rankiem zaczęła się kanonada, która skończyła się dopiero późno wieczorem. Stanęliśmy zaraz pod bronią. Na lewo od nas słychać było ogień karabinowy. O dziesiątej przeszliśmy przez część Możajsk, małego, miłego miasteczka, przepelnionego ranionymi. Doszedłszy do płaskowzgórza, na którym nocował nieprzyjaciel, ujrzyliśmy przed sobą olbrzymie masy jazdy nieprzyjacielskiej, przy której była też potężna artylerja. Zaczęła się zwawa kanonada i ponawiane ataki konnicy, w których Francuzi odnieśli górę. Rozbiliśmy obóz o 11 wiorst za Możajskiem. Dzień się zrobił pochmurny, chwilami pokrapiał deszcz. Biwakowaliśmy na rozległej równinie, na której widać było prawie tylko konnicę i artylerję. Noc była ciemna, ale na szczęście, wystarczyło nam mąki i wódki, zabranej poległym na pobojuwisku, gdyż o otrzymaniu żywności nie można było naturalnie ani myśleć. Rankiem, po bardzo zimnej nocy, spadł deszcz, żołnierze utrzymywali, że był przymrozek.

76

Wyszliśmy dnia 10-go, jak zwykle, o 10-ej rano. Zaledwie uszliśmy wiorstę, rozpoczęła się strzelanina i to jeszcze gwałtowniejsza, niż poprzedniego dnia. Wkrótce usłyszeliśmy i ogień karabinowy, co nas objaśniło, że oprócz nas była jeszcze i inna piechota w przedniej straży. Potyczka skończyła się wkrótce, ale po to tylko, żeby po krótkiej przerwie rozpocząć się nanowo; pochód nasz posuwał się zwolna; szliśmy nie wiedząc, co się dzieje przed nami i za nami. Po południu ogień stał się jeszcze gwałtowniejszy. Z różnych punktów widać było liczne oddziały konnicy. Około 1-ej odkomenderowano nas na lewo od gościńca i posuwaliśmy się grzbietem wzgórza równolegle do drogi. Na prawo, ale w dość znacznej odległości, widzieliśmy liczne kolumny piechoty — na lewo silne oddziały jazdy w kolumnach i liniach, a na przodzie przedniemi silną artylerję. Zdawało się, że tworzymy sam koniec lewego skrzydła; przed nami był niezbyt daleko gęsty las brzoźowy, dochodzący do samego zbocza wzgórz, u których podnóża przechodził gościńiec. W dali, na równinie widać było wieś, zdaje się Krimskoje. Byliśmy może na odległość strzału armatniego od lasu brzoźowego, kiedy na prawo od nas wybuchła zwawa utarczka. Puszczono tam konnicę francuską — kilka kolumn i czworoboków piechoty w naszych oczach zostało roztratowanych w całym tego słowa znaczeniu. Jazda francuska, stojąca w rezerwie, posunęła się także naprzód, odepchnęła nieprzyjaciela, przejechała po jego piechocie, która częścią padła na ziemię i odpędziła Rosyan aż do ich armat.

Byliśmy jeszcze zajęci przyglądaniem się temu, co się przed nami działo, kiedy dano do nas ognia ze wspomnianej wyżej brzeziny. Wysłano tam zaraz kilka kompanij wołyżerów dla przepędzenia nieprzyjaciela, ale zostały przyjęte takim ogniem, że cofnęły się w popłochu. Jenerał Chłopicki,

77

który był na ich czele, rozgniewał się niesłychanie. Nakazał powtórny atak, który jednak że nielepiej się powiódł. Las był silnie obsadzony przez nieprzyjaciela, a miejsce doskonale wybrane. Atakujący dostali się pod ogień krzyżowy. Ale ze wszystkiego można było wnosić, że pozycja nieprzyjaciela nie jest bardzo rozciągnięta. Sądzę, że gdybyśmy byli zamaskowali się od frontu kilkoma batalionami, a zresztą posunęli się ku prawemu skrzydłu Rosyan, byłibyśmy wyparli ich ztamtąd, nie poniósłszy strat wielkich. Ale jenerał, mocno niezadowolony z odwrotu wołyżerów, stanął sam na czele drugiego batalionu 1-go pułku, który szedł za drugim pułkiem *en échelon* i poprowadził żołnierzy znów do ataku. Zdawało się zrazu, że ten śmiały manewr zaniepokoił nieprzyjaciela; strzały padały zrzadka. Ale kiedy zbliżyliśmy się do brzegu lasu na jakieś 100 kroków, przyjął nas tak gęsty i celny ogień karabinowy, że ponieśliśmy dotkliwie straty. Pomimo to wpadliśmy do lasu, z którego nieprzyjaciel ustąpił bez wielkiego oporu. Pomiedzy oficerami było dużo ranionych, a wśród nich, na nieszczęście, jenerał Chłopicki i jego adjutant, kapitan Milberg. Jenerał nie chciał konno prowadzić żołnierzy do ataku i otrzymał postrzał w nogę. Po jego zranieniu widziałem go już tylko krótką chwilę i dopiero w r. 1814 spotkałem go w Bydgoszczy, ale w okolicznościach już odmiennych.

Strata w zabitych i ranionych wynosiła blisko 100 ludzi, z których lżej ranieni szli za pułkiem, bo rozumieli dobrze, że dla pozostałych w tyle niema ratunku. Wlokło się z nami w ten sposób ze 30 ludzi, z których dużo umarło, zanim jeszcze doszliśmy do Moskwy. Pamiętam, co mi odrzekł jeden grenadyr, kiedy mu radziłem zostać w którymkolwiek ambulansie:

— Przy pułku — powiedział — może mnie uratują, a przynajmniej koledzy pogrzebią, jeżeli umrę,

78

a w lazarecie nikt nie pochowa, albo podczas przewożenia zostawią mnie na gościńcu i wilki mnie zjedzą.

Takie zdanie było ogólnie rozpowszechnione. Ranieni rosyjscy należeli do 40 i 48 pułku, a kilku do 33-go. Utarczka na całej linii była gorąca i trwała do 5-ej. Zranienie jenerała Chłopickiego wywarło na żołnierzy wrażenie przygnębiające. Pomimo, że skutkiem wielkiej surowości nie był szczególnie kochany, jednakże jego duch rycerski, cały sposób postępowania i dowodzenia wojskiem budził uznanie wszystkich. Jego energiczny sposób wyrażania się, spokój w ogniu, niesłychana odwaga, miały w sobie coś imponującego.

— Co się teraz z nami stanie? — mówili żołnierze. — On nas wyprowadził szczęśliwie z Hiszpanii: kto nas będzie teraz ratował w tym kraju przeklętym?

Przechodząc wieczorem około mojej dawnej kompanii, przystanąłem na chwilę i porozmawiałem z żołnierzami:

— No i cóż — zapytałem Danusza, którego już znają czytelnicy. — Co myślisz o raniu jenerała?

— Panie kapitanie! — odrzekł. — Kiedy myszy wiedzą, że kota niema, to dowodzą w najlepsze.

Słowa te dowodzą, że ludzie prości często trafnieumieją osądzić położenie. Oficerowie byli surowi.

Dnia 11-go staliśmy na miejscu. Nasi żołnierze przynieśli ze swojej wyprawy łupy: chleb, słoninę i mięso świeże, ale brakowało soli; po za tem naszym wojskom od chwili, kiedyśmy przeszli do przedniej straży, aż do 4-go października, dnia pierwszej bitwy pod Tarutinem, nie zbywało na żywności. Gęściej zaludniona okolica, duże i zamożne wsie, spotykane na drodze, które nie zostały spalone, o ile ich nie podpalili nasi maruderzy, dostarczały nam dostatecznej ilości pożywienia i paszy.

79

Spotykaliśmy po wsiach, dotąd nienawiedzonych przez wojska, nietknięte stogi siana i sterty słomy.

Dnia 12-go po ugotowaniu jedzenia wyruszyliśmy o 10-ej. Ale zrobiliśmy zaledwie parę mil, pochód szedł kulawo, zatrzymywaliśmy się co chwila bez powodu; posuwaliśmy się macając. Nasza dywizya zwróciła się na lewo od gościńca i w końcu

zatrzymała się na biwak w lesie, zkąd widać było w znacznym oddaleniu miasto, które nam wskazano jako Wiaźmę. Cały dzień minął bez bitwy i bez strzelania.

Dnia 13-go poszliśmy dalej o g. 10-ej rano. Przebyliśmy jedenaście wiorst w dobrze uprawnej okolicy i rozłożyli się biwakiem we wsi niewiadomego nazwiska. Noc była nieprzyjemna, zimny wichur szalał na równinie i gasił ognie, przeszkadzając do wypoczynku. Szczególnie konie się niepokoiły; najlepszy mój koń uciekł z biwaku. Na szczęście ocalało siodło i trenzla, a nazajutrz znalazłem sposobność nabycia tanio wierzchowca. Przed nami obozowała kawalerya. Piechoty nigdzie nie było widać. Na lewo przed nami i o milę za nami jaśniała na widnokręgu czerwona łuna, zapewne ognie biwaków armii Eugeniusza i głównego korpusu armii.

XXXVIII.

Przybycie 14-go września do rogatek Moskwy. — Wejście wojsk do Moskwy. — Przejście przez miasto i rozłożenie się pod Koroszarowem.

— Rabunek miasta. — Pożar. — Wymarsz do Panek. — Uwagi nad przyczyną pożaru.

Wyruszyliśmy 14-go i około godziny 1-ej doszliśmy do rogatek Moskwy. Sądziłem do ostatniej chwili, że nie obejdzie się bez bitwy, tem więcej, że

80

miejsce nadawało się doskonale do niej. Pozaczynane w wielu miejscach szańce świadczyły, że nieprzyjaciel miał z początku ten zamiar. Pod samą Moskwą pomiędzy Fili a Worobjewem projektowano wyraźnie główny punkt obrony i tam wzniesiono szańce. Miejsce to nadawało się do obrony z tego głównie względu, że z obu stron opierało się o rzekę, która tu zakreśla dwa półkola i że nie było zbyt rozciągnięte. Ale zapewne bliskość rzeki Moskwy, na której był tylko jeden most, skłoniła pierwszego z dowódców rosyjskich do zaniechania tej myśli.

Murat ze swoją jazdą, na której czele szedł pułk huzarów polskich i pruskich ułanów, przed samem naszym przybyciem wszedł do miasta. Przedtem jeszcze Miłoradowicz, dowódca tylnej straży, przeprowadził z Sebastianim układy, skutkiem których Rosyanie cofnęli się bez wystrzału, a Francuzi weszli. Staliśmy długo pod rogatką Dragomirowską; około nas przeciągała jeszcze konnica.

Napoleon stał niedaleko od miasta na wzgórzu i przypatrywał się przez lunetę. Zsiadł z konia, a ubrany był tak samo, jak pod Możajkiem, tylko twarz jego nie miała wyrazu tej martwoty kamiennej, jaka widniała na niej 8-go września. Czterech strzelców gwardyjskich, zsiadłszy z koni, ustawiło się w rodzaj czworoboku, w którego środku stał cesarz, w pewnym oddaleniu stało czterech innych na koniach, w taki sam sposób rozmieszczonych; eskorta konna, strzelcy i polscy ułani gwardyjscy stali w pobliżu cesarza, oficerowie przychodzili i odchodzili, wszyscy w postawie pełnej uszanowania, trzymając kapelusze w ręku. Moskwa, widziana z równiny, nie przedstawiała nic osobliwego, ale w miarę zbliżania się do pagórka, na którym stał cesarz, widok zmieniał się jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Miasto rozległe, z półtysiącem cerkwi najosobliwszej budowy, z niezliczonymi niebiesko,

81

żółto, zielono i czerwono pokrytymi wieżami, pomieszanymi nierzadko ze złotymi kopułami, strzelającymi w niebo w całym przepychu z morza domów — wszystko to budziło podziw w widzu. Całość miała charakter wschodni, coś jak by z Tysiąca i jednej nocy.

Rzeka Moskwa, wijąca się jak srebrzyste pasmo przez pola, ogrody i kępy wysokich drzew, otaczających piękne zamki w okolicy, uzupełniała ten obraz niezwykły.

Może być, że się mylę, ale zdawało mi się, że orszak cesarza mniej radował się tym widokiem. Przypatrywali się oni więcej wejściu do miasta, które przedstawiało się dość nędznie. Przypuszczałem, i wszyscy byli tego samego zdania, że cesarz oczekiwał deputacyi, oznajmijającej mu poddanie się miasta, ale nikt nie przybywał.

— Może długo na to czekać — odezwał się kapitan Lichnowski, chudy, trochę zgorzkniały człowiek i mężny żołnierz. — Rosyanie wywędrują raczej na Syberyę, a niżeliby mieli zawrzcć pokój.

W wiele lat później przeczytałem, że Narbonne te same słowa powtórzył Pradtowi, jako pochodzące z ust cesarza Aleksandra. Właśnie kiedy przekroczywszy rogatki, wchodziliśmy do miasta, oficer konnicy polskiej prowadził jakiegoś jegomościa w czarnym fraku, z orderem św. Włodzimierza. Pan ten trzymał kapelusz w ręku i miał minę niesłychanie przestraszoną. Był to pierwszy mieszkaniec Moskwy, jakiego ujrzałem.

Mogło być około drugiej, kiedy przeszliśmy przez rogatki. Pierwsze wrażenie nie było zbyt rozweselające. Małe, drewniane, gontami pokryte domki, z pozamykanymi okiennicami i drzwiami, jakie jeszcze dziś widuje się w małych miasteczkach, szerokie, niezabrukowane ulice i nigdzie ani żywej duszy — oto pierwsze wrażenie. Ale dalej w głębi miasta

82

po przejściu rzeki było zupełnie inaczej. Domy były okazalsze, ulice węższe i brukowane, ale nigdzie ludzi. Musieliśmy się zatrzymać, bo konnica zatamowała nam drogę, a posuwała się ona bardzo powoli. Byliśmy już oddawna w mieście, kiedy nagle rozległy się strzały. Ale to nie przyśpieszyło naszego pochodu, zrobił się tylko zamęt, w którym wpadliśmy na połamane wozy prowiantowe, prócz tego nie było widocznych nieporządków. Podczas jednego z licznych przystanków rozległy się głośne krzyki. Olbrzymiego wzrostu człowiek, — drugi z kolei spotkany mieszkaniec Moskwy — w niebieskim kaftanie, zapięty pod szyję, wyszedł z zamkniętego domu i chciał przejść przez ulicę na drugą stronę. Nie mówiąc nic, rozepchnął żołnierzy, których pełno było na ulicy. Ponieważ wojsko przed wejściem do miasta otrzymało najsurowszy rozkaz łagodnego obchodzenia się z mieszkańcami, żołnierze nic nie powiedzieli; ale gdy potrafił oficera, ten rzucił mu wzamian obelżywe słowo i pogroził szpadą, poczem i żołnierze zaczęli fukać na niego. Nie odpowiadał im nic, tylko rozerwał kaftan, obnażył piersi zawołał:

— Możecie zatopić swoje ostrza w piersi Rosyanina!

Te słowa zamknęły wszystkim usta. Rosyanin odszedł zuchwale, otworzył drzwi małego domku i zaryglował je tak starannie, że wszyscy mogliśmy to słyszeć.

— No! jeżeli tu wszyscy tacy — odezwał się podoficer kawalerii saskiej stojącej w pobliżu — to będziemy mieli dużo do roboty!

Im dalej posuwaliśmy się w głąb miasta, tem bardziej urozmaicone robiło ono wrażenie. Wprawdzie ulice były wąskie i kręte, ale domy piękniejsze i bogatsze, niektóre zdumiewały pięknnością kształtów i bogactwem ozdób, ogrody, cieplarnie, werandy, wodotryski, niczego nie brakowało; nigdzie nie było

83

ślądu zniszczenia, pomimo, że na ulicach roily się różnobarwne tłumy przeciągających wojsk. Dopiero w pobliżu Kremla, tam, gdzie zapewne lud stawiał opór, widać było meble i książki porozrzucane na bruku. Kilku żołnierzy, znających moje zamiłowanie do książek, wysunęło się z szeregów i przyniosło mi z tej własności bez właściciela kilka, sztuk, które przyjąłem i zabrałem uważając je jako *bonne proie*. Kreml, który już zdaleka imponował nam swoją wielkością i wieżycami, nie stracił nic gdyśmy się do niego zbliżyli. Był to zbiór rozmaitych gmachów i świątyń, stanowiący niejako osobne miasto w mieście, otoczone murem i basztami z płynącą mimo rzeką Moskwą. Poszliśmy dalej i zgubiliśmy się w całym morzu ulic.

Była już pewnie ósma, kiedy doszliśmy do Semenowskiej bramy wiodącej do Koroszarowa i otrzymaliśmy rozkaz rozłożenia się obozem a prawo od gościńca, w pobliżu wiatraków i zabezpieczenia się na tem miejscu. Sama brama i ulice, prowadzące na pole, były również zatłoczone i upłynęło kilka godzin, zanim mogliśmy zdobyć miejsce i urządzić obóz. Przed nami widać było dużo ognia biwakowych, łatwo mogliśmy rozróżnić ogniska nieprzyjacielskie od ognisk naszej jazdy. Potrzeba nam było prawie sześciu godzin na przebycie drogi od jednych rogatek do drugich, mniej więcej 8 wiorst. Gdyby był nieprzyjaciel uderzył wtedy na Sebastianiego, który szczególnie w tej wojnie miał niewiele szczęścia, wparł go napowrót do miasta, a z tyłu przyjął silnym ogniem, byłaby niezawodnie powstała panika i nie wiem, w jaki sposób zdołalibyśmy wyratować się z tej pułapki.

Noc była dosyć jasna i przeszła spokojnie. W bramie stały strażę; wzdłuż wałów, które były niskie i łatwe do przebycia, patrolowały porządek. Jenerał naszej dywizyi, Claparède, stanął kwaterą *intra muros*, w klasztorze, położonym tuż przy wałach, zatrzymując przy sobie na straży

1 oficera i 20 grenadyerów. Prócz nich, wszyscy biwakowali. 5-y korpus księcia Poniatowskiego wszedł do miasta przez rogatki Kałuskie, ale z wszelkimi możliwymi środkami ostrożności. Pijany oficer inżynierii, wzięty do niewoli, utrzymywał, że zostaniemy zaatakowani w mieście. Dziwny zbieg okoliczności wzmógł jeszcze wrażenie tego ostrzeżenia. Kiedy już wojska zapuściły się w głąb miasta, na sąsiedniej ulicy rozległo się nagle bicie w bębny. Po bliższym zbadaniu okazało się, że był to nowozacieżny batalion, który przyszedł prosto z Kaługi i chciał wejść do Kremla. Dowódca rosyjski, niemniej od Polaków zadziwiony, poddał się zaraz ze swymi 400 ludźmi. Przeprowadzono go pod strażą do Kremla, a ztamtąd wyprawiono do marszałka Davousta przez całą sieć krzyżujących się ulic. Rotmistrz, hrabia Heliodor Skórzewski, któremu to polecono, miał niemało trudu, zanim jeńców doprowadził i upewniał potem, że nasłuchał się od francuskiego marszałka tyle złego i oburzającego o cesarzu, że nie śmiał nawet wszystkiego powtarzać. W samym mieście wzięto do niewoli generała rosyjskiego, który jechał spokojnie dorożką.

Kiedy rankiem ukazało się słońce, w obozie zupełny był spokój i porządek, tak samo i w oddalonym od nas obozie konnicy. Około ósmej przejechali przez bramę około naszego obozu ułani polscy i opowiadali, że Moskwa zostanie zrabowana, a ta wiadomość lotem błyskawicy obiegła obóz. Ponieważ prawie całe wojsko stało pod bronią, według zwyczaju przyniesionego z Hiszpanii, można było bez trudności utrzymać porządek. Ale jednocześnie nadszedł rozkaz wyprawienia żołnierzy do miasta po żywność. Powrócili oni może w godzinę, obładowani winem, arakiem, herbatą, cukrem i kosztownościami wszelkiego rodzaju, potwierdzając wiadomość o rabowaniu miasta.

Kawalerzyści konno i pieszo, obładowani

łupami, po większej części pijani, szli i jechali tą samą drogą i wzywali do rabunku wszystkimi językami, jakie były w użyciu w pułkach konnicy. Nie można już było myśleć o utrzymaniu porządku, żołnierze, którzy nie byli pod bronią, ani na służbie, pod rozmaitymi pozorami wymykali się i wykradali z obozu. Kotły stały bez ognia, opuszczone przez kucharzy, ludzie posłani po drzewo, słomę i wodę nie powrócili; taki nieporządek wkraść się do naszego, wzorowo dotąd karnego wojska, że nawet od patrolów wymykali się pojedynczo żołnierze. Przykład, dany przez konnicę, był tem zaraźliwszy, że kawalerzyści, obładowani łupami, przeciągali przez nasz obóz, zapewniając, że całe miasto zostało wydane na rabunek.

Jak się później dowiedziałem, fala rabusiów rozlała się po wszystkich dzielnicach miasta. Cerkwie, pałace, gmachy publiczne, nic nie ocalało — nawet świątynie nie uniknęły rabunku. Mnóstwo srebrnych naczyń i kosztowności zostało rozkradzionych. Święte obrazy różnej wielkości w oprawie ze srebrnej blachy, naczynia stołowe, świeczniki, krzesła, wszystko pozwożono do obozu i sprzedawano za marną cenę chciwym markietanom. Drogie materye, futra, kołdry, obracano na obozowy użytek w barakach. Dziwna rzecz, że kiedy takie drogocenne rzeczy można było nabywać za niską cenę, koni prawie niepodobna było się dokupić. Jeden sztabowy oficer kupił od ułana za 50 napoleonów konia, którego w kraju możnaby nabyć za połowę tej ceny. Dobre konie ze stadniny, przy których często Rosyanie pełnili służbę stajennych, były wprost niedokupione.

Żywności dostarczono w bród. Mięso, surowe i solone, wędzone ryby różnych gatunków, łososie, jesiotry, stokfisz, napelniały kotły; wina, araku, spirytusu, wódki w całym obozie była wielka obfitość. Wieczorem przy wszystkich ogniskach smarżono,

pieczono, gotowano; gdy się ukazał nowy orszak łupieżców, witano go okrzykami, dużo też było Rosyan, dźwigających cenne łupy zwycięzców. Niekiedy przyprowadzano rannych mieszkańców jako jeńców. Zapewne ci nieszczęśliwi bronili swojej własności — a może byli to także rabusie — nie brak było i ludzi, którzy z bronią w rękę usiłowali stawić opór, a rozbrojeni, po uporczywej walce, zawleczeni zostali do obozu. Po kilkodniowym rabunku zaspokoila się większość żołnierzy, i to, czego nie zdołały dokonać żadna siła, to jest przywrócenia porządku i karności, samo z siebie się zrobiło. Żołnierze mieli wszystko, czego im było potrzeba — nawet więcej. A kiedy jeszcze w końcu kilku żołnierzy powróciło ciężko rannych skutkiem bójek staczanych o łupy z francuskimi kawalerzystami, uspokoiła się ich żądza rabunku. Tylko pojedynczo wykradali się jeszcze ci, których chciwość była nienasycona, z obozu albo z oddziałów odkomenderowanych do miasta, i prowadzili dalej swoją zbrodniczą robotę. Ale robili to najczęściej nocą lub późnym wieczorem, kiedy mogli wymknąć się z obozu niepostrzeżenie. Bliskość miasta i łatwość przeprowadzania się przez wały ułatwiały im zadanie. Klasztor, w którym obrał kwatery nasz generał, ocalał wśród ogólnego rabunku, a przynajmniej nie było w nim śladów spustoszenia. Tylko spiżarnie i piwnica pocziwych mnichów mocno ucierpiały. Małą cerkiewkę obrócono na stajnię, do której sprowadzono z obozu konie generała i oficerów.

Ja zaś umieściłem się pod jednym z wiatraków, które stały tuż koło obozu. Cały obóz opasany był łańcuchem posterunków; w Pankach, gdzie stała nasza jazda, chodziły patrole. Doskonałe urządzenie tej gałęzi służby utrzymywaliśmy w porządku od czasu pobytu w Hiszpanii, i mogę śmiało powiedzieć, że wpłynęło to na całe usposobienie

oficerów i żołnierzy. Na wiatraku, pod którym się umieściłem i gdzie było biuro, a raczej adiutant i podoficer Kupść, prawdziwa perła naszego pułku i nieoceniony człowiek, ulokował się ze swoją mapą, stało dwóch sztyldwachów, z których jeden czuwał nad Moskwą, drugi nad gościńcem, wiodącym do Panek. Mieli oni rozkaz w razie dostrzeżenia czegoś niezwykłego dać znać strażom stojącym na dole. W takim wypadku oficer dyżurny obowiązany był pójść na górę, zbadać, co zaszło i zdać o tem raport. Całe to urządzenie podtrzymywało czujność w razie wypadku.

W klasztorze pozostało kilku zakonników, a pomiędzy nimi wyróżniał się wykształceniem jeden młody, który dobrze mówił po polsku. Niebardzo był zbudowany tem wszystkiem, na co patrzył. Rosyanin do szpiku kości, znający rosyjskie dzieje, rozjątrzony był na Kutuzowa i Rostopczyna, którym przypisywał wszystko, co spadło na Moskwę. Kutuzowa nazywał starym niedołągą, a Rostopczyna Rosyaninem z wierzchu, a Herodem w duszy. Zaprowadził mnie do biblioteki klasztornej; bardzo tam było ubogo, i tylko księgi kościelne znajdowały się w znacznej ilości. Na niektórych półkach było dużo pustych miejsc, z czego można było wnosić, że stały tam przedtem książki, ale mój przewodnik zapewnił, że to były miejsca przygotowane na nowe nabytki. Pewnego dnia zastałem mojego zakonnika wielce wzburzonego; skarżył się, że Francuzi rozbili piwnicę klasztorną i że

przy tej sposobności żołnierze podnieśli rękę na jednego z najstarszych zakonników. Mówił dużo, z zapalem, częściej niż zwykle wspominał męztwo Rosyan, z naciskiem przywołał na pamięć czasy Dymitra Dońskiego, który złamał potęgę tatarską, i tę chwilę, gdy święta Moskwa oswobodziła się od obcego jarzma w roku 1613. Ponieważ wydawał mi się zanadto podniecony, zapytałem, dlaczego nie został żołnierzem.

88

— Panie !— odpowiedział na to — u nas księża z krzyżem w ręku prowadzą do boju; dajemy żołnierzom przykład, jak należy umierać za wiarę i ojczyznę.

— No! jeżeli tak, życzę panu szczęśliwej podróży — powiedziałem na pożegnanie i powróciłem do obozu.

Kiedy wchodziliśmy do Moskwy, błyszczała ona jeszcze w całej swej świetności i wielkości. Obawa zdrady i zasadzki, oraz karność wojska, zabezpieczyła ją od wszelkiej krzywdy w pierwszych chwilach po naszym wejściu. Ale nieobecność władz, które powinny były zająć się żołnierzami i wynikłe z tego urządzenie, *de loger les troupes militairement* stały się powodem pierwszych nadużyć. Ponieważ dużo domów było pozamykanych, zaczęto wyważać drzwi; do tego przyłączyło się poszukiwanie żywności i rozpoczął się rabunek, który tem więcej się rozszerzył, że miasto było tak rozległe, nieznanome, a nigdzie — z wyjątkiem może okolicy Kremla — nie było wojska dla poskromienia nieporządków. Prócz tego — jak zwykle zdarza się w takich wielkich miastach — motłoch wskazywał drogę żołnierzom i dopomagał w rabunku.

Dużo, bardzo dużo pisali i kłamali ludzie o pożarze Moskwy, ale jestem przekonany, że i dziś jeszcze nie więcej wiedzą o jego przyczynie, jak wtedy. 14-go i 15-go nie było jeszcze żadnego pożaru, ani nawet w nocy 15-go i 16-go. W dniu naszego wejścia nie widzieliśmy żadnych rakiet, ani sygnałów — o których tylu pisarzy wspomina. Dniem i nocą byłem w obozie albo w bliskości, i nic podobnego nie widziałem, ani też mi o tem nie raportowano. 15-go w południe zauważono rodzaj wybuchu w stronie południowo-wschodniej miasta. Mówiono później, że wyleciało w powietrze kilka skrzynek z prochem w korpusie 5-m. Nad wieczorem zdarzyło się coś podobnego na gościńcu do Kaługi. Białą, łatwą do odróżnienia dym z takich

89

wybuchów i jego wzbijanie się z przerwami, nie pozostawiały żadnej wątpliwości co do właściwej przyczyny eksplozji. Wieczorem paliło się w kilku miejscach, ale zdołano ogień opanować. 16-go, w samo południe, ukazał się w samym środku miasta znaczniejszy ogień, a w kilka godzin potem czarny, gęsty dym, rozścielający się na znacznej przestrzeni, był dowodem, że pożar się rozszerza. Silny wiatr północno-zachodni rozdmuchiwał ogień i przenosił płomień do dalszych dzielnic. Tak jak w Smoleńsku — tylko tu na większą skalę — wznosiły się wysoko słupy ognia; wzmagający się z każdą chwilą wiatr roznosił daleko płonące główne, ogień

rozszerzał się coraz więcej i wkrótce cała część miasta zamieniła się w morze płomieni. Nocą cały obręb rozległego miasta na znacznej przestrzeni był oświetlony tak jasno, że można było czytać przy tem świetle. Oficerowie z naszej dywizji przyglądali się z wiatraku rozszalałemu żywiołowi. Roztrząsano przyczyny pożaru i następstwa, jakie za sobą pociągnie, o czem zdania były różne; utrzymywano, że to było oddawna do przewidzenia. Przecież Rosyane zawsze to samo robili w czasie wojny i cała ich historia obfituje w podobne przykłady. Mój pułkownik, człowiek bardzo wykształcony, wielki zwolennik analogij historycznych, przypatrywał się długo w milczeniu posepnemu obrazowi, a potem powiedział:

— Sprowadzi to złe skutki dla nas i może zmienić cały plan cesarza. Lepiejby było, żebyśmy byli nie doszli tak daleko.

Ukazał się generał Claparède i kazał zabębnić do wymarszu. Dywizya miała wymaszerować natychmiast do Panek. Mnie kazał zostać w obozie, *de ramasser les pillards, de former les bagages, d'organiser le parc de vivres, et de suivre le plutôt que possible la division.*

Północ nadeszła, zanim się z tem uporałem,

90

a tabor powiększył się bardzo, gdyż nasze mocno obładowane wozy, które pozostały w tyle od Dubrowna, właśnie tego dnia dojechały do Moskwy. Kiedy dałem rozkaz wymarszu, brakowało mi już tylko bardzo niewielu ludzi, których karabiny kazałem pokłaść na wozy w nadziei, że nas wkrótce dogonią. Jeden z opóźnionych, niejaki Jędrzejewski, znany mi jeszcze z Hiszpanii, jako *mauvais sujet*, przybył zaraz po naszym wyjściu. Ponieważ był mocno pijany i skutkiem tego zupełnie do niczego, kazałem go wychłostać, co wprawdzie było zabronione, ale mimo to często praktykowane. Dziwnym trafem ten ladaco miał niezadługo potem stać się moim zbawcą.

Uszliśmy już kawał drogi, kiedy otrzymałem kilka słów od pułkownika z bliższem określeniem kierunku, w którym miałem się posuwać. Było tak jasno od pożaru, że mogłem list, jeżeli nie w całości, to jego treść odczytać przy świetle łuny. W spokojnym powietrzu, po ustaniu wiatru, płomień wzbijały się wysoko i jeszcze jaśniej oświetlały okolicę.

Dużo rozprawiano o przyczynie pożaru. Przypisywano go to Roztopczynowi, to Francuzom, to zbiegowi pomniejszych okoliczności. I zdaje się, że to będzie najsprawiedliwsze. W każdym razie złożyły się na to przykłady dawniejszych wojen, miejscowość, niechęć narodu, dzikość ludności i inne warunki, towarzyszące zwykle wojnie w równej mierze, jak wpływ Roztopczyna. Podawano wtedy za rzecz pewną, że dużo podpalaczy zostało schwytych na gorącym uczynku i rozstrzelanych. Czy to byli więźniowie skazani za morderstwa i wypuszczeni z więzień, czy miejsca łotrzy — niepodobna było wyjaśnić. Czy pierwszy pożar wynikł z przypadku, czy został podłożony, nie zostanie nigdy wyjaśnione. Ulice w większej części dzielnic były wąskie, w mieście, pomimo przepływającej rzeki Moskwy

91

i dwóch mniejszych rzeczek, panował brak wody. Domy, z małymi wyjątkami, były drewniane i nawet pałace wspaniałe z pozoru, przyozdobione kolumnami, nie różniły się w tem od reszty, i były najczęściej tylko z wierzchu otynkowane, więc ogień nie, spotykał żadnej przeszkody.

Pomijam ważne kwestye wojskowe związane z utrzymaniem Moskwy. Wydawcy Pamiętników Napoleona przeceniają je bez żadnej wątpliwości. O skuteczności uzbrojenia 30,000 wyzwolonych z poddaństwa chłopów, o czem wspominają, pozwalam sobie

powątpiewać. Religijne uczucie i świadomość narodowa Rosyan były zanadto silne, żeby takie słowa, jak: wolność — konstytucja i t. p. mogły ich wprawić w zapał. Co zaś się tyczy środków żywności, sędzę, że w Moskwie i w okolicy można ich było zgromadzić tyle, żeby przeżywić wojsko przez zimę; ale do tego trzeba było innych zarządzeń, które nie dałyby się wykonać w jednej chwili, lecz przy pewnej staranności mogły być zaprowadzone.

Czarną stroną — a niedostatecznie zaakcentowaną — zajęcia Moskwy stanowiło wynikię stąd zdemoralizowanie armii. Wielkie łupy tam zdobyte, sprawiły, że wielu żołnierzy pod różnemi pozorami wymykało się ze swoich pułków i po różnych sztuczkach przyłączało się do oddziałów, które pozostawiano w tyle, powiększając i bez tego wielką liczbę ciurów. Do straży nad nimi potrzeba było dużo ludzi i tych wybierano z szeregow. Urzędnicy intendentury potrzebowali także dla siebie mnóstwa żołnierzy i tych również pod rozmaitemi pretekstami wyciągano z pułków.

Rabunek także wywabiał dużo ludzi. Można przyjąć jako przybliżoną cyfrę tych *isolés*, jak ich w początku nazywano, na 6 — 8,000; oni to tworzyli jądro tej rozbrojonej zgrai, która zaczęła szybko wzrastać, a w końcu przybrała takie rozmiary, że żołnierze z bronią stanowili już wyjątek.

92

Combinaisons politiques, przy których Napoleon tak długo upierał się w Moskwie, zrobiły w końcu swoje; ludzie jasno patrzący na rzeczy nie przewidywali z tego żadnego pożytku na przyszłość. Nad ranem przybyłem do obozu z moim konwojem. Dywizja stała na uboczu — przed nią i wokoło widać było biwaki. Rankiem 16-go ukazał się na forpocztach parlamentarz. Mówiono o układach i wielu było takich, którzy skłonni byli w nie uwierzyć. Kapitan Lichnowski, jeden z wiecznie niezadowolonych, ale pomimo to człowiek mężny i obowiązkowy, gdym go zapytał o zdanie, odpowiedział w zwykły sarkastyczny sposób:

— Czy myślisz, że Rosyianie są tacy głupcy, żeby mieli odstąpić od gry, zanim jeszcze rozpoczęła się na dobre? Zobaczmy to później!

Muszę wyznać, że wtedy pogląd jego wydał mi się ciasny; ale już po dwóch tygodniach przekonałem się, że stary malkontent miał słusność. Przytem późniejsze wiadomości potwierdziły, że Rosyanom idzie o coś zupełnie innego — niż o pokój.

XXXIX

Dalszy pochód. — Przejście rzeki Moskwy. — Pochód do Brownicy. — Zostaję posłany do Moskwy z listami. — Kreml. — Powrót. — Pochód przez Kaszir, Dąbrowicę, Bachowicę. — Utarczka z jazdą rosyjską. — Dalszy pochód. — Bitwa 2 października pod Michałowem. — Bitwa pod Czernisznią. — Rana. — Przewiezienie do Moskwy.

Dnia 18-go września wyruszyliśmy wcześniej i poszli w trop za Rosyanami, których jednak nie widzieliśmy ani śladu. Biwakowaliśmy przy Wierchniem-Miszkwie, o 27 wiorst od Moskwy. Przepędziliśmy cały dzień 19-go na tem miejscu, zmuszeni jednak do ciągłych rekognoskowań na obu skrzydłach.

93

20-go przyszliśmy nad brzeg Moskwy, na której Francuzi zbudowali most, zaopatrzony w szaniec. Zluzowaliśmy tam załogę francuską, a potem poszliśmy gościńcem do Brownicy i przepędzili cały dzień; w tamtej stronie kraj był dobrze uprawny i obfitujący w żywność, a szczególnie w owies i siano. Pomimo, że znaczne masy wojsk uwijały się w tamtych stronach, na łąkach i na polach pełno było stogów siana i stert słomy. I tego dnia znowu przybył do forpoczt rosyjski parlamentarz. Nie wiem czy skutkiem tego nastąpiła chwilowa przerwa w naszych działaniach i przepędziliśmy na naszym stanowisku cały dzień 21-go. Ale w górę rzeki i w dół wysyłałiśmy gorliwie rekonesanse. Czas był miępogodny; drobny, zimny deszczyk, który wiatr niósł prosto w oczy, dokuczał nam bardzo.

22-go przyszedł do dywizji rozkaz skoncentrowania się. Podczas przygotowań zostałem wezwany do jenerała. Oddał mi paczkę listów, rozkazał jechać natychmiast do Moskwy i oddać je marszałkowi Berthierowi. Musiała w nich być wiadomość, że pomimo posunięcia się aż do Brownicy nie spotkaliśmy nigdzie armii rosyjskiej. Zabrałem mego ordynansa i dostałem jako eskortę jednego polskiego ułana, z których kilku jenerał sobie przywłaszczył, Bóg wie jakim prawem. Jechaliśmy ostro, a że mój koń od 14-go dostawał wyborową paszę i przez ten czas nie robił męczących marszów, około 11-ej już przybyliśmy do dobrze znanych rogatki. Mogłem bez przeszkody jechać dalej, dopóki nie dojechałem de pogorzelska. Dym, który unosił się nad Moskwą i służył nam jako wskazówka w drodze od rzeki, zaczął naraz być bardzo dokuczliwy — naokoło nas wszędzie dymiące zgłiszczą, dopalające się szczątki — dużo ulic było poprostu nie do przebycia — zawróciłem więc, zmyliłem kierunek i tylko moim ludziom to zawdzięczam, że nie zabląkałem się wśród tego labiryntu ruin dymiących,

94

tlących się, a niekiedy wybuchających jeszcze płomieniem.

Spotkaliśmy wreszcie kilku Rosyan, jeden z nich doprowadził nas na plac przed Kremlm. Zsiadłem z konia przed odwachem przy bramie, a po przedstawieniu przywiezionych depesz, otrzymałem zaraz pozwolenie wejścia. Konia i ludzi moich oddałem pod opiekę podoficera na odwachu, bo żądza rabunku była tak jeszcze rozpanoszona, że niemożna było być zanadto ostrożnym. Żołnierz z odwachu przeprowadził mnie przez dziedziniec, przez bramę, pomiędzy licznymi poustawianymi w czworoboki budynkami i cerkwiami, na plac, na którym właśnie cesarz musztrował gwardyę. Był jak zawsze w szarym surducie, białych spodniach, wysokich butach i w małym kapelusiku na głowie. Jenerał Berthier stał obok niego. Kiedy zbliżyłem się do świąty, podszedł do mnie nieznany mi służbowy oficer i chciał wziąć moje listy. Ale powiedziałem mu, że mam je oddać do rąk samemu *Prince Vice-Connetable*, poczem poprowadził mnie do świąty, stojącej pośrodku grenadyerów, ustawionych w kolumny. Jenerał Monthion wziął moje listy i oddał je Berthierowi. Zasypywano mnie ze wszystkich stron pytaniami; każdy chciał wiedzieć, gdzie stoi armia, gdzie jest ten lub tamten korpus. Kiedy powiedziałem tym panom, w jakim stanie pozostawiłem dywizję i jakie jest nasze położenie na gościńcu Rizańskim, gdzie stoimy, nie wiedząc nic o reszcie wojsk i tylko słysząc od czasu do czasu huk armat w znacznej odległości na naszym prawem skrzydle, bardzo się zadziwili, a większość była tego zdania, żeby armia szła do Oki i pędziła nieprzyjaciela przed

sobą. Ale więcej jeszcze zadziwili się, gdy im powiedziałem, że jak dotąd widzieliśmy zaledwie kilka pułków kozaków. Wielkie też zaciekawienie wzbudziło to, że przyjechałem bez eskorty.

— *Eh bien!* — powiedział oficer służbowy — *que*

95

nous chante-on donc des Cosaques, qu'on doit rencontrer à chaque pas?

Jeden z Polaków ze świty Berthiera, których tam było dużo — o ile mi się zdaje hrabia Kwilecki — zapytał o naszego pułkownika i polecił go pozdrowić. Jeszcze z nim rozmawiałem, kiedy powrócił generał Monthion, zapytał gdzie pozostawiłem *ma troupe* i jaki rozkaz wydano na dziś. Kiedym go objaśnił co do tego, zapytał czy wiem, jakie wojsko mamy mieć przed sobą, a gdy odrzekł, że nie widzieliśmy nikogo oprócz kozaków i uzbrojonych chłopów, badał mnie dalej, czy ci chłopci, mają minę *de former les germes, le noyau de quelque armement nationale?* Mogłem mu dać tylko bardzo niedokładne objaśnienia, ale dodałem, że ci chłopci lubo sprawniejsi niż hiszpańscy *guerillas*, o ile się zdaje, nie mają równie dobrej broni. Na zapytanie jak stoimy pod względem *vivres, viandes et fourrages*, dałem zadawalającą odpowiedź i upewniłem, że bardzo nam tam dobrze.

— *Dites à votre général* — dodał generał Monthion na zakończenie badania — *que les dépêches sont sous les yeux de l'empereur.*

I na tem skończyła się nasza rozmowa. Cesarz, którego widziałem parę razy w przerwach między batalionami, wyglądał wesoło — wydał mi się taki sam, jak na dziedzińcu Tuileryów. Żołnierze gwardii wyglądali wspaniale. Byli tak schludnie ubrani, że nic im nie było można zarzucić.

Mogłem się teraz trochę rozejrzeć przez ten czas, kiedy mój koń popasał i gdy sam się posiłałem w baraku wzniesionym na tym samym placu, tylko trochę dalej. *Maitre d'hôtel* był Francuzem — podano mi befsztyk z kartoflami, butelkę bardzo dobrego czerwonego wina — bo półbutelek nie było — i wspaniałą filiżankę czarnej kawy — wszystko *moyennant 8 fr.* — w każdym razie trochę drogie śniadanie.

96

Podczas śniadania rozważyłem sobie jeszcze raz zapytanie generała i uznałem, że wziął się do tego ze zrzęczością rzadko spotykaną. W kilku pytaniach zawarł wszystko, o czym chciał się dowiedzieć i co mógł objaśnić oficer tej rangi co ja.

Od *garçon et chef du service* dowiedziałem się, że pożar wypłoszył z Kremlu Napoleona i gwardyę, że cesarz schronił się do jakiegoś *château du voisinage* i powrócił dopiero po kilku dniach, że zrabowano bazar *pour sauver au moins quelques débris de l'affreuse incendie* i że w Moskwie, w pobliżu Kremla ochraniało miasto, a w odleglejszych dzielnicach rabowano bez przeszkody. Pięć ósmych miasta spłonęło, a reszta została zrabowana. Prawdopodobnie cała mądrość pocziwego *chef de service* musiała się wysilać na żywienie oficerów, ponieważ — jak mówił — wszyscy u niego jadali. To samo, co mi mówił wtenczas, czytałem później wydrukowane w wielu książkach.

Tą samą drogą, którą przyjechałem do miasta, a na którą kazałem szczególnie uważać moim ludziom, powróciłem teraz do obozu. Im więcej oddalałem się od Kremla, tem częściej spotykałem zgraje zajęte rabunkiem. Ułan jechał obok mnie z pistoletem w rękę, a z drugiej strony mój ordynans, dobrze uzbrojony. Z jednej takiej grupy odezwało się wołanie: francuski pies. Udałem naturalnie, że tego nie słyszę, odpiąłem tylko olstry, żeby móżdżek prędzej wyjąć pistolety. Nagle wjechaliśmy na ulicę, która się rozchodziła na dwie strony — nie wiedzieliśmy gdzie jechać, dym był na obu drogach jednakowy. Ale mój ułan zaraz się zorientował — skierowaliśmy się na właściwą drogę i wydostali szczęśliwie na pole. Puściliśmy się rażnym klusem. Spotkaliśmy najpierw oddział gwardyjskiej konnicy, powracającej z furazem. W ciemnościach, które wcześniej nastąpiły po dniu pochmurnym, zmyliliśmy później drogę. Ognie, które widać

97

było na wszystkie strony, łudziły nas jeszcze więcej. Po długim kręceniu się w rozmaitych kierunkach zobaczyliśmy nakoniec czerwonałą łunę na niebie. Ponieważ nie przejeżdżaliśmy przez rzekę, nie mogły to być ognie nieprzyjacielskiego obozu, puściliśmy się tedy ku nim na los szczęścia. Po dość długiej jeździe odezwało się wreszcie wołanie:

— Kto idzie?

Ponieważ polskie wołanie straży podobne jest do rosyjskiego, stanąłem, czekając na powtórne za pytanie. Rozległo się ono zaraz. Była to nasza własna dywizya, którą zastałem stojącą o dobre pół mili od rzeki Moskwy. Oddałem przywiezione wiadomości generałowi, którego zastałem — według jego własnego wyrażenia *tres bien niché dans une maisonette*, musiałem mu opowiedzieć wszystko, com widział i słyszał, poczem zostałem przez pana generała uczęstowany winem, chlebem i kawałkiem szynki, co musiałem uważać za szczególniejszy zaszczyt. Rozmowa z generałem niezbyt rozmownym stanowiła rażące przeciwieństwo z tą, jaką miałem przed kilku godzinami z generałem Monthion, który zadawał niewiele pytań, ale ściśle należących do rzeczy, gdy generał Claparède zasypywał mnie pytaniami, na które mógł sobie sam odpowiedzieć, albo takimi, na które — co powinien był rozumieć — nie byłem w stanie dać odpowiedzi. Zajmowała go przedewszystkiem kwestya pokoju, bo powracał bezustannie do niej i do tego, co o tem mówiono w głównej kwaterze. Musiało być około 11-tej, kiedy mnie uwolnił. Przy drzwiach czekał już na mnie służbowy oficer mojego pułkownika. Powtórzyłem mu poleczone mi pozdrowienie, ale po za tem nie mogłem nic ważnego donieść. Wiadomości, usłyszane od *chef du service*, które były dla generała zupełną nowością i pułkownikowi były także nieznanne. Ale przyjął je zupełnie inaczej niż generał.

98

— Wierzaj mi, mój drogi przyjacielu, że smutna przyszłość nas czeka. Zgubiliśmy zupełnie trop nieprzyjaciela, nikt nie wie gdzie jego armia stoi — Moskwa ze swojemi posiłkami jest za nami — nasza armia zdemoralizowana — kawalerya zmarnowana — gdyby nas teraz zaskoczyła zima, wątpię czy przy całym geniuszu cesarza zdołalibyśmy uniknąć katastrofy w razie zaczepnego wystąpienia nieprzyjaciela. Zobaczysz, że będzie to tak, jak Narbonne przepowiadał: wojna *de l'espace et du temps.*

Poczem opowiedział mi, co słyszał w otoczeniu marszałka Berthiera, że Berthier, Murat, Duroc, Daru, Narbonne — wszyscy jednym słowem — przeciwni byli pochodowi do Moskwy, ale że niepodobna było cesarza odwieść od tego zamiaru, aczkolwiek często się wahał. A potem pułkownik dodał:

— Raz już z tej strony i na tej samej drodze dokonano się zbawienie Rosyi. Kiedy dwieście lat temu Polacy zajęli Kreml, Rosyanie w Tule i Kałudze przygotowali wyswobodzenie kraju. Podobno i teraz cofnęli się do tych miast. Być może, że ludzi mnie zamilowanie w historycznych podobieństwach, ale kiedy nieprzyjaciel ustawił się na tych punktach, to już teraz jest zagrożone nasze połączenie ze Smoleńskiem.

Nie mogłem zaprzeczyć słuszności jego zapatrywaniom, podałem tylko w wątpliwość zagrożenie naszej linii operacyjnej. Ale pułkownik obstawał przy swoim i na tem skończyła się rozmowa.

Przebyliśmy cały dzień 25-ty, wysyłając na wszystkie strony patrole, które nie widziały jednakże nic, oprócz garstki kozaków. Ale nad wieczorem zbliżyły się ku nam oddziały nieprzyjacielskiej konnicy, prowadzące z sobą baterię. Rozpoczęła się żwawa strzelanina, w której wzięła udział artylerya naszego pułku pod dowództwem porucznika Borakowskiego. 27-go rankiem dopiero wyruszyliśmy

99

w pochód. O kilka wiorst za obozem wpadliśmy na nieprzyjaciela. Przyszło do kilku pomniejszych utarczek, przy których, mojem zdaniem, za wiele było strzelania z dział. Potem nieprzyjaciel zrobił się wstrzemięźliwszy. Wielkie chmary kozaków okazywały chęć zaatakowania nas, ale cofnęły się, kiedy zaczęliśmy się posuwać ku nim. Odsłoniliśmy liczną, naszą jazdę, pod której osłoną skupiło się wojsko. Obie dywizye piechoty ustawiły się w dwa wielkie czworoboki, na skrzydłach pośrodku jazda, kirasyerzy, a na skrzydłach lekka kawalerya. Po silnej kanonadzie Francuzi ruszyli do ataku, Rosyanie zwinęli się i ustąpili z placu. Bagaże ustawiły się razem w jednym taborze na tyłach. Po południu około 4-ej rozbiliśmy obóz w pobliżu Czeskowicy i Baszkowicy. Jednocześnie rozeszła się pogłoska, że nieprzyjacielski obóz znajduje się niedaleko. Zostałem wysłany *en reconnaissance* z dwiema kompaniami wołtyżerów i jedną muszkietierów, ale bez instrukcyi. Wskazano mi tylko w pobliżu lesisty pagórek. W tamtą stronę miałem się posuwać — *jusqu'a ce lieu, mais pas davantage, pour reconnaître le pays et l'ennemi*. Grunt był poprzecinany małemi brzozowemi zaroślami. Oddaliłem się od forpoczt może na jakie 1,000 kroków, kiedy żołnierz, idący w pierwszym szeregu, zawrócił i zaraportował, że widać niedaleko cały obóz rosyjski. Przekonałem się po bliższem zbadaniu że o dobre ćwierć mili, ale ukryty w zagłębieniu gruntu, stoi obóz — trzy albo cztery pułki konnicy, przygotowane, i o ile się zdawało, do wymarszu.

Przedemną była mała, młodemi brzózkami zarosła przestrzeń, przez którą łatwo mógł się przedrzeć śmiały kawalerzysta. Dalej o trzysta kroków drugi las, większy, z wysokich brzóz złożony. Za sobą miałem małe, rzadkie zarośla i kilka tysięcy kroków płaszczyzny. Uważałem, że trzeba zająć zarośla, leżące przed nami i puściłem się ku nim *au*

100

pas gymnastique, upewniwszy się przedtem, że nie są obsadzone przez nieprzyjaciela. Moja przednia straż zaraz po zajęciu zarośli doniosła mi, że obóz zwinął się i wojsko idzie prosto na nas. Zobaczyłem istotnie trzy, czy cztery pułki idące szwadronami. Zatoczyły wielkie półkole, jakby chciały obejść małe zarośla, o których wspomniałem, spostrzegłszy dążących ku nim moich tyra-lierów. Staliśmy cicho, ludzi moich rozstawiłem w taki sposób, żeby mogli w razie potrzeby ostrzeliwać nieprzyjaciela z tyłu i z boków.

Nieprzyjaciel w pewnej odległości od zarośli ruszył truchtem, przebył pustą przestrzeń dzielącą go od nich, i odwracając się do nas tyłem, skierował się ku zaroślom. Zanim jeszcze Rosyanie zdążyli się odwrócić, daliśmy do nich ognia z tyłu i z boków. Po pierwszym strzale Rosyanie puścili się kłusem, przedarli się z okrzykiem przez zarośla, uporządkowali się po drugiej stronie i znikli nam z oczu równie prędko, jak przybyli. Kiedym się już upewnił co do ich odwrotu, wyszedłem z swojej kryjówki. Zastaliśmy zabitych czternaście koni i czterech ludzi. Zanim jeszcze doszliśmy z powrotem do naszych forpoczt, spotkaliśmy jadącego ku nam wice-króla Neapolu z brygadą kawaleryi. Wysłuchał mego raportu, powtórzył dwa razy:

— *Très bien! Très bien!*

I wysłał w pogoń za nieprzyjacielem kilka szwadronów. Ale, że już zmrok nastał, powróciły wkrótce, nie spotkawszy nieprzyjaciela.

28-y września przepędziliśmy na tem samem miejscu. Dziwnego rodzaju były wtedy nasze wojenne działania. Chodziliśmy to tu — to tam: tu widać było oddział wojska — tam znowu obóz — nasze siły bywały często tak porozrzucone, że w razie silniejszego

ataku nieprzyjaciela z którejkolwiek strony, niepodobieństwem byłoby zgromadzić je razem. Była w tem wszystkim jakaś połowiczność, jakaś chwiejność:

101

żołnierze w swoim żargonie żołnierskim mówili o takich bezcelowych obozowaniach i marszach:

— *On ne fait que droguer.*

29-go, po ugotowaniu jedzenia, wyruszyliśmy w pochód, a o 10-ej wpadliśmy zaraz na rosyjską jazdę, której artylerya przyjęła nas gęstemi strzałami. Ale znikła, zobaczywszy, że gotujemy się do ataku. Kozacy wtedy zaczęli objawiać śmiałość, której im dotąd brakowało. I oni też ukazali się na placu boju. Rozsypani na całym froncie, wszędzie i bezustannie rzucali się na naszą zmęczoną jazdę, uciekając lotem strzały po to, żeby wnet powrócić, byli wszędzie i nigdzie — przeszkadzając nam do furazowania w urodzajnej okolicy. Gdzie tylko miejscowość na to pozwalała, przydana im artylerya ostrzeliwała nas ze swych lekkich dział, zaprzężonych w dobre konie: w końcu kozacy zrobili się tak odważni, że we wszystkich wężozach, rowach i przy mostach zsiadali z koni i rozsypywali się w tyralierkę. Gdy nadchodziła, nasza piechota, w mgnieniu oka byli już na siodle i uciekali jak błyskawica.

Idąc na przedzie, słyszeliśmy silną kanonadę na naszym prawem skrzydle. To książę Poniatowski walczył z nieprzyjacielem pod Czyrykowem. Mając nie wiele więcej nad 3,000 ludzi, bo do tej cyfry zeszedł jego korpus, stoczył zwyciężką bitwę z Miłoradowiczeim, który miał kilka razy większe siły, utrzymał się na placu boju, wziął około 500 jeńców, przyczem nieprzyjaciel postradał więcej niż dwa razy tyle w zabitych i rannych. Ale i Polaków padło 500, co było ciężką stratą w tych warunkach. Naprzeciw nas stał duży oddział kozaków, podtrzymywany przez jazdę regularną; zdawało się, że mają oni zamiar

powstrzymywać nas na miejscu, żebyśmy nie mogli pójść na pomoc polskiemu korpusowi. Tego samego dnia Murat był w wielkiem niebezpieczeństwie. Było już późno po południu,

102

a kozacy stali ciągle, jak się wyrażali Francuzi — *à la barbe de nos colonnes*.

Król Neapolu poszedł na nich z częścią jazdy. Rosyjanie z początku się cofali, potem wyciągnęli się w półkole i nagle uderzyli na Francuzów. Wszyscy rzucili się na króla, który, jak zwykle, wyróżniał się swoim kostiumem.

— Dziś nam się nie wymkniesz, carze! — wołali kozacy.

Eskorta królewska została rozproszona, a sam król walczył z otaczającymi go kozakami. Przy nim był tylko jeden Polak, kapitan Malczewski, krewny mego pułkownika, dodany królowi jako tłumacz. Pomimo, że Murat sam zrzucił z konia jednego zarąbanego kozaka, a kilku zranił, zmuszony został w końcu do ucieczki. Ale dwóch pogoniło za nim, zaczęła się bójka, król był już bliższy zguby, kiedy zjawił się Malczewski i zarąbał jednego kozaka, skutkiem czego drugi uciekł. Król zaraz na placu boju mianował swego zbawcę baronem, obdarzył go orderem i jednocześnie dotacją z kilkoma tysiącami lirów dochodu. Malczewski w 1816 roku powrócił do Warszawy po tragicznej śmierci króla i postradawszy tytuł, uposażenie i order, zapadł napowrót w mrok, z którego tak świetnie przedtem się wydobył. Był to człowiek szlachetny, mężny, a karyera jego w epoce przezemnie opisywanej zdawała się zapowiadać wspaniałe.

Nad wieczorem porozstawialiśmy forpoczty. Wywołało to nową i gwałtowną strzelaninę, która skończyła się dopiero z nastaniem nocy, jednocześnie z ostatnimi strzałami, jakie nas doszły od strony Czyrykowa. Król neapolitański pociągnął ku zachodowi, żeby się znowu przybliżyć do korpusu Poniatowskiego, przy którym był poprzednio. Główna kwatera naszej dywizji stanęła w Cyłowiu, dokąd cofnęliśmy się. Dowódca forpocht stał w Okułowiu. Powtarzam te nazwiska tak, jak je pisano w dywizji.

103

Jeżeli się rozważy, że są one pisane według pierwszej mapy Rosyi, którą Napoleon kazał zrobić dla generałów, wydanej po francusku, i że tak sfrancuzione występowały w rozkazach dziennych, to nikt się nie będzie dziwił, spotykając tu nazwy, mające apokryficzne raczej, niż rosyjskie pochodzenie.

Dnia 2go października nadszedł rozkaz posunięcia się ku Moskwie. Gwałtowny ogień naszych wołyżerów przepędził nieprzyjaciela na drugą stronę. Kiedy zaczęliśmy robić przygotowania do przeprawy, przybył generał Sebastiani.

— Wołyżerowie! — zawołał. — Potrzeba z wam mostu, żeby przejść przez taki strumień?

Zamiast odpowiedzi, kilku oficerów rzuciło się w wodę, żołnierze poszli za nimi i przeprawili się na drugi brzeg, mając wody do pół ciała.

Poszedł na dno jeden tylko żołnierz, który prawdopodobnie trafił na głębie. Usadowiliśmy się mocno na drugim brzegu, poszliśmy do najbliższej wsi i zajęli tam dwór właściciela. Jednocześnie w kilku miejscach przeszliśmy przez Moskwę i już o 11-iej artyleria, piechota i jazda była przeprowiona na drugą stronę rzeki. Rosyjska piechota, która nie wydawała się bardzo silna, zniknęła nam zaraz z oczu. Ale artyleria i konnica ustąpiły dopiero po gwałtownej kanonadzie. Wszyscy cofnęli się do wsi zwanej Iśłowa-Michałowa, przy której nieprzyjaciel powznosił reduty z zamiarem bronięcia się tam uporczywie. Od jeńców dowiedzieliśmy się, że przed nami stoi generał Miłoradowicz. Tu połączyliśmy się z korpusem księcia Poniatowskiego, od którego dochodził do nas od kilku dni odgłos strzałów działowych. Król Neapolu zabrał polską konnicę i konną artylerię, które były w dobrym stanie, żeby odepchnąć nieprzyjaciela, ale rozpoczął on zaraz silny ogień, na który i my odpowiadaliśmy również gorąco. Otrzymaliśmy rozkaz skierowania się ku prawemu skrzydłu rosyjskiemu. Artyleria naszej

104

dywizji zaczęła ostrzeliwać konnicę nieprzyjacielską, z tak dobrym skutkiem, że ta wnet się cofnęła. Przez to odsłoniło się bok nieprzyjaciela, a gdyśmy się posunęli od centrum ku szancom, Rosyjanie opuścili je pośpiesznie. Dokonali tego pod osłoną licznej artylerii i jazdy. Ale zaledwie posunęliśmy się o wiorstę, wpadliśmy znowu na liczny oddział konnicy, przed którą stała bardzo silna artyleria rosyjska. Było to na płaszczyźnie dość rozległej, żeby można na niej rozwinąć jazdę. Dwa małe, brzoźowe laski, położone po obu stronach gościńca, mogły stanowić doskonały punkt oparcia dla naszego skrzydła. Na prawym skrzydle stała dywizya Dufoura — na lewym dywizya Claparède'a — a pomiędzy nimi w środku konnica z artylerią. Z obu stron wyprawdzono

około 200 dział. Z początku nieprzyjaciel nie zauważył naszej dywizji. Dopiero później ustawili Rosyjanie baterię haubic, zwróconą przeciwko nam. Trzaskanie granatów — łoskot padających drzew — niepokój żołnierzy, stojących pod ogniem niewidzialnego nieprzyjaciela, któremu nie mogli się odstrzeliwać — posępne milczenie, zimny deszcz, padający dość gęsto — wszystko składało się na nieprzyjemne wrażenie. Dopiero znacznie później nadeiagnęła lekka polska artyleria. Poznaliśmy ją już zdaleka po białych płaszcach. Powitaliśmy ją też takim „hurra”, że dzielni ludzie, pod najgwałtowniejszym ogniem podjechali tuż do nieprzyjacielskich stanowisk i zasypali je gradem kartaczy, skutkiem czego Rosyjanie wkrótce zawrócili armaty i cofnęli się za Woronowo.

Wieś przedtem jeszcze została spalona. Chłopskie chaty na lewo od drogi leżały w gruzach, a były, co się rzadko w Rosyi trafia — wszystkie murowane. Na prawo od drogi był zamek i inne dworskie zabudowania — dziś jedna kupa zwalisk. Tylko na końcu ogrodu, opasanego murem, ocalała w rogu okrągła baszta, na której stał posąg wspinającego

105

się konia olbrzymich rozmiarów. Na bramie zamku był naklejony papier, na którym napisano wielkimi literami:

„*J'ai mis le feu à mon château, qui me coute un million afin qu'aucun chien français y loge*“.

Setki ludzi czytały ten napis i mogą zaświadczyć, że wszystkie przeróbki, ogłaszane później, są fałszem. Papier ten dostał się w ręce adiutanta Madalińskiego, który przywiązywał do niego wielką wagę i u którego widziałem go jeszcze w Niemczech. Ku wieczorowi powrócił na nowo nieprzyjaciel. Po gwałtownej kanonadzie Rosyjanie opuścili swoje stanowisko, podłożywszy przedtem ogień. Kilka oddziałów piechoty musiało w ciągu nocy patrolować we wsi, która była w pobliżu naszych forpocht. Nasi

żołnierze zastali ją nieobsadzoną przez wojsko rosyjskie, ale pełną rannych, chorych, włóczęgów i zapasów żywności. Zabrali kilkuset jeńców; jednocześnie sprowadzili masy żywności, którą obławowali jeńców. Zaledwie nasi wyszli, pojawili się we wsi Rosyanie. Ale przybyli już *post festum* napaść ich na forpocztę wywołała tylko krótką wymianę strzałów.

Od 27-go mieliśmy ciągle utarczki, bez wielkich strat jednakże, których można było spodziewać się po tak częstych i gwałtownych kanonadach. Ale niemniej przeto artyleria i konnica z każdym dniem zbliżały się do ostatniej ruiny, gdy piechota bardzo dobrze się trzymała, a nawet można powiedzieć, że poprawiła się od czasu wymarszu z Moskwy. Żywności było dosyć, pogoda znośna, drogi wprawdzie niekiedy złe, ale na ogół możliwe do przebycia. Żołnierze wszelkiej broni byli pełni męstwa. Pojedyncze oddziały artylerii nie obawiały się stawać do boju z całymi bateriami nieprzyjacielskiemu najdrobniejsze oddziały jazdy rzucały się na całe hufce kozaków i często, jeżeli nieprzyjaciel nie był w przeważającej liczbie, wychodziły z tych potyczek

106

zwycięzko. Większe oddziały jazdy, skutkiem złego stanu i zmęczenia koni, często były odpierane przez nieprzyjaciela.

4-go października wyruszyliśmy wczesnie. Dzień był piękny. Porządek pochodu był taki sam, jak dnia poprzedniego. Nasza dywizja szła tak, jak dotąd — na prawem skrzydle. Wkrótce zetknęliśmy się z nieprzyjacielem, którego jazda przewyższała o wiele

naszą. Powolne cofanie się regularnej jazdy, oraz zuchwalstwo kozaków zapowiadały zacięty opór. Okazało się wkrótce, że się nie mylimy. Piękna równina, przez którą szliśmy, napełniła się Dońcami, którzy rozwijali się przed nami, strzelali gwałtownie i cofali śpiesznie. Przytem pod wsią Spas-Kuplia, i zaraz potem pod Bogorodskoje zaczęła się gwałtowna kanonada. Mogło być koło 10-ej, kiedy znaleźliśmy się w obliczu niezliczonej masy jazdy, stojącej przed nami linią wydłużoną. Pułki piechoty poustawiały się w czworoboki, porozrzucane w dużych odstępach. Drugi pułk naszej dywizji formował kraniec prawego skrzydła, do niego przytykał pułk 3-ci. Lewe skrzydło dywizji stanowił 1-y pułk. Francuski pułk 84-ty stanął w rezerwie dla wzmocnienia skrzydła, wysunięty trochę ku przodowi.

Po bokach pułku stały cztery armaty. Inne pułki z dywizji Dufour ustawione były w jednej prawie linii z nami i tworzyły połączenie z korpusem Poniatowskiego, którego pułki oczekiwały na starcie, ustawione również w czworobok. Artyleria zapełniała przerwy między pułkami. Po za piechotą stała jazda. W pewnym oddaleniu po za jazdą stał tabor, którego całą obronę stanowili Lżej ranni, chorzy, służba oficerów i markietanie. Było tam także trochę dział, zaprzężonych w najlichsze konie. Dziwnym sposobem udało się wykonać te zarządzenia niemal bez strzału. Król Neapolu przejechał, sprawdzając szyk bojowy i odezwał się do dowódcy 2-go batalionu 2-go pułku, którego znał osobiście:

— *Eh bien! nous voilà commie en Egypte!*

107

Żołnierze witali go radośnie, bo imponował im swoją wielką, nieustraszoną odwagą, ujmował przyjacielskim obejściem i podobał się żołnierskimi manierami; mniej dobrze trzymali o nim oficerowie francuskiej kawalerii.

— *C'est un fameux soldat, mais il a abimé notre cavallerie, qui sera bientôt demontée*— mówili.

Wyżsi oficerowie byli dla niego jeszcze gorzej usposobieni.

2-gi pułk otrzymał koło jedenastej rozkaz posunięcia się naprzód i zajęcia zarośli, położonych po prawej stronie. Inny pułk miał iść za mm eszelonami. Wykonaliśmy szczęśliwie ten ruch, ale dalszym pochodzie przez dość nisko położoną dolinę zatrzymała nas rzeczka Czernisznaja, o której istnieniu nic nie wiedzieliśmy: W teże chwili ujrzelśmy stojącą przed nami jazdę rosyjską; cofnęła się ona śpiesznie, odsłaniając czterdzieści armat, które zaczęły nas gwałtownie ostrzeliwać z przeciwnego brzegu. Musieliśmy się zatrzymać. Cztery działa, stojące przedtem w pobliżu pułku 94-go, posunęły się na sam brzeg doliny, i wytrzymywały z wielkimi męstwem, ogień silnej artylerii rosyjskiej. Jednocześnie udało się woltyżerom 94-go i 2-go polskiego pułku, przepłynąć się przez Czerniszną. Rosyjska artyleria cofnęła się natychmiast. Nasze wojska mogły bez przeszkody przejść na drugą stronę rzeczki. Jednakowoż Rosyanie — których lewe skrzydło opierało się o rzekę, prawe o las — las zatrzymali się znowu.

Kiedy wyszliśmy z doliny, rozciągnęła się znowu jazda, odsłaniając liczną artylerię, która zaraz rozpoczęła gwałtowny ogień. Zaczęło się to właśnie wtedy, kiedy 94-ty pułk francuski i pułki polskie 2-gi i 3-ci w drugiej linii posunęły się na jakieś sto kroków od rzeczki. Batalion 94-go pułku, idący przed nami, ucierpiał mocno i zaczął się chwiać. Dowódca uczynił, co mógł, żeby przyprowadzić go do

108

porządku, ale w tej właśnie chwili, kiedy jego usiłowania zaczęły skutkować, granat wysadził w powietrze — w dosłownym znaczeniu — jakiegoś oficera, jadącego także konno, poczem batalion wpadł splotony na batalion naszego pułku i oba powróciły do porządku dopiero zatrzymawszy się na skraju doliny. Odłamek granatu zrzucił mi kaszkiet z głowy z taką siłą, że oderwała się jedna z podpinek; prócz tego w zamieszaniu zrzucano mnie z konia. Kilka szwadronów jazdy byłoby w tej chwili wystarczyło do zupełnego roztratowania nas. Ale uporządkowaliśmy się natychmiast. Jednocześnie ukazało się piętnaście dział, które z trudem wywlokły się na skraj doliny. Teraz byliśmy już w lepszym taktycznym szyku. Baterie ustawiły się — my obsadziliśmy tyralierami leżącą przed nami gęstwinę i ustawiliśmy się po za nimi w odpowiednim oddaleniu. Kilka słabych pułków jazdy stanęło częścią w lukach między pułkami piechoty, częścią po za gęstwiną. Słabe oddziały konnicy, porozstawiane w pewnych odstępach, tworzyły drugą linię wojska.

Przez ten czas bitwa na naszym lewym skrzydle musiała także być gorąca, bo działa grzmiały bez przerwy i sam Murat pojechał w tamtą stronę. Ale Rosyanie zaczęli posuwać się ku nam. Wprawdzie dwukrotne natarcie ich jazdy rozbiło się o spokojną postawę naszej konnicy, oczekującej z bronią do ataku na nieprzyjaciela, który i tym razem nie uderzył. Ale gdy się gotował do ataku z powiększonymi siłami, konnica francuska cofnęła się zupełnie. Artyleria również odesłała swoje lawety i zaprzęgi w dolinę Czernisznej, a ludzie od obsługi dział przyłączyli się do piechoty. Nasi tyralierzy zostali odparci, lecz nacierający nieprzyjaciel dostał się pod celny ogień naszej piechoty i cofnął się, nie obsadzwszy zarośli.

Konnica rosyjska stała spokojnie naprzeciw pierwszego pułku naszej dywizji i 94-go francuskiego.

Zaatakowała tylko kilkakrotnie pułk 3-ci, ale ataki jej zostały zwycięzko odparte. Zdawało się że na tem zakończy się szczęśliwie ten groźny moment bitwy, kiedy Rosyanie zwrócili się i uderzyli znów na nas. Zarośla zostały nam odebrane a tyralierzy wyparci. Wtedy nasz dowódca postanowił ratować się za pomocą rozpaczliwego środka. Przy biciu w bębny i trąbieniu rzucił się na spotkanie

Rosyan, którzy ustąpili, a my zajęliśmy nasze poprzednie stanowisko. Podczas przerwy, która potem nastąpiła, nadjechał powracający król Neapolu. Kazał posunąć się naprzód artyleryi i konnicy i ściągnął do siebie jeszcze trochę jazdy, pozostałej na drugiej stronie rzeczki. Ale że jazda ucierpiała mocno od strzałów armatnich, zmuszona była ustawić się z tyłu. Rosyanie, widząc to i mając może nadzieję wzięcia do niewoli króla, którego zdaleka można było rozpoznać, wyruszyli znów i bacząc pilnie na nasz pułk i na 3-ci, rzucili się na 2-gi pułk, stojący na krańcu skrzydła, w którego pobliżu był Murat. Natarcie było tak gwałtowne, że król i cały jego sztab schronili się do naszego czworoboku.

Rosyanie jechali odważnie, ale widząc, że nie strzelamy, zwolnili i zatrzymali się w odległości 50 kroków; nastąpiła chwilowa cisza, przerywana tylko parsaniem koni. Nagle rozległa się komenda i Rosyanie, zawróciwszy na prawo w tył, odjechali stępą. Nic podobnego nie zdarzyło mi się nigdy widzieć, chyba tylko na polu ćwiczeń w czasie pokoju. Król obsypał nasz pułk pochwałami.

— Pochwałę wasze męstwo przed cesarzem. — wołał jeszcze przy pożegnaniu, odjeżdżając pędem.

Kiedy w r. 1813 przechodziliśmy przez Drezno, mijaliśmy dom, w którym król Neapolu siedział w oknie. Poznał odrazu naszego pułkownika, zatrzymał pułk, w którym była już tylko część ludzi z kampanii r. 1812 i zeszedł na dół: *pour voir ses braves camarades* — jak się wyraził.

Nieprzyjaciel stał w pogotowiu, pod silnym ogniem. Dałem rozkaz strzelania dopiero, gdy zbliżyliśmy się do zarośli. Rosyanie cofnęli się, a my za nimi w zarośla. Ale że byli z lewej i z prawej strony, ci, których minęliśmy, stali spokojnie pod samym ogniem, strzelając machinalnie tam, gdzie nie było żadnego przeciwnika. Podtrzymywali ogień rozpoczęty na rozkaz, a potem dopiero rozległa się komenda i bicie w bębny. Bitwa była bardzo krwawa; straciliśmy 11 oficerów i 257 szeregowców. Między ranionymi byłem i ja. Dostałem postrzał w kostkę u lewej nogi i kula utkwiała w ranie. Zraniono mnie w chwili, gdy dobiegaliśmy do brzegu złowróźbnych zarośli. Porucznikowi Garszyńskiemu, dzielnemu młodzieńcowi, który po mnie objął dowództwo, kula strzaskała lewą rękę. Niemniej gorąca walka toczyła się na całej linii, ale Rosyanie utrzymali bezwarunkowo pozycję, na której rozpoczęli bitwę; tak więc odnieśli pierwsze stanowcze zwycięstwo w tej wojnie, pomimo, że nie wzięli jeńców, ani nie zdobyli żadnych trofeów.

Ranionych przewieziono do Winkowa. Wydobyto mi z wielkim bólem kulę, z mocno już spuchniętej nogi. Zapadłem w pewien rodzaj odrętwienia, z którego zbudził mnie wielki hałas. Kula armatnia wpadła do domu, roztrzaskała belkę i przeleciała przez cały pokój — niewygodny gość, który na szczęście, był jedynym.

— To bilet wizytowy nieprzyjaciela — odezwał się raniony oficer z trzeciego pułku, kapitan Krajewski.

XL.

Przeniesienie do Moskwy. — Przybycie do szpitala. — Wyjazd gościńcem smoleńskim. — Troskliwość koleżeńska oficerów polskich. — Smutny stan rzeczy w Smoleńsku. — Dubrowna,

Orsza, Tołoczyn, Bobrujsk, Borysów. — Niemożność posuwania się dalej. — Nietrafne rozporządzenia generała Dąbrowskiego i Bronikowskiego.

— Przybycie nieprzyjaciela. — Zdobycie mostu. — Powrót do Bobrujska.

Wielkiej pieczołowitości naszego lekarza, który może teoretyczną wiedzą nie dorównywał innym, ale pod względem zręczności, troskliwości i bystrości nie ustępował nikomu, zawdzięczaliśmy noc spokojną. Staraniem pułku umożliwiające zostało odesłanie do Moskwy 6-go października ranionych oficerów i żołnierzy.

Dnia 5-go panował rodzaj zawieszenia broni i był to pierwszy dzień od dość dawna, w którym nie słyszeliśmy żadnych strzałów.

Nasz konwój, około stu żołnierzy i dwudziestu oficerów, pod opieką garstki piechoty i ułanów przystanął dla wypoczynku w połowie drogi do Moskwy, w dobrze utrzymanej wsi.

Kiedy mnie chciano zdjąć z wozu, zemdlałem. Doktor kazał mnie zostawić na wozie, ale większą część ranionych poprzenoszono do domów. Wóz mój był obity całą skórą juchtową łupem z Moskwy, a raczej owocem rabunku: doskonała lisiura, także z tego źródła pochodząca, chroniła mnie od zimna, a mój służący, wierny Maciejewski, spał pod wozem.

Najazutrz rano wyruszyliśmy w dalszą podróż i w południe spotkaliśmy gwardyę, holenderską i polskich *chevaux légers de la garde* wysłanych po furaz. Wszyscy byli bardzo przyjacielscy i zadziwieni mocno tem, co od nas słyszeli. Jeden oficer z którym zrobiłem znajomość jeszcze w Chartres, ale którego nazwisko wypadło mi z pamięci, powiedział mi wtedy:

— Panowie dowódcy nie chcą wierzyć, kiedy się im mówi, że rzeczy biorą zły obrót, ale mam przekonanie najsilniejsze, że dopiero z nastaniem mrozu rozpocznie się dzień sądu dla armii.

Im więcej zbliżaliśmy się do Moskwy, tem więcej spotykaliśmy wojska, które obozowało, albo furazowało w okolicy, przeważnie jazdy, między innymi i 7-my pułk ułanów, który należał do naszej dywizyi i długi czas przebył z nami w Hiszpanii, ale potem został przeniesiony do korpusu Soult'a. Ten pułk wykonał słynny atak na gwardyę angielską pod Albuferą i w całej armii miał wielką sławę. Tu dowiedzieliśmy się, że jego pułkownik, dobrze znany Konopka, który miał formować 2-gi pułk

konny gwardyi — do którego to pułku przeszedł mój pułkownik Chłusowicz — stoi w Słonimiu i że pułk jest już prawie sformowany.

Przenocowaliśmy o kilka mil od Moskwy prawie tak samo, jak poprzedniej nocy i przez rogatkę Kałuską wjechaliśmy do miasta.

Po długiej jeździe przez zburzone ulice do staliśmy się w końcu do ocalałej części miasta. Zdaje się, że pozostało 2,000—2,500 budynków. Nareszcie konwój się zatrzymał: żołnierze zostali przeniesieni do szpitala stojącego na uboczu; oficerowie „*hôpital de St. Pol*,” jak go nazywali Francuzi. Zastaliśmy tam mnóstwo oficerów francuskich, którzy oparci na kulach przechadzali się po dziedzińcu, wygrzewając się w promieniach bladego słońca. Jak tylko dotknęli mnie ludzie, chcąc wynieść z wozu, straciłem znów przytomność. Powróciłem do zmysłów dopiero w pokoju, gdzie stały łóżka z ranionymi. Mogę śmiało powiedzieć, że nie wyobrażałem sobie, żeby szpital mógł tak dobrze wyglądać. Pokoje były wysokie, pełne powietrza i czyste, usługa dobra, opieka lekarska doskonała, jedzenie obfite i smacznie przyrządzone. Wprawdzie spaliliśmy na siennikach, nakrytych tylko derami wełnianymi, albo grubym suknem, ale że od tyłu miesiący przepędzaliśmy nocę na biwakach, więc i takie postania wydawały nam się doskonałym łóżem.

W chwili naszego przybycia do szpitala

113

oficer francuzki wysiłał się na starania około oficerów polskich. Opowiadał, jak na polu bitwy pod Borodinem leżał ciężko raniony w *redute du centre* i jak mu wtedy oficerowie polscy dawali wódkę, chleb i w końcu przyrządzili wygodne postanie. Ja sam przypomniałem sobie ten fakt: człowiek ten leżał z piętnem śmierci na twarzy, niedaleko od naszego prawego skrzydła. Kazałem żołnierzom pozbierać płaszcze poległych Rosyan i zrobić mu z nich postanie; potem daliśmy mu kaszy i trochę wódki. Człowiek ten otrzymał postrzał w górną część czaszki, druga kula przeszła mu ryngat i utkwiała w klatce piersiowej. W miesiąc i trzy dni po otrzymaniu ran uwijał się rażno po szpitalu i nazywa Polaków swoimi zbawcami. Pomyślałem sobie wtedy:

— Gdyby wszyscy umieli być tak wdzięczni, jak ten człowiek, jak że inaczej działałoby się na świecie!

Ale ileż doświadczeń trzeba przejść zanim się zrozumie słowa Cycerona: *Ingratum si dixeris, omnia dixisti*.

Dnia 10-go obejrzał moją ranę *le chirurgien major de l'hôpital*. Noga była trochę tylko spuchnięta, ale wygląd rany niedobry, jeszcze ani śladu ropienia, a brzegi rany sinawe, z oznakami zakażenia.

— Musi tam jeszcze tkwić jakieś obce ciało — powiedział lekarz, zapuścił sondę i rozszerzył ranę za pomocą cięcia. Ból w ranie był prawie jeszcze większy niż przedtem, noga na podbiciu i palce spuchnięte. Stan taki trwał bez zmiany do 13-go w południe. Wtedy dowiedzieliśmy się, że mają nas przewieźć do Smoleńska — 400 oficerów i 12,000 żołnierzy rannych i chorych — cała dywizja miała nam towarzyszyć. Rozporządzenia, wydane w tym celu, wydawały się trafne. Z taboru wozów podjeżdżało

114

po dwadzieścia, ładowano na nich rannych, poczem wyruszały w drogę pod opieką jednego *infirmier major*. 14-go października wyjechałem z jednym z pierwszych transportów i zapewne tej okoliczności zawdzięczam życie. Przy tej pierwszej *division du convoi* pełnił obowiązki eskulapa trochę brudny i niezaradny *chirurgien sous-aide*, Etienne. W innych okolicznościach niezawodnie nie powierzyłbym nawet psa temu człowiekowi, ale miał on w sobie tyle dobroci, uprzejmości i usłużności, że w końcu bardzo go polubiłem. Mój służący czuwał nad jego żywnością i pilnował go, żeby się mył — przychodził trzy razy na dzień zobaczyć, co się ze mną dzieje, i naturalnie jeść razem z nami. Pierwsze dni podróży minęły dobrze, ale ból nie ustępował. Mój poczciwy Garszyński, który jechał na jednym wozie ze mną zaczął się niepokoić. Kiedyśmy dojechali do Krimskoję, mogłem już dość swobodnie poruszać palcami, bez tego piekielnego bólu. Przy zmianie opatrunku znalazł się trójkątny kawałek ołowiu, który wyszedł z rany z odpływającą ropą. Nie zdołałbym opisać ulgi, jakiej doznałem. Minęliśmy tego dnia Możajsk. Z pewnym przestrachem przeczytałem na słupie wiorstowym 99 wiorst od Moskwy i zacząłem obliczać, jak daleko jeszcze do Smoleńska. Mogliśmy dobrze przyjrzeć się poboju, szczególnie jego najwyższym punktom. Ciała poległych leżały jeszcze tak, jak je ścięła kosa śmierci — po większej części obnażone. Z daleka wyglądało to tak, jakby się tam rozłożyło olbrzymie stado owiec — taką białością świeciły trupy. Czas był pogodny, ale przejmująco zimny, lekkie płatki śniegu unosiły się w powietrzu. Późnym wieczorem dojechaliśmy do Borodina. Konwój wjechał na gościniec do Kołockoje — na nasze przyjęcie naturalnie nic nie było przygotowane i dlatego wszyscy musieli spędzić trochę zimną noc *à la belle étoile*. Przez Kołockoje dojechaliśmy w zimny, mglisty dzień do Gżacka.

115

Od Kołockoje kraj był już obsadzony przez polskie wojska. Od naszych kolegów doznaliśmy dużo współczucia i zajęli się oni żywo naszym losem. Zamienili nam nędzne konie na lepsze, zaopatrywali hojnie w żywność — kaszę, chleb, wódkę, słoninę, a niekiedy nawet w świeże mięso. W Wiaźmie zastaliśmy nasz 3-ci batalion, który pozostawiłem w Śremie. Dowiedziałem się, że dowodził tu generał Teste, ale nie widziałem śladów jego działalności. Leżałem w tak zwanym *zamku*, to jest palisadami otoczonym budynku, który był postawiony w stanie obronnym. Robiono wszelkie wysiłki żeby zgromadzić Polaków będących w konwoju, a szczególnie

żeby zaprowadzić jakikolwiek porządek w pochodzie, ale wszystko to było napróżno. Z całego konwoju zaledwie połowa się zebrała, pomimo, że w drodze nie byliśmy wcale napastowani. Polskie wojska które tu widziałem, były w zupełnym porządku i miały postawę doskonałą. Ale byli to wszystko ludzie młodzi, *pas encore rompus à la fatigue*. Tylko wyborne kadry trzymały się dzielnie. Kapitanowie Garlicki, Starowolski, Łuniewski, Wandorf i w. i. umieli sobie dobrać ludzi. Kapitan Wandorf z 200 ludźmi odprowadził nas do Smoleńska. W każdym jego rozporządzeniu znać było biegłego żołnierza. Donośny głos małego, lekko zezującego człowieka, trochę szyderski sposób rozkazywania, szybkość, z jaką uwijał się wszędzie na małym szpaku, imponowały ludziom. Pewien jestem, że gdyby konwój ciągle był prowadzony w takim porządku, byłby bez żadnej wątpliwości doszedł do celu

in integro. Ale nieporządek i brak karności, które zaczęły się objawiać od chwili przejścia Niemna, a coraz więcej wzrastając, ogarniały całą armię, ujawniały się we wszystkich oddziałach i przy każdym poruszeniu.

4-go listopada, o czwartej po południu, przybyliśmy do Smoleńska, w wilgotny dzień ze śnieżną

zamiecią. Wyjechaliśmy z Moskwy 14-go października o czwartej po południu, przebyliśmy więc 384 wiorsty — około 55 mil w ciągu dwudziestu jeden dni, w ciągu których było kilka dni odpoczynku. Mieliśmy nadzieję, że może uda się nam — jeżeli nie przepędzić zimy to przynajmniej zatrzymać się tam do zupełnego wyzdrowienia. Moja rekonwalescencya postępowała szybko, powracając mi siły fizyczne i duchowe. Ropienie w ranie odbywało się prawidłowo, apetyt miałem wyborny, a cały mój organizm — z wyjątkiem zranionego miejsca, był w doskonałym stanie. Nasz przyjaciel Wandorf rozstał się tu z nami, ale i dalej jeszcze spotykaliśmy pełnych współczucia i serdecznych towarzyszy. Stał tu jeden z trzech batalionów dywizji polskiej, który był także z nami w Hiszpanii. Kilku oficerów zobaczyło nas wjeżdżających przez most. Poznali nas po mundurach, zatrzymali i za pozwoleniem Wandorfa, zabrali na swoje kwatery. Były one, co prawda, niezbyt świetne, mieszczące się w domach zburzonych przedtem, które naprędce ponaprawiano i uczyniono mieszkalnemi od biedy. Oficerowie zagospodarowali się tu na dobre, mieli świnie, krowy, barany, zapasy wina, sterty słomy i siana, jednym słowem wszystko, co mogło być potrzebne do przezimowania. O żołnierzy dbali też troskliwie, szczególnie o tem pamiętali, żeby można im dawać dodatki do zwykłych racyj. Umundurowanie było dobre. Przytem bataliony miały służbę wcale nie lekką. Trzeba było przebiegać okolicę, w której lud zaczynał się zbroić, i sprowadzać żywność. Że zaś trzeba ją było sprowadzać zdaleka, wyprawy takie trwały często po kilka dni. Rosyane korzystali z tej sposobności i niepokoiili naszych w powrocie. Ponieważ jednak bardzo mało powstańców miało broń palną, utarczki te kończyły się do tej pory zwycięstwem naszych żołnierzy. Drobne te utarczki zahartowały wojsko i przygotowały je do

większych trudów, do czego już sam pochód z nad Warty do Dniepru stanowił dobrą, podstawę. Sześć batalionów z pułków Nadwiślańskich, 1-go, 2-go i 3-go, oraz z pułków piechoty polskiej 4-go, 7-go i 9-go, które odbywały służbę na czatach od Możajska

do Krasnoje, stanowiły wojsko dobrze umundurowane, karne i doskonale uzbrojone, liczące 3,000 i kilka setek bagnetów. Kapitan Kowalski (brat późniejszego sufragana Gnieźnińskiego), Grabowski (brat późniejszego generała, jeżeli się nie mylę) i Jabłoński, krewny rotmistrza, który poległ pod Możajkiem, oto nazwiska tych wybornych oficerów, które pozostały mi w pamięci z owej fatalnej epoki. Przypominam sobie jeszcze żywo ich zdania o tem, co należy czynić, a czego zaniechać. Według nich, Smoleńsk mógł stanowić dla nas bardzo dobrą *tête de cantonnement* na wypadek odwrotu, ale nic nie było przygotowane w tym celu. Wprawdzie wypiekano codzień chleb i gromadzono żywność, lecz nie tyle, żeby mogło to zaspokoić wszystkie potrzeby. Szczególnie brak było miejsca na pomieszczenie żołnierzy. Zamiast budować domy, burzono je co dzień — a mając na myśli jeden tylko obrót rzeczy, pędziło się życie w nieprzezorności, której niczem nie można było usprawiedliwić.

Mogliśmy się też zaraz przekonać o prawdziwosci wiadomości, otrzymanych od kolegów, z przebiegu naszych własnych spraw. Nie wiedzieliśmy nic, czy mamy tu zostać, czy dalej jechać. Zdaje się, że o tem miały rozstrzygnąć wyższe rozkazy. 7-go do batalionu Rynarzewskiego nadszedł rozkaz zawiezienia listów do Krasnoje i zabrania wszystkich *isolés*, którzy mieli się tam zgromadzić na wskazanym miejscu.

— Wiecie co, przyjaciele — powiedział do nas dowódca — radzimy wam skorzystać ze sposobności, żeby wyjechać z tej zapowietrzanej dziury, w której nikt się o was nie zatroszczy. Dopóki my

tu jesteście, nie zabraknie wam niczego — ale kto wie, jak długo nas tu zostawią? Cobyście na to powiedzieli, żeby się wybrać razem z nami?

Nie potrzebował nam dwa razy tego powtarzać. Przygotowaliśmy nasze wozy i nazajutrz wczesnym rankiem byliśmy już zapakowani i staliśmy na tej samej drodze, którą szedł do ataku korpus marszałka Davoust'a. Mój wóz, na którym siedziało trzech oficerów z naszego pułku — kapitan Zieliński, ja i porucznik Garszyński — zaprzężony był w dwa tęgic konie; moje własne, które były daleko gorsze, zatrzymano tutaj. Na nieszczęście, inne wozy i *isolés* ścigali tak powoli, że dopiero o 9-jej można było dać hasło do wymarszu. Zebrało się zaledwie jakieś dwadzieścia wozów i kilkuset ludzi. Ku wielkiej naszej radości, zastaliśmy w eskorcie naszego przyjaciela, Wandorfa. Dano mu rozkaz odprowadzenia konwoju aż do Dubrowna, ponieważ kozacy mieli się pokazywać na gościńcu. Stary Rynarzewski doskonale wszystko urządził. Ze swoich ludzi utworzył oddział konnej piechoty, z karabinami zawieszonemi na plecach, podzielił ją na przednią i tylną straż i jednocześnie na pewien rodzaj policyi. Nazwał to swoją *konną piechotą*, w przeciwstawieniu do *wielbłądziej konnicy*, jaką niegdyś sformował był Napoleon w Egipcie z wielkim dla siebie

pożytkiem. Piechotę zaś trzymał skupioną razem i tak wszystko ruszyło rażnym krokiem. Zimny wiatr powiewał. Szliśmy tą samą drogą, co przedtem, i poznałem dużo miejscowości przy niej położonych.

W Dubrownie 9-go rozstaliśmy się z Wandorfem i Leśniewskim z wielkim co prawda żalem. Im zawdzięczaliśmy nasze utrzymanie i pośpieszną podróż.

— Nas wszystkich, moi przyjaciele, dyabli wezmą — powiedział Wandorf ze zwykłą dobitnością wyrażań. — Wam może uda się wrócić do kraju — jeżeli nie powrócę, powiedzcie tam w Kaliszu — gdzie

mnie widzieliście po raz ostatni. Niech was Bóg ma w swojej opiece, bracia! — i pogoził z powrotem do swoich ludzi.

10-go listopada dojechaliśmy do Orszy, gdzie zastaliśmy wielki zamęt. Krążyły wiadomości o przegranej bitwie, o spodziewanym przybyciu Rosyan. W komendanturze nie było nikogo. Generał Jomini wyprawił się, jak mówiono, *en découverte*. Opowiadano, że wszystko, co było choćby napół tylko zdolne do pochodu, skierowane zostało ku Tołoczynowi. Ponieważ nie mogliśmy do nikogo zwrócić się o radę chyba do samych siebie, postanowiliśmy natychmiast jechać tą samą drogą. Cały gościńiec

zapchany był przez *isolés* i *trainants*, eskorta złożona może ze stu ludzi szła na czele kolumny, nie troszcząc się o nią. Po południu doszliśmy do dużej wsi o jedenaście wiorst od Tołoczyna, gdzie zamierzaliśmy przenocować. Ale zaledwieśmy się zdążyli rozgrzać, okrzyk: *Cosaques! Cosaques!* Wszystkim przewrócił w głowie. I my zadziwiliśmy się bardzo. Poszytkowali

do *officier d'escorte*, który swoich ludzi umieścił w obszernej stajni, i zastaliśmy tam energiczne przygotowania do obrony. Ale w wiosce okazało się, że przez pomyłkę wzięto za kozaków kilku chłopów, którzy w obawie rozboju jechali do swoich pól konno, boczną drogą.

W Tołoczynie przyjął nas bardzo przyjaźnie burmistrz, upewnił że w całej okolicy panuje spokój, i że nigdzie w tych stronach nie słychać nic o nieprzyjacielu.

Wzmocnieni na duchu i na ciele, opuściliśmy 14-go miasteczko i pojechali do Bobrujska, gdzie przenocowaliśmy w tym samym domu, w którym niedawno mieszkał Napoleon, a 15-go ruszyliśmy w dalszą drogę do Borysowa, gdzie przyjechaliśmy jeszcze wcześniej. Zajęliśmy na nocleg mały, przyjemny, drewniany domek po za miastem, na wzgórzu, z którego widać było płynącą Berezynę i szaniec

120

przedmostowy. Nasz gospodarz, stary szlachcic i kościuszkowski żołnierz, jak sam się nazwał, przyjął nas po przyjacielsku i jego żona również świadczyła nam grzeczności, co jej przychodziło łatwo, jako dawnej pannie dworskiej (co znaczy, że służyła w jakimś dworze szlacheckim). Ale dobre to przyjęcie już wieczorem zasepiły różne wiadomości. Stary leśnik, przybyły w odwiedziny z drugiego brzegu rzeki doniósł naszemu gospodarzowi, że jak mówią, Rosyanie wkrótce mają nadsięgnąć i że Francuzi gotują się ustąpić z Mińska. Poleciliśmy naszemu gospodarzowi, żeby się wybrał do miasta po wiadomości: powrócił wnet ze starym znajomym, który to wszystko potwierdził. Ale nasza gospodyni starała się wypełniać jak najlepiej obowiązki gościnności i według wskazówek kolegi Zielińskiego, nagotowała nam wyborne grzane piwa, poczem poszliśmy spać, mając zamiar wyjechać nazajutrz wczesnym rankiem. Ale człowiek projektuje, a Bóg rozstrzyga! Kiedy punkt o ósmej przybyliśmy na rynek, zastaliśmy tam wielkie zamieszanie. Komunikacja z Wilnem i z Mińskiem zdaje się że przerwana, *il n'y a pas moyen de passer*. Rozbitki z konwoju który poprzedniego dnia wyruszył do Wilna, przynieśli pewną wiadomość o tem.

Przesiedzieliśmy tedy w Borysowie 16, 17 i 18 listopada. Co dzień nadchodziły smutniejsze wieści. 16-go napewno już mówiono o ukazaniu się Rosyan na gościńcu mińskim; 19-go przyjechał do Borysowa generał Bronikowski, który został komendantem Mińska. Miasto całe zapełnili ludzie, w rozmaitych ubraniach, pomieszani z pozostałymi resztkami wojska, ze szczątkami organizujących się kadrów, z uciekającym i mieszkańcami wsi i ze zgrają nicponiów, którzy pod najszlachetniejszymi tytułami mieli należeć do armii, a zamiast tego hańbili ją i zajmowali się wszędzie rozbojem i rabunkiem. Dworska czeladź uciekającej szlachty, pisarze, służący, kucharze,

121

ogrodnicy, którzy z Warszawy i jej okolic tu napłynęli, napełniali całe miasto. Mianowicie szynkownie i sklepy z tytoniem pełne były ludzi, którzy dniem i nocą grali w karty i pili. Kilku takich wdarło się do naszego mieszkania, niby to szukając kwatery dla jakiegoś kasztelana, ale powiedzieliśmy im, że jeżeli ich pan zechce się tu umieścić bez biletu kwaterekowego, może się spodziewać, że dostanie od nas kulą w łeb; odeszli więc i nie pokazali się więcej. Lecz nasz służący wraz z gospodarzem musieli w nocy stać przed domem na straży. Generał Bronikowski, który już od dawna dowiódł swej nieudolności rozporządzeniami, jakie wydał dla zabezpieczenia Mińska, i który swoje stanowisko zawdzięczał prawdopodobnie nadmiernym pochwałom, jakich Suchet nie szczędził jego wojskowym talentem — i teraz nie miał dość siły, żeby w tym tłumie zaprowadzić jakikolwiek porządek.

W nocy 20-go pojawił się Dąbrowski ze swoją dywizją. Wszyscy pokładali na nim największe nadzieje, a tymczasem teraz dopiero rozpoczęły się nasze największe cierpienia. Zaraz po jego przybyciu rozeszły się na wszystkie strony niepochlebne szczegóły o jego pochodzie, bo uważano ogólnie, że mógł być przyjsć do Borysowa o 24 godziny wcześniej. Z najpewniejszych źródeł doszła wiadomość, że chcąc swej żonie zabezpieczyć podróż do Mohylowa, nadłożył drogi, zamiast iść najkrótszą, (tak przynajmniej pisze generał Prądzyński, z którego ten szczegół tu cytuję).

Bardzo ważnem było dla mnie to, że czas, przepędzony w Borysowie, zużytkowałem na wprawianie się w chodzeniu na kulach. 21-go Rosyanie spróbowali zrobić wyprawę na most, która im się też udała. Łatwo to wprawdzie, sądząc z następstw i powierzchownie wydawać wyroki, ale jednak już wtedy zdawało mi się, że generał Dąbrowski źle się bierze do rzeczy. W każdym razie, skutkiem

122

nieznajomości miejscowych warunków, obrał sobie za stanowisko szaniec przedmostowy, który wcale nie osłaniał mostu. Wynikło z tego, że miał bardzo słabą łączność z generałem Bronikowskim. I gdyby Rosyanie nie byli „wgryźli” się w szaniec przedmostowy,

jak się mówi w żargonie wojskowym, byłiby w każdym razie zawładnęli mostem i wcześniej i bez tak znacznych strat. Do tego dopomagali im swojemi manewrami i Bronikowski i Dąbrowski, każdy na swoją rękę. Bronikowski, który lepiej znał się na dobrych obiadach, niż na sztuce wojennej, wysuwał jak na śmiech częściowo swoje wojsko przeciwko Rosyanom i dał się na całej linii pobić i rozproszyc. Gdyby ci panowie rozumieli byli dobrze położenie, byłiby połączyli swoje siły i stanęli na placu boju w znaczniejszej liczbie niż generał Lambert w chwili, gdy szedł do ataku. Piękna dywizja Dąbrowskiego, złożona z pułków piechoty 1-go, 6-go, 14-go i 17-go, z 1-go pułku strzelców, z 12-go pułku ułanów, z jednego pułku litewskiego i dwóch wybornych *bataillons de marche*, mogąca z łatwością podsunąć się do konnicy, którą dowodził Konopka, była zupełnie zdolna stawić czoło Lambertowi.

Kiedy rankiem przyjrzeliliśmy się z naszego domostwa przygotowaniom do bitwy, przechodzeniu wojsk to w tę, to w ową stronę, a potem zobaczyliśmy że Rosyanie posuwają się ku mostowi, nadzieje nasze zaczęły upadać.

— Nasi zrobią głupstwo i dadzą sobie odebrać most — powiedział mój przyjaciel Zieliński. — Jestem tego zdania, żeby kazać zaprzęgać i jechać z powrotem do Bobrujska.

Utwardził nas w tym zamiarze nasz gospodarz, upewniając że w tamtą stronę poszła też francuska jazda. Ale zwłóczyliśmy z wyjazdem jeszcze przez kilka godzin. Od czasu do czasu przelatywały armatnie kule z przeciwległego brzegu i padały niedaleko naszego mieszkania. Widząc, że bitwa przybliża

123

się do mostu, wsiedliśmy do wozu i zawrócili drogę do Bobrujska. Lecz spostrzegliśmy zaraz, że dużo ludzi miało ten sam rozum. Dostaliśmy się w długi łańcuch wozów.

Na szerokiej drodze tłoczyły się powózki, a szczególnie maruderzy, trzymający się zwartą masą, nadawali ruch całej kolumnie. Jechaliśmy tak pewnie z godzinę, kiedy za nami rozległy się głośne krzyki:

— Z drogi! na prawo! na lewo! Kozacy idą.

Okrzyk ten rozlegał się wszędzie. Zaraz potem tłum łotrów, o których wspomniałem, nadbiegł pędem ku nam i zaczęli jak opętani siec wydobytych szablami, strzelając z karabinów i pistoletów i płosząc konie. Wśród tego tłumu byli niektórzy pokrwawieni skutkiem ran otrzymanych czy od nieprzyjaciela, czy od swoich — nie wiem, ale widok ten zelektryzował cały konwój. Wszyscy krzyczeli, klęli, pędzili przed siebie, powywracano niektóre powózki, ale na szczęście kozacy się nie pokazali, więc wszystko powróciło do jakiegoś takiego porządku, pomimo, że odgłos strzałów działowych z pod Borysowa przybliżył się do nas. Dobiliśmy się do Bobrujska bardzo późno. Miasto przepełnione było bagażami, rannymi, zbiegami i żołnierzami rozmaitej broni, o porządku nie mogło być nawet mowy. Burmistrz był w rozpacz, maruderzy znieważyli go, zajęli jego kancelaryę i gospodarowali tam według swego widzimisię. Po długich poszukiwaniach na różne strony, znaleźliśmy w końcu za zapłatą miejsce w domeczku położonym na najbardziej oddalonym przedmieściu i stajnię, gdzie byliśmy przynajmniej trochę zabezpieczeni od wiatru i zimna. Od kilku dni była odwilż, która zaczęła się od trzeciego dziesiątka listopada, chociaż przedtem termometr jakiś czas stał poniżej zera. Noc minęła spokojnie, pomimo że słychać było w nocnej ciszy strzały i wrzaski pijanych włóczęgów. Ranek nie przyniósł żadnej zmiany. Zaczęliśmy się naradzać, co dalej robić. Widoczne było,

124

że całe zebrane w Bobrujsku towarzystwo, liczące kilka tysięcy ludzi, nie stawiało najmniejszego oporu w razie napadu kozaków. Prócz tego, całe to gospodarstwo było dla nas czemś zupełnie nowem. Pomimo, że idąc w tamtą stronę, byliśmy świadkami wielkiego nieporządku, lecz wojsko stanowiło wtedy jeszcze jakieś zabezpieczenie tyłów, ale tego, cośmy od Borysowa przebyli, było już za wiele. Posłaliśmy do miasta człowieka, który nas przyjął do siebie i daliśmy mu parę groszy na wódkę, zalecając, ażeby zobaczył i dowiedział się, co się dzieje. Człowiek ten dawny polski, a następnie rosyjski artylerzysta, poszedł zaraz, a tymczasem jego żona, uosobienie niechlujstwa, gotowała dla nas jedzenie. Było może koło jedenastej i zjedliśmy właśnie kaszę na śniadanie, kiedy powrócił nasz agent. Był wprawdzie pijany, ale to, co mówił, miało zupełnie sens. Przyniósł wiadomość, że przed południem przyszło wojsko z Tołoczyna, że oczekują przybycia samego cesarza, że w mieście panują zbójceckie rządy, że świeżo przybyli z gołemi szablami w rękę opróżniają domy, wypędzając wszystkich, bez względu na to; że są między nimi chorzy i ranni. Po krótkiej naradzie ułożyliśmy, że ja i Garszyński pójdziemy do miasta po wiadomości, a Zieliński zostanie na straży przy koniach i kwaterze.

Była może pierwsza w południe, gdy doszliśmy na rynek. Przenikający wiatr i mróz kilkstopniowy, który nagle nastąpił, ułatwił nam przejście przez błotniste ulice. Zastaliśmy w wojsku zamieszanie i hałasy, o których doniósł nam wysłaniec. Ale co nas zastanowiło nadewszystko, to, że prawie nie było widać uzbrojonych ludzi. Ludzie byli poubierani w najdziwaczniejszy sposób, w najmieszniejsze stroje, lecz to tłómaczyliśmy sobie srogością pory roku i rozluźnionem wogóle u Francuzów pojęciem o karności, porządku i dyscyplinie. Ale żołnierze bez broni byli dla nas zupełną

125

nowością. Nakoniec spotkaliśmy oficera gwardyi, do którego zwróciłem się z zapytaniem, gdzie jest gwardya, a mianowicie dywizya Claparède.

— *Ma foi!* — odpowiedział mi — gdzie jest w tej chwili pańska dywizya, nie mogę powiedzieć, ale wiem, że eskortowała *le tresor et les trophées*, myślę jednak, że nadejdzie w tych dniach. Ale zkąd wy wzięliście się tutaj?

Opowiedziałem mu pokrótce o naszych losach, a szczególnie o przygodach od Borysowa.

Przed dawną moją kwaterą spostrzegłem dwóch *gendarmes d'elite*, którzy zwykli byli towarzyszyć głównej kwaterze cesarskiej. Ale samego cesarza jeszcze nie było. Przyglądałem się długo nędznemu i zgnębnemu tłumowi ludzi.

— Czy widzisz, kapitanie — zagadnął porucznik Garszyński — że ci *trainants*, to po większej części zdrowi, silni ludzie? Nie mogę tego wszystkiego zrozumieć: może to są tylko *gens de corvée* wysłani z obozu w jakimś celu, — ale sam obóz musi być tu gdzieś niedaleko.

Kiedyśmy tak zastanawiali się nad tem, co się dzieje, zobaczyliśmy, że na rogu ulicy zbierają się gromadki ludzi, czytając plakaty. Podeszliśmy do nich i zobaczyliśmy rzeczywiście *ordre du jour* przybity na ścianie, naganiający surowo zachowanie się tych *trainants i isolés* i nakazujący im niezwłocznie powrót do właściwych korpusów i oddziałów wojska, których stanowiska były jednocześnie wskazane. Przytem zalecano, ażeby *force armée* — to jest żandarmerya — zajęła się nimi i przywróciła porządek i karność. Groźbą sądu wojennego na opornych kończył się rozkaz dzienny. Kilku żołnierzy przeczytało go zebrany tłumom, ale zdawało się, że nie uczyniło to na nich najmniejszego wrażenia. Gdyby były środki na to, żeby tych ludzi tak, jak przyszli, spędzić razem, zgromadzić i uzbroić, byłoby wtedy możliwem uporządkować ich według korpusów

126

i dywizyj, do których należeli, i odesłać do właściwych oddziałów, ale prostym rozkazem dziennym i gadaniną nic już wtedy nie było można zrobić.

Podkład do tej anomalii wojskowej datował od czasu pochodu do Moskwy; w Moskwie samej, czy też w chwili wymarszu rozwinęło się to zupełnie, a to, co teraz się działo, było tylko następstwem tego obrzydliwego rozpuszczenia wszystkich i zupełnego upadku karności.

Jedyną pociechą było, że wśród tego zamętu nie widzieliśmy ani jednego żołnierza z naszej dywizyi. Po kilkogodzinnej wycieczce powróciliśmy do naszego schronienia. Następnego rana musiał nasz artylerzysta iść znowu do miasta. Mróz był większy i w nocy przejął nas nawskroś. Postanowiliśmy za jakąbądź cenę zdobyć inny nocleg; czekaliśmy tylko na powrót naszego gospodarza. Powrócił koło jedenastej i zawiadomił nas, że przybyło dużo nowego wojska. Wybraliśmy się tedy do miasta i zastaliśmy tłumy żołnierzy, biwakujących na rynku i po ulicach. Ale część bezbronnej hołoty zniknęła i udało się nam w stajni jakiegoś zajazdu znaleźć wcale znośne schronienie: leżało tam dużo rannych, ale było jeszcze miejsce i dla innych. Izba gościnna, do której wejście, według miejscowego zwyczaju, było prosto ze stajni, zajęta była przez kilku wyższych oficerów. Wóz

pozostawiliśmy pod strażą służącego i starego artylerzysty. Na tem wszystkim zeszło do jakiej 1 — 2 godziny. Leżeliśmy na słomie, a raczej na końskim nawozie, poowijani w kołdry, czekając, co będzie dalej. Ale czuliśmy się bezpieczniejsi w pobliżu wojsk, pod bronią. Nagle wtargnął do stajni tłum oficerów różnych stopni i zażądał natychmiastowego ustąpienia z izby i ze stajni, dlatego, że zamieszka w tym domu *prince Vice-Connetable*. Daremne były wszystkie protesty:

— *Nous vous délogeons de vive force!* — dało się w końcu słyszeć.

127

Ale Francuzi nie myśleli wcale zgodzić się na to.

— *C'est une cruauté de votre part* — wołali do przybyszów — *que vous exercez envers de pauvres blessés! nous préférons être plutôt tués, que de déloger.*

Podczas tych sprzeczek nadszedł sam książę i przeszedł przez stajnię do izby. Poszło za nim zaraz kilku oficerów, uskarżając się na bezprawne postępowanie jego sztabu i prosząc o pozwolenie pozostania w stajni. Książę zezwolił, zatrzymując tylko pokój i przejście przez stajnię dla swojej służby. Skutkiem tego przez całą noc nie ustawało chodzenie, ale mogliśmy przynajmniej leżeć w ciepłe, i lepiej nam tu było niż u artylerzysty. Nazajutrz bardzo wcześnie byliśmy już na nogach. Artylerzysta przyniósł nam doskonałej zupy z chleba okraszonej słoniną, i mogliśmy się podzielić nią z wielu towarzyszami. Trochę pieniędzy, które daliśmy naszemu opiekunowi, przyjęte zostało z największą wdzięcznością. Po południu zobaczyliśmy żołnierzy z naszej dywizji, którzy przynieśli wiadomość, że nasz pułk nadciągnie niezawodnie nazajutrz. Nie mogliśmy się doczekać tej chwili, a oddzielała nas od niej jeszcze długa — długa noc. Porucznik Garszyński pozostał na naszym legowisku, a Zieliński i ja wybraliśmy się na miasto, żeby zobaczyć i usłyszeć, co się dzieje. Cesarz przybył w przeddzień wieczorem i zamieszkał w domu, w którym dawniej gościliśmy — w jednopiętrowym niskim budynku, z małą wystawką, wspartą na dwóch drewnianych słupach. Z każdej strony sieni był duży pokój z mniejszą izdebką.

W stojącym obok domu miał być umieszczony Berthier, ale sufit się zapadł i budynek stał się niemożliwy do mieszkania. Tej okoliczności zawdzięczaliśmy zaszczyt, że zamieszkał obok naszej stajni.

Pode drzwiami cesarza stało o partych dwocn

128

grenadyerów starej gwardyi, przed domem biwakowało 40 — 50 ludzi. Prócz tego na rynku stała pikietka. Jakże się wszystko zmieniło od czasu, kiedy ostatni raz widziałem gwardyę w Kremlu! Wtedy jaśniała ona jeszcze pełnią sił dziś zdziatkowana pochodem i niedostatkiem, w obdartych mundurach, straciła dużo na wyglądzie, ale stare, ogorzałe twarze zachowały tę odrębną wojowniczą cechę, a zwykle posępni żołnierze zrobili się jeszcze bardziej milczący i ponurzy, niż przedtem. Że nie zapomniano o nich przy podziale żywności, świadczyły pełne kotły i ponapełniane flaszki. Cesarza nie widzieliśmy wcale.

Powróciliśmy wcześniej do stajni, odwiedziwszy przedtem nasze konie i zastawszy przy nich wszystko w największym porządku. Berthier wkrótce wyjechał, ale inni oficerowie zajęli po nim kwaterę. Nasze obozowisko nappełniło się jeszcze więcej, leżeliśmy natłoczeni jak śledzie. Nagle w nocy rozległo się wołanie:

— Ogień!

Zerwali się wszyscy przerażeni — wszyscy chcieli uciekać, zrobiło się zamieszanie, o jakim może mieć pojęcie ten tylko, kto tam był. Okazało się tymczasem, że to tylko wiatr napędził dym z ognisk palonych w pobliżu, i nappełnił nim stajnię. Ale nocny spokój został zniweczony, wszyscy już byli niespokojni i przestraszeni. Oczekiwaliśmy z upragnieniem dnia, który zdawało się, że nadchodzi wolniej jeszcze niż zwykle. Z pierwszym brzaskiem zerwaliśmy się i pobiegli do biwakowych ognisk najbliższego oddziału. Wszędzie panowała jeszcze zupełna cisza; gęsta mgła, pomimo mrozu, zakrywała wszystko, dużo ognisk zagasło i opustoszało, inne były starannie podtrzymywane. Przykra była ta cisza, panująca wszędzie; prawie wszyscy milczeli.

Okolo 8-ej wyruszyła większa część wojska, kierując się ku Naczy — reszta miała iść gościńcem do

129

Borysowa, który z równą łatwością, jak przedtem został postradany, teraz dostał się napowrót w nasze ręce. Szczątki wojska, które wtedy miały jeszcze broń i były jako tako sformowane, mogły wynosić 5— 6,000 ludzi. Ale było przytem dużo uzbrojonych ludzi, którzy trzymali się gromadami, nie przyłączając się do żadnych oddziałów wojska i którzy nie mieli widocznie innego celu, oprócz tego, żeby unieść całą skórę, a przytem rabować, posługując się w tym celu zachowaną bronią. Był to istotnie najniebezpieczniejszy gatunek, bo kiedy liczono na nich, wymykali się niespostrzeżeni pod boki wyższych oficerów, którzy mieli zamiar ich zagarnąć.

XLI.

Spotkanie się z pułkiem 20-go listopada. — Odwrót do Berezyny. — Zbudowanie mostu powyżej Borysowa. — Przewiezienie przez most rannych z legii i wojska. — Udaje mi się szczęśliwie przejść razem z nimi. — Od 29-go listopada zaczyna się nasza niewypowiedziana nędra. — Pochód

przez Pleszczenice, Mołodeczno, Smorgonie.

Po południu 24-go listopada nadciągnęła nasza dywizya. Nie zdołałbym opisać radość, jakiej doznaliśmy na widok towarzyszków.

— No i cóż? — zagadnął, zwracając się do mnie kapitan Lichnowski — czy nie mówiłem ci zawsze, że do tego przyjdzie? Wy młodzi nie chcieliście wierzyć nam starym. Właściwa wojna teraz dopiero się rozpocznie.

Nasza dywizya 18-go października — podczas tak zwanej drugiej bitwy pod Tarutinem — przez obronę Spas-Kuplii uratowała od pewnej zguby korpus wice-króla, co wszyscy przyznali, a jednak nie

130

poniosła tak wielkich strat, jak 4-go października który nasz pułkownik nazywał zawsze najchlubniejszym dniem dla pułku. Potem powierzono mu straż przy *trophées et trésor*, posiłkując się nimi od czasu do czasu dla wzmocnienia pojedynczych

korpusów, jak na przykład pod Krasnoje. Nie mogę też powiedzieć, żebym zastał wielką różnicę pomiędzy starą gwardią, a naszymi ludźmi — byli oni nawet weselsi, jak zwykle Polacy, którzy, gdy widzą, że oficerowie dzielą z nimi cierpienia i radość — niełatwo tracą humor. Przypominam sobie dokładnie, że żołnierze wieczorem na biwaku opowiadali sobie rozmaite anegdotki, jak dawniej, w szczęśliwszych chwilach. Między innymi, żołnierz przebrany za starą babę, ale w grenadyerskiej bermycy na głowie, z groźnym wyrazem twarzy fanfaronował niesłychanie, a gdy się rozległo wołanie: Kozacy! Kozacy! zuch zrzucił bermycę i wołał błagalnie: *Pardon! Monsieur le cosaque!*

Żart ten odnosił się do bitwy, w której Francuzi wystawili na sztych Polaków — ale oficerowie zabronili później tego przedstawienia.

Gdy dowiedziano się od nas o rzeczywistym stanie rzeczy, uznano: za najważniejsze obmyśleć, w jaki sposób dałoby się zabezpieczyć chorych i rannych i zapewnić całość bagażów. Wprawdzie żywił się jeszcze słabą nadzieją, że uda się odebrać most i Borysów; ale trzeba było przygotować się na wszystkie ewentualności. Pomimo, że Napoleon jeszcze pod Orszą nakazał spalenie wszystkich wozów, było ich mnóstwo do naszego rozporządzenia. Naładowane one były rannymi i rankiem wysłane do Naczy pod strażą dzielnego sierżanta. Wszystkie bagaże, zostały ograniczone do minimum i upakowane w workach na naszym wozie i jeszcze drugim w taki sposób, żeby je można było w razie potrzeby przełożyć na wyprzęgnięte konie i przewieźć dalej.

131

Ranni oficerowie z naszej dywizji, których było — o ile pamiętam — jedenastu, i lżej ranni żołnierze pozostali przy swoich pułkach. Wszystko to odbyło się z rozporządzenia dowódców pułkowych, bo nikt się nie troszczył o generała, dla którego oficerowie

stracili doszczętnie szacunek. Nie widziałem go nawet wcale. Dywizja biwakowała opodal od miasta; późnym wieczorem rozstaliśmy się z kolegami, już po nadejściu rozkazu wymaszerowania nazajutrz do Naczy. Poszliśmy razem z dywizją i przybyliśmy na miejsce 25-go listopada. Wśród towarzyszków było nam jak w niebie. Przytem było wprawdzie zimno, ale pogodnie. Lekarz pułkowy miał pieczę nad rannymi, których stan pogorszył się skutkiem zaniedbania. Kaszy, krup i chleba było dosyć — herbaty, cukru i araku nie było do zbytku, ale jednak rano i wieczorem dostawał każdy z nas po szklance herbaty.

26-go wyruszyliśmy do Borysowa. W Łońnicy, na połowie drogi, była główna kwatera cesarza, która jednakże zaraz przeniosła się do Borysowa. Uciążliwy marsz odbyliśmy niezwykle prędko — była to prawdziwa rozkosz znaleźć się znowu wśród wojska będącego w porządku. — Pułkownik podczas pochodu przychodził kilkakrotnie do mego wozu i kazał sobie opowiadać o położeniu Borysowa — był on tego zdania, że cesarz będzie bądźco bądź próbował w tym miejscu przeprowadzić się przez rzekę. Nie przeczyłem temu, że możliwym byłoby zdobycie mostu, ale sądząc ze stanu, w jakim widziałem armię, uważałem to przedsięwzięcie za niewykonalne. Po przybyciu do Borysowa dywizja rozłożyła się biwakiem na południe od gościńca. Ponieważ było to niedaleko od naszego dawnego mieszkania, postanowiliśmy, jeżeli się uda, objąć je napowrót w posiadanie. Ale domek zastaliśmy pusty, zrabowany, z powyrywanymi oknami i drzwiami, które pewnie poszły na opał; naszego poczciwego gospodarza i jego

132

żony ani śladu — ale mimo to umieściliśmy się tam jak było można. Lecz już wieczorem otrzymaliśmy wiadomość, że nazajutrz o 10-tej mamy wyjść w dalszy pochód. Ale dokąd? Zapakowaliśmy się zaraz i przygotowaliśmy się na najgorsze. Na biwaku sprzedałem podpułkownikowi Regulskiemu moje piękne futro, które było za ciężkie, żeby w nim człowiek osłabiony mógł iść pieszo, wzamian za rosyjski kaftan i za trzy napoleondory w dodatku. Od żołnierza kupiłem dużą bawełnianą chustkę, którą owinąłem sobie kilka razy głowę i szyję, skrzyżowałem na piersiach i związałem z tyłu na węzeł. Żołnierze poowijali moje kule kawałkami kozucha — jednym słowem pokończyłem wcześniej wszystkie przygotowania i zabierałem się właśnie do snu, kiedy przyszedł rozkaz wymarszu. Jednocześnie zaczął padać gęsty śnieg, który przez całą noc nie ustawał. Przeszliśmy cicho przez Borysów i posuwając

się z biegiem Berezyny, doszliśmy po nieskończonych przystankach i niezliczonych przeszkodach do wsi, położonej niedaleko od rzeki. Na drugim brzegu widać było ognie nieprzyjacielskich biwaków. Odpoczywaliśmy tu w największej ciszy przez cztery godziny. Potem ruszyliśmy dalej — nowe przystanki, nowe przeszkody. Śniegu było na stopę; szczęściem powietrze zupełnie spokojne, bo gdyby nie to, pochód byłby niepodobieństwem. Kiedy zaczynało dnieć, zatrzymaliśmy się na skraju lasu na odpoczynek — przed nami widać było ognie biwaków, na lewo od nas toż samo. Nakoniec, kiedy już mogliśmy widzieć drogę przed sobą, zobaczyliśmy nędzną wioskę, składającą się z jakich może 25 chat, położoną na pochyłości pagórków, które wznosiły się amfiteatralnie — a na wzgórzach rozmaite korpusy armii. Zobaczyliśmy także most, przerzucony przez rzekę, a po drugiej jego stronie, przed nami, stojące wojsko. Było to dla nas radosną niespodzianką i usposobienie wszystkich zmieniło

133

się jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Bataliony ustawiły się w kolumny i znalazło się pod bronią 1,800 do 1,900 Indzi. Stały już nasze kolumny jakiś czas ustawione równolegle do wsi, zwanej Studzianką — kiedy nagle z jednego domu wyszedł cesarz, otoczony mnóstwem marszałków i generałów. Ubrany był w popielate futro, które lewą ręką w tył odrzucił tak, że dobrze było widać

jego błyszczące buty i białe spodnie. Na głowie miał jak zawsze kapelusik. Na twarzy jego nie było śladu żadnego wzruszenia, ani uczucia. Rozmawiał z jednym starym generałem (Eblé), który stał, trzymając z uszanowaniem kapelusz w rękę — obok niego był Murat, ubrany w popielatą futrzaną czapkę, ozdobioną kitą z czaplich piór, w krótkie aksamitne futerko, z szablą zawieszoną na t. zw. *Cordon d’Egypte*. Król zbliżył się do naszego pułkownika, którego polubił od czasu Tarutina, i rozmawiał z nim przez chwilę.

— *Que pensez-vous faire de vos blessés?* — zagadnął po kilku obojętnych zdaniach, wskazując na nas.

— *Ma foi!* — odrzekł pułkownik — *ils nous suivront autant qu’ils pourront.*

Rana, którą Murat otrzymał pod Abukirem w chwili, gdy wziął do niewoli Seraskiera, przecinająca mu szczękę, a zwykle niewidoczna, teraz zaczerwieniła się od zimna i wystąpiła bardzo wyraźnie. Pomyślałem sobie w tej chwili, jaką igraszką losu był ten Murat, w 1805 roku stojący na moście pod Wiedniem — a dziś w 1812 nad Berezyną!

— *Voilà*, — dodał pułkownik, wskazując na mnie — *le commandant, qui a si vaillamment conduit l'attaque à Winkowo — je ferai mon possible de le conduire avec moi.*

— *C'était un beau fait d'armes* — odparł król — *une attaque héroïque, je prendrai volontiers mon temps*

134

de m'en souvenir. En attendant, je lui accorde la décoration de l'ordre royal.

Orderu jednakże nie otrzymałem nigdy. Ale z tym odważnym, rycerskim królem gorzej jeszcze się skończyło, niż z moim orderem!

Berthier i Eugeniusz mieli na sobie futra, Ney ubrany był w lekki granatowy płaszcz, adiutanci i służbowi oficerowie po większej części tylko w szynele, albo lekkie płaszcze. Śnieg przestał padać i zapowiadał się dzień pogodny. Rankiem było może 2—3 stopnie mrozu, ale w południe zimno zaczęło się zwiększać. Na moście widziałem nieocenionego Duroca, na którego pamięci niema najłżejszej skazy, którego życie od chwili oblężenia Thionville, gdzie służył w wojsku księżcem, aż do Reichenbachu, gdzie poległ w 1813 roku, może służyć za wzór rycerskiego żywota; Ney, *figura quadrata, firmisque mémbris* z czerwoną, można powiedzieć z impertynenką twarzą i rudawym zarostem — Mortiera — *ipse inter primos praestante corpore* — szlachetnego Narbonna dziwacznie, po staroświecku uczesanego, i wielu jeszcze innych. *Gendarmes d'élite* w pełnym rynsztunku, schludnie umundurowani, ale na bardzo wychudzonych koniach, ustawili się wielkim kołem u wejścia do mostu, na który nie wpuszczali nikogo z bezbronnych. Wysiedliśmy znowu i mieliśmy dość czasu, żeby przyjrzeć się wszystkiemu w przerwach między batalionami. Mogła być dziesiąta, kiedy nasza dywizja otrzymała rozkaz wejścia na most. Kiedyśmy się gotowali ruszyć na wozach za kolumną, rozległo się wołanie.

— *Les voitures ne passent pas!*

Zadziwiliśmy się bardzo, zsiadli z wozu i poszli za pułkiem, pozostawiając nasze myszate konie, które nas przywiozły ze Smoleńska i wóz. Dostęp do mostu mieli tak samo pod swoją strażą *gendarmes d'élite*. Rozległo się znowu:

— *Il ny'a que les combattants qui passent!*

135

Zostaliśmy odepchnięci. Ale tym razem stawiliśmy opór.

— *Confondre les blessés avec les traînants est une infamie!* — odpowiedzieliśmy żandarmom. — *Mieux vaudrait-il de nous brûler la cervelle!*

Ale żandarmi upierali się przy swoim, dowodząc, że taki mają rozkaz. Oficer artylerii położył koniec sprzeczce i nakazał nas wypuścić na most *comme appartenant au régiment, qui venait de passer.*

Most ten pod względem budowy i wytrzymałości nie znalazłby pewnie łaski w oczach znawców, a jednak ustawienie go zakrawało na cud. Rzeka w tym miejscu ma szerokości 150 — 160 kroków i płynie dość bystro po błotnistym łożysku. W najgłębszych miejscach musi mieć 8 — 10 stóp, ale dno jest bagniste, co można poznać po kolorze wody. Płynęła wtedy na wodzie silna kra i zdarzały się tafle wielkości 10—15 stóp kwadratowych. Przy tem mróz był coraz większy, jak już wspominałem. Powierzchnia mostu nie była równa, pojedyncze belki obsuwały się coraz niżej, mianowicie od strony przeciwnego brzegu; część mostu była tam pod wodą, która sięgała do kostek.

Miejsce to było jakby stworzone do energicznej i uporczywej obrony. I tylko uprzedzeniem admirała Czyczagowa, który był przekonany, że Napoleon będzie chciał przejść przez rzekę poniżej Borysowa, można wytłumaczyć to, że ten punkt pozostawił nieobsadzony od strony północnej. Od 24-go listopada po południu byli już w Studziance Francuzi i rozpoczęli swoje przygotowania.

25-go roboty przybrały takie rozmiary, że nie dały się dłużej zachować w tajemnicy, nad brzegiem porozstawiały się oddziały jazdy, które niepokoiły rosyjskie posterunki. Potem przepawiło się trochę wołyżerów, siedzących *en croupe* za jeźdźcami i odepchnęli rosyjskie posterunki jeszcze dalej. Cała dywizja jazdy, wprawdzie licząca zaledwie 700 koni,

136

przepłynęła wpraw przez rzekę, poczem Rosyanie zostali wyparci zupełnie ze swoich stanowisk. 26-go rankiem ustawiony został pierwszy most (zbudowano później i drugi w odległości 300 kroków od pierwszego), a około 1-ej w południe przeszły przez niego pierwsze wojska drugiego korpusu, pod dowództwem generałów Oudinota i Dąbrowskiego. Trzymały się one jeszcze zupełnie dobrze, ale były mocno przerzedzone. Nazajutrz przeszły za nimi inne oddziały. Cesarz, czuwający nad budową mostu i przeprowadzą wojska, 27-go przeniósł główną kwaterę do Zanioki, po za wojskami stojącymi w tem miejscu. Nasza dywizja stanęła w lasku niedaleko mostu. Była tam doskonale umieszczona. Ku wieczorowi otrzymała rozkaz pójścia za korpusem Oudinota. Ale bagaże, rannych i t. d. polecono pozostawić na miejscu do dalszych rozkazów. Było nam to naturalnie bardzo dogodne i zaraz wyprawiliśmy

ludzi dla zbadania, czy nie dałoby się dojść do naszych bagażów i sprowadzić je tutaj. W dzień niemożna było myśleć o tem. Ale w nocy udało się naszym ludziom dotrzeć tam bez przeszkody, przejście przez most było wolne i tylko niekiedy przechodzili tamtędy pojedynczy żołnierze. Lecz za mostem wozy były tak ściśnięte, ludzie tak natłoczeni, że niepodobna było myśleć o rozplątaniu tego węzła. Oficer, pozostawiony przy wozach kazał nam powiedzieć, że zaczeka jeszcze parę godzin, a jeżeli się przekona, że niepodobna przedrzeć się dalej, postara się uratować co można, a wozy porzuci, co też uczynił następnego rana.

Wieczorem 27-go przeprowadził się przez most korpus Davousta i Polacy. Stan, w jakim byli, natchnął nas otuchą. I gdyby nie to, że mieliśmy wyraźny rozkaz nie opuszczać wskazanego nam miejsca, byłibyśmy przyłączyli się do nich, tem chętniej, że długi czas byliśmy w stosunkach z obu temi korpusem.

137

Późnym wieczorem i w nocy dochodził do nas z drugiego brzegu huk strzałów armatnich. Był to odgłos bitwy, która rozstrzygnęła o losach dywizji Parthouneaux'a.

Noc upłynęła znośnie, bo las, w którym nocowaliśmy, dostarczył nam opału. Z obozu stojącego, o ile pamiętam, w okolicach Bryłowa, mieliśmy ciągle wiadomości.

Rankiem rozległo się głuche trzaskanie. Wnet zaczęli nadsyłać ranni od tamtej strony; mówili, że się biją, że Rosyanie zaatakowali naszych gwałtownie, ale o samej bitwie mało było wiadomości. Od czasu do czasu wiatr przynosił odgłosy strzałów,

które podobniejsze były do padania drzew w lesie. Byliśmy niespokojni do najwyższego stopnia i długi czas nie mieliśmy żadnych wieści. Potem nadeszła wiadomość, że Oudinot raniony i że Ney objął po nim dowództwo. Mówiono, że sam przeprowadził naszą

dywizję *en grande tenue* przed cesarzem, który wyraził swoje zadowolenie z powodu jej pięknej postawy. Niezadługo potem zaczęli pojawiać się pojedynczo ranni, coraz liczniejsi. Zaczęły też napływać wiadomości o mnóstwie rannych i poległych oficerów. Kapitanowi grenadierów, Rechowiczowi, kula przeszła obie nogi, kapitan Dobrzycki miał także obie nogi zgruchotane. Kapitanowie Lichnowski i Razowski polegli, porucznik Starowski śmiertelnie raniony.

Wkrótce potem powrócił generał Claparède i podpułkownik Regulski, choć lekko tylko ranny. Odgłos bitwy dochodził jeszcze chwilami. Nakoniec, już pod wieczór doszła wiadomość, że atak konnicy rozstrzygnął bitwę i że wzięliśmy kilka tysięcy jeńców. Wszędzie zapanowała radość i zachwył.

Na drugim brzegu toczono bitwę z równym mężstwem, ale pomimo, że marszałek Victor na czele trzech słabych dywizyj holenderskich i polskich wojsk nie postradał ani piędzi gruntu i zwycięstwo

138

pozostało przy nim, jednakże smutne następstwa ogólnego położenia były nieuniknione. Jak już wspomniałem, wozy naszej dywizji pozostały na drugim brzegu.

Zaczynało się już ściemniać, kiedy otrzymaliśmy rozkaz pochodu do Ziembina, dokąd już poszedł korpus Davousta. Kiedy po krótkim marszu przybyliśmy nad Dźwinę, szeroką, błotnistą, wolną od kry rzekę, nie mogliśmy wyjść ze zdziwienia, że nieprzyjaciel

nie zniszczył mostu, bo w takim razie nie byłoby już można myśleć o ratunku. Następnie skierowaliśmy się na obrzydliwą, wąską i złą, boczną drogę, na której wznosiły się nieskończenie długie groble z faszyny i przepływała strumienie, przez które dzięki mrozowi można było przejść choć z trudnością; coraz trudniej było zrozumieć, że Rosyane nie skorzystali z tak dogodnej miejscowości, żeby zgotować zgubę armii francuskiej. Jak przypuszczam wpłynęło na to przekonanie, że i bez tego rzeczy dojdą do właściwego punktu, skutkiem czego zaniechano postanowionych zrazu środków ostrożności i że uszanowanie dla cesarza, żywione przez wielu Rosyan, wstrzymało ich od zadania mu tego ostatecznego ciosu.

Późno już doszliśmy do Ziembina, gdzie zastaliśmy mnóstwo ognisk biwakowych; zimno było, bardzo zimno. W wielu miejscach przy ogniskach leżeli umarli. Po krótkim wypoczynku, który nas jednak bardzo pokrzepił, wyruszyliśmy dalej, bo rozległo się znowu:

— Idą maruderzy! — Naprzód co żywo, bo zginiemy!

Nasza mała kolumna trzymała się razem, ale przy każdym przystanku było coraz mniej ludzi. Przed świtem mróz się powiększył, w ciemnościach spotkaliśmy szereg pustych wózków od amunicji, na których wieziono rannych. Z niektórych wózków rozlegały się rozdzierające serce błagania rannych, żeby ich dobić.

139

Szliśmy tak dalej wśród widoku tej boleści. Co chwila spotykaliśmy umarłych i konających, oficerów i żołnierzy, którzy wyczerpani z sił, siedzieli przy drodze, oczekując śmierci. Słońce wschodziło krwawo, mróz był niesłychany. Pod jakąś wioską, przy której płonęły biwakowe ognie, zatrzymaliśmy się dla wypoczynku. Zastaliśmy tam żywych i umarłych razem zebranych. Pomieściliśmy się jak się dało między żywymi, dziedzicząc miejsca po tych, którzy, pogrążeni w drzemce, odchodzili z tego świata.

Zabrałem jakiś garnek, oczyściłem z tego, co w nim było, napełniłem śniegiem, który rozpuściłem przy ogniu i wrzuciwszy do wody skórki chleba, jakie miałem w kieszeni, ugotowałem wodziankę, która smakowała nam doskonale. Kiedy tak wypoczywaliśmy, gromadząc wkoło siebie towarzyszków niedoli, zaczęli nadchodzić żołnierze z naszej dywizji. Powiedzieli nam, że cała dywizja rozproszona, że pułkownik Kąsinowski zabity, dowódcy batalionów Mierosławski, Szyc, wszyscy prawie oficerowie polegli lub ranni i że sformowano tylko drobne, pojedyncze oddziały dla eskortowania pułkowych sztandarów. Można sobie wystawić, jak nas wzruszyły te wiadomości. Po kilkogodzinnym odpoczynku, spędzonym na najposępniejszych rozmyślaniach, wyszliśmy dalej i w trzydzieści sześć godzin od wyruszenia doszliśmy do Pleszenic. Przebyliśmy tym sposobem w ciągu trzydziestu godzin trzydzieści kilka wiorst, to jest około pięciu mil. Zastaliśmy tam na folwarku zdrowych, rannych i umarłych, leżących razem i tworzących jedną pstrą masę. Musieliśmy się zadowolnić miejscem przed zabudowaniami, gdzie wielki ogień wynagrodził nam brak dachu nad głową. Dowiedzieliśmy się, że Rosyane napadli na marszałka Oudinota, który raniony nad Berezyną, przenocował tu z eskortą 50 ludzi, że go obiegli i dopiero nadejście wojsk Davousta ciągnących tym gościńcem, uwolniło go od nieprzyjaciela. Ale bitwa

140

trwała kilka godzin i sam ranny marszałek zmuszony był posługiwać się pistoletami. Na drzwiach i oknach pełno było śladów kul.

Postanowiliśmy tu pozostać część nocy i urządziliśmy się, jak można było najlepiej. Jedni żołnierze smażyli kawałki końskiego mięsa, inni piekli cienkie placki z owsianej mąki przyniesionej z miasteczka, a my usiłowaliśmy zasnąć.

Ale przerażające obrazy, jakie mieliśmy przed oczyma, tak silnie nas wzburzyły, że sen od nas uciekał. Widziałem żołnierzy, którzy podczas snu nie odpinali tornistrów i siedząc na kłocach drzewa usiłowali wypocząć.

Około 1-ej w nocy wyszliśmy podczas silnego mrozu, kierując się w stronę Mołodeczna. Szliśmy za blaskiem ognisk biwakowych, które zastawaliśmy pod każdym lasem, przy każdej wiosce. Trupy ludzkie i końskie leżące wszędzie, znaczyły nam drogę, którą oświetlały gwiazdy na wyiskrzonym niebie. Nasza kolumna topniała. Nawet oficerowie opuszczali szeregi, a nikt na to nie zwracał uwagi i nikt nie wiedział gdzie pozostali. Mróz był coraz większy. Niekiedy zatrzymywaliśmy się przy ogniach biwaków, ale było to tak, jakbyśmy się znajdowali pośród umarłych, nikt się nie ruszał, czasem podniósł któryś z nieszczęśliwych głowę, popatrzył na nas szklistymi oczyma i kładł się napowrót, żeby już nie podnieść się nigdy. Co szczególnie dokuczliwym czyniło pochod owej nocy, to silny, mroźny wiatr, wiejący nam prosto w oczy. Około 8-ej rano zobaczyliśmy wieżę kościelną.

— Mołodeczno! — zawołali wszyscy chórem.

Ale można sobie wystawić nasze zadziwienie, gdy przybywszy tam dowiedzieliśmy się, że to dopiero Ilia i że nie przeszliśmy jeszcze nawet połowy drogi. W miasteczku zastaliśmy trochę mieszkańców, idące przed nami wojsko zdołało się tam jako tako pomieścić. Umieściliśmy się także w odosobnionym

141

domu, dzięki czemu byliśmy zabezpieczeni na pewien czas od mrozu, który powiększał się z każdą chwilą. Zajęliśmy cały budynek i ulokowaliśmy się w nim według możliwości. Nasi poprzednicy postarali się o ogrzanie pokoi i o nagromadzenie wspaniałej słomy. Ale mimo to nikt nie mógł zasnąć, wszyscy byli w stanie gorączkowego podniecenia. Wynikało to z niewyraźnego uczucia, że kto raz zaśnie, już się nie obudzi, czego tysiączne przykłady mieliśmy ciągle przed oczyma. Ale im dłużej trwał nasz pobyt, tem lepiej nam było; postanowiliśmy przepędzić tam cały dzień i czekać na nowiny. Zupa z gryczanej kaszy, garnek gotowanego zboża, wszystko bez soli, i kilka plasterów końskiego mięsa upieczonego na węglach, stanowiły cały nasz posiłek, który mimo to smakował nam bardzo. Najważniejszym dla nas było to, żeby wysuszyć dokładnie chustki, które mieliśmy pookręcane szyje, głowy i nogi, szczególnie potrzebowała tego wielka chustka, którą kupiłem w Borysowie i owinałem nią głowę w ten sposób, że z tyłu sięgała do połowy kaszkietu, a z przodu osłaniała całą twarz, z wyjątkiem oczu. Przejęta wilgocią skutkiem ciągłego parowania, była teraz tak zmarznięta i sztywna, że niemało trudu kosztowało przyprowadzenie jej do porządku. Ran nie opatrywaliśmy wcale. Tylko wysuszyliśmy bandaże i okłady. Jeden żołnierz zdobył kawał skóry i przyniósł mi ją do owinięcia rannej nogi. Tak minął wieczór, północ i było już koło pierwszej, wszyscy przespali się mniej lub więcej. Kiedy przyszła, chwila wymarszu, niektórzy żołnierze nie chcieli się wcale podnieść. Mianowicie jeden wołyżer z dawnej mojej kompanii, doskonały żołnierz i bardzo do mnie przywiązany, nie chciał słuchać o dalszym pochodzie.

— Ach! kapitanie! — odpowiedział na moje namowy — pozwólcie mi tu umrzeć. Wszyscy

142

jesteśmy skazani na śmierć, a czy parę dni prędzej, czy później, nic to już nie stanowi.

Człowiek ten nie był ciężko ranny, otrzymał tylko postrzał w przedramię, więc był to jedynie objaw apatii, która go nagle ogarnęła. Żadne namowy, żadne prośby, nie zdołały go poruszyć z miejsca, nakłonić do pójścia z nami: pozostał i zapewne tam umarł.

Nakoniec zatrzymaliśmy się w jakiejś wsi przy wygasłym ognisku. Czekaliśmy godzinę, czekaliśmy drugą, ale opóźnieni nie nadeszli. Musieliśmy wreszcie odejść. Rzeczka niezamarznięta, pomimo niesłuchanego mrozu wystąpiła na drogę, co utrudniało nam pochód. Po długiej wędrówce ujrzelśmy nakoniec Mołodeczno. Mieliśmy nadzieję, że łatwiej nam będzie iść gościńcem, który się tu zaczynał. I tak było rzeczywiście, chociaż głównym powodem naszych cierpień był mróz coraz wzrastający. W miasteczku zastaliśmy pewien porządek i dużo uzbrojonych, z dobrą miną żołnierzy. Domy nie były zupełnie opustoszone, ani tak niesłuchanie zatłoczone, jak w innych miejscowościach.

Umieściliśmy się w kilku domach przy gościńcu do Smorgoń i mogliśmy się cieszyć z tego wyboru. Ludzie wysłani po chleb przyprowadzili żołnierza, z Darmstadtu rodem, który nam sprzedał chleb wprawdzie duży, ale za niesłychaną cenę dwóch napoleondorów. Kiedy zrobiłem mu uwagę, że to żydowska cena, mężny rycerz rozgniewał się bardzo i mieliśmy dużo trudu, zanim zdołaliśmy go ułagodzić. Ale co zrobić z tym chlebem? Dla wszystkich nie mogło go wystarczyć, a ci co za niego zapłacili, nie chcieli go zjeść sami. Postanowiliśmy więc zrobić z niego supę; nie wiem już z kąd wzięła się słonina i sól, z czego ugotowaliśmy supę, która wszystkim bardzo smakowała i wystarczyła dla całej naszej kolumny. Zaczęło przybywać ludzi z naszej dywizji i od nich dowiedzieliśmy się

143

o jej położeniu od czasu bitwy nad Berezyną. Żołnierze opowiadali, że losy bitwy ważyły się długo, aż wreszcie udało się naszym odepchnąć nieprzyjaciela i przedrzeć się przez las przez niego zajęty, ale potem Rosyanie powrócili w większej sile i wyparli naszych, którzy ustąpili w nieładzie. Walczyli jednak i przyszło już do ręcznych zapasów, kiedy niespodziewanie nadciągnęli francuscy kirasyerzy i wpadli na walczących; w tem zamieszaniu zarabali dużo naszych, między innymi pułkownika Kąsinowskiego, który miał na sobie zielone futro; potem znowu nasi ścigali nieprzyjaciela, bitwa trwała do samego wieczora i dopiero wtedy stopniowo przygasła. Potem zamyślano o odwrocie, ludzie zbierali się kupkami, ale że większa część oficerów poległa, lub otrzymała rany, i żołnierze zostali bez dowództwa, więc poszli do gwardyi, gdzie się jeszcze raz zebrałi, ale była ich zaledwie garstka. A że nie dano im żywności i nikt się o nich nie zatroszczył, więc chcąc uniknąć zguby, musieli się ratować każdy z osobna.

Opuściliśmy nazajutrz wczesnym rankiem Mołodeczno, własność księcia Ogińskiego, z zamkiem, który później wslawił się ośmnastogodzinnym pobytom Napoleona i datowanym ztąd biuletynem, i poszliśmy drogą do Smorgoń. Chcąc opisać ten pochód, trzeba by powtarzać sceny z dni poprzednich.

Odpoczywaliśmy, gdyśmy się czuli zmęczeni, biwakowaliśmy, gdy nie było można znaleźć schronienia, a żywiliśmy się kaszą, gotowaniem zbożem i mięsem końskim. W drodze zaskoczyła nas zamięć śnieżna, przechodząca wszelkie pojęcie; szczęściem trwała tylko kilka godzin, ale niemniej nasza mała kolumna poszła przez to w rozsypkę. Przypominam sobie jeden biwak owego dnia, który dziś jeszcze przejmuję mnie zgrozą. W pobliżu wsi, gdzie pełno było ludzi, spostrzegliśmy kilka ogni, które jeszcze dobrze się paliły, a przy nich leżeli tylko

144

umarli. Byliśmy bardzo zmęczeni, późno było i postanowiliśmy zatrzymać się tu dla wytchnienia. Pousuwaliśmy na bok ciała umarłych, żywi zajęli ich miejsca i urządziliśmy się tam, jak się dało. Od wiatru zasłaniał nas, jak się zdawało, wysoki parkan, na którym nagromadziło się dużo śniegu. Wielu przechodzących mimo, zazdrościło nam tak dobrego miejsca, inni zatrzymywali się na chwilę, albo starali się pomieścić przy nas. Zmęczenie stopniowo brało górę; jedni drzemali, inni siedzieli pogrążeni w myślach; silniejsi ściągali drzewo dla podtrzymania ognia. A tymczasem śnieg ciągle padał i kiedy się ogrzało jedną stronę, trzeba było ogrzewać drugą; ogrzała się jedna noga, to szczęśliwiec, któremu się to udało, wysuwał do ognia drugą; o spokoju i wypoczynku nie mogło być mowy. Nareszcie nadszedł dzień i zaczęliśmy się przygotowywać do pochodu. Ale w naszym małym

hufcu brak było 13 ludzi, samych ranionych! Myślałem, że serce pęknie mi z żalu. Musieliśmy iść tuż około owego parkanu, który nas w nocy osłaniał od wiatru.

Można sobie wyobrazić nasze zdumienie, kiedy zobaczyliśmy, że ów mniemany parkan był stosem leżących jeden na drugim trupów tych, którzy nas poprzedzili na tym biwaku, i wydawał się tylko wałem śnieżnym. Byli tam żołnierze wszystkich krajów: Francuzi, Szwajcarzy, Włosi, Polacy, Niemcy z różnych prowincyj — wszystkich łatwo było rozpoznać po mundurach. Większa część leżała z rozkrzyżowanymi rękami, jak ludzie, którzy się chcą wyciągnąć i nawet po śmierci leżą z rozłożonymi rękami.

— Niech pan spojrzy, panie kapitanie — powiedział mi jeden z żołnierzy — jak oni wyciągają do nas ręce! No, nie bójcie się, przyjdziemy do was niezadługo!

Straszny ten obraz długo mnie ścigał i stawał

145

mi przed oczyma okropniejszy od najkrwawszych pobojuwisk, gdzie wre namiętność i gdzie przynajmniej nikt nie pada bezbronną ofiarą srogiego losu.

Wkrótce potem spotkaliśmy inny widok, jeszcze bardziej przerażający. We wsi, w której domy po większej części spłonęły, a w gruzach widać było pojedyncze, napół spalone zwłoki ludzkie, stał na samym końcu obszerny budynek. I ten także zgorzał, a leżała w nim niesłychana ciżba trupów i ciał spalonych, istne zbiorowisko czaszek ludzkich; odór spalenizny zatruwał powietrze na znacznej przestrzeni. Stanęły mi, jak żywe przed oczami Saragossa i cegielnia w Smoleńsku. Nie widziałem nigdy nic okropniejszego!

XLII.

Wejście do Smorgoń. — Pochód przez Oszmianę i Miedniki. — Przybycie do Wilna. — Spotkanie z dowódcą pułku i niedobitkami legii. — Wyjazd z Wilna. — Odłączony od wojska zostaje na drodze z kolegą. — Ratuje nas żołnierz z naszego pułku i dowozi do naszych. — Pochód przez Rumszyski i Kowno. — Podróż do Torunia. — Uwagi na zakończenie.

W tym samym dniu, kiedy zbliżaliśmy się do Smorgoń, byłem świadkiem sceny, której nigdy nie mogłem zrozumieć. Na miłą może przed tem miasteczkiem zobaczyliśmy jadący bardzo szybko wśród mnóstwa wozów powozik z zaimprovizowanym fordeklem. Przed nim jechał konno jakiś człowiek w zielonym surducie, z uszami owiązanymi chustką, ale po zatem niczem niezabezpieczony od niesłychanego mrozu. Nie wiem, co się stało, ale zobaczyłem, że jeździec ów wydobył szpadę i przebił nią człowieka stojącego na drodze, który zatoczył się i upadł. Potem powozik pojechał dalej.

146

Mówiono później, że powozikiem jechał cesarz, a ten jeździec był jego oficerem służbowym; przypuszczać można, że żołnierz otrzymał karę za jakieś okrzyki obelżywe.

O samym zachodzie przybyliśmy do Smorgoń i skierowali się zaraz w stronę gościńca do Oszmiany, gdzie umieściliśmy się bardzo dobrze. Było to pierwsze miejsce, gdzie można było dostać cokolwiek za pieniądze. Zastaliśmy tam także wojsko, będące w zupełnym porządku. Kupiliśmy chleba po cenie nienazbyt wygórowanej, ryżu i trochę kaszy od starej Żydówki, która z wyraźnym bólem serca rozstawała się z towarem. Pierwszy raz od wielu miesięcy piłem kawę i pokrzepiła mnie dobrze, pomimo, że nie było do niej ani cukru, ani mleka. Nasz gospodarz był niedźwiednikiem, którego rzemiosłem było uczenie niedźwiedzi, rozsyłanych ztąd na wszystkie strony świata. Już Wolter powiedział, że w Polsce są tylko dwa uniwersytety: w jednym uczą się młodzi księża w drugim — niedźwiedzie; mianowicie Kraków i Smorgonie, i do dziś jeszcze w Polsce mówią o młodym człowieku z brutalnym obejściem, że musiał się wychowywać w Smorgoniach. W obszernej izbie robią okrągłe zagrodzenie, o ścianach zbyt wysokich, ażeby niedźwiedź mógł przez nie wyjść, a za grubych, żeby je zdołał zburzyć. Podłoga jest urządzona w ten sposób, że ją można rozgrzać. Wtedy wprowadzają tam młodego niedźwiedzia w drewnianych sandałach na tylnych łapach i naturalnie rozpalona podłoga parzy mu podeszwy u przednich łap: niedźwiedź wtedy podnosi się w górę i usiłuje oprzeć o ścianę przednimi łapami, ale odpędzają go biciem. I robią to dopóty, aż biedne zwierzę nauczy się stać prosto na dwóch łapach chodzić i wykonywać inne sztuki na rozkaz. Chwilami niedźwiedź traci cierpliwość i przypuszcza wściekły atak do „katedry” nauczyciela, ale przyjmują go tam kijem i doprowadzają

147

do rozsądku. Jak tylko niedźwiedź nauczy się stać i chodzić, przeciągają mu kółko przez nozdrza, jako przygotowanie do kursu wyższego, to jest do nauki tańca przy odgłosie bębna i piszczałki, a po skończonej edukacji zwierzę wyrusza w podróż po Europie w towarzystwie jednego z nauczycieli. Dziwna rzecz, jak znacznej liczby niedźwiedzi dostarczały w owych czasach lasy litewskie.

Z jednej strony młodość, z drugiej lekkomyślność dopomogły nam do zapomnienia o cierpieniach przebytych. Najbardziej też pożałowania godni byli ci nieszczęśliwi, którzy ranieni pozostali na polach litewskich.

Późnym wieczorem Żyd jakiś przyniósł nam wiadomość, że widział cesarza. Od czasu przejścia Berezyny nie słyszeliśmy nic o nim — osiem krótkich dni — które jednak wywarły decydujący wpływ na życie tego, kto jeszcze niedawno panował i rozkazywał od Madrytu do Moskwy. Usłyszawszy od jednego z żołnierzy, że Napoleon jest w Smorgoniach, postanowiliśmy zatrzymać się tam na noc i wypocząć gruntownie, żeby mózgi następnego dnia przebyć drogę do Oszmiany. Ale wyszliśmy później, niż mieliśmy zamiar, pochód szedł wolniej, na drodze spotykaliśmy więcej umarłych, a szczególnie zmarzniętych, którzy porzucili broń, młodych ludzi, dobrze odzianych, z których zdarto płaszcze, buty i tornistry.

W końcu rozeszły się fałszywe wieści, że kozacy są przed nami, skutkiem tego ciągle były przystanki i opóźnienia — jednym słowem uszliśmy zaledwie połowę drogi i wreszcie postanowiliśmy biwakować przy opuszczonym ogniu. Noc, którąśmy tam przepędzili, była straszna. Noga mi spuchła; pod pachami czułem klócie i palenie, które mi utrudniało chodzenie o kulach. Ale dzięki temu, że dostałem miejsce po niedawno zagasłym ogniu i nie potrzebowałem leżeć w śniegu, jako też i temu, że żołnierze przez całą noc podsycali duży ogień, wypoczynek

oddziałął na ranie tak dobroczynnie, że nazajutrz ruszyłem w pochód, pokrzepiony na siłach i odwadze. Około jedenastej doszliśmy do Oszmiany razem z falą uciekających. Przed samym miastem spotkaliśmy transport żywności, który prowadził młody oficer meklemburski. Dowiedziałem się w wiele lat potem, że był to porucznik von Rudlof, który umarł jako generał pruski. Próbował on

z początku bronić swoich sani, ale napróżno. Tłum naciskał go coraz bardziej; wkrótce został tak ściśle obsadzony, że ani on, ani jego ludzie nie mogli się poruszać, a wtedy wszyscy rzucili się na worki, napełnione pięknymi sucharami. Ja sam zebrałem z ziemi ze śniegu kilka garści sucharów i mogę śmiało powiedzieć, że dzięki temu zdołałem podtrzymać nasze życie do Wilna. Po przybyciu do Oszmiany zachowaliśmy zwyczajną taktykę i przeszedłszy przez miasto, dotarliśmy do drogi do Miednik, ale tym razem z mniejszym powodzeniem. Miasto całe zajęte było przez wojskowych. Przytem wszędzie gnieździli się maruderzy. Wreszcie z wielką trudnością i umęczeniem zdołaliśmy się umieścić w jakiejś ogrodowej altanie, bez komina, w której było równie mroźno, jak na dworze. Żołnierze rozpalili wielki ogień. Na nawozie przytrząśniętym słomą, urządziliśmy legowisko dla 20 ludzi. Od żołnierzy w Oszmianie można było kupić chleba, nawet niezbyt drogo, suchary mieliśmy, więc przyrzadziliśmy sobie znośny posiłek.

Gdyśmy przechodzili przez Dźwinę, było nas około 50 — liczba ta podniosła się następnie do 70 — a potem stopniowo malała i spadła do 29 — choć trudno byłoby wytłumaczyć, dlaczego ludzie zostawali po drodze.

Następnego rana wyszliśmy bardzo wcześnie. Zimno było przeraźliwe. Musieliśmy zatrzymać się dla wypoczynku przy biwaku, na połowie drogi. Cały gościniec pokryty był ciałami zmarzniętych.

Ludzie wśród pochodu zaczęli się chwiać, potem zataczać jak pijani, dopóki nie padli na ziemię — a gdy padli, byli już zgubieni bez ratunku. Najprzykrzejszy był widok nóg, u których często ciało z palców odpadało skutkiem odmrożenia, a tym, co padali, przechodzący ściągali buty, nie czekając nawet na ostygnięcie ciała. To samo robili z płaszczami, których po dwa i po trzy kładli na siebie, lub też darli na kawały i owijali niemi głowy i nogi. Dziwne było to, że pomimo tak długiego pochodu i trwałego mrozu, większa część ludzi nie nauczyła się ochraniać skutecznie od zimna, nawet wtedy, kiedy były pod ręką odpowiednie środki. Każdy wieśniak potrafiłby lepiej sobie poradzić. Żołnierze, zamiast osłaniać szyje, twarze i uszy, owijali nogi masą gałganów i chustek, co naturalnie utrudniało chód; często wiązali chustki na piersiach, tam, gdzie najmniej były potrzebne, zamiast chronić nosy i uszy przed odmrożeniem. Równie niepraktycznie zachowywali się na biwakach. Nic zatem dziwnego, że padali tłumnie ofiarą mrozu, gdy inni ubrani nie cieplej i nie lepiej żywieni, unieśli jednak całą skórę.

Późno już dowleliśmy się do Miednik. Miasteczko pełne było włóczęgów. Musieliśmy się zdecydować na biwak i rozłożyliśmy nasze obozowisko w jakimś ogrodzie, gdzie budynki stanowiły pewną osłonę od wiatru niezbyt silnego. Na szczęście, nieuszkodzone płoty, na które rzuciliśmy się jako na łakomą zdobycz, dostarczyły nam obfitego opału — z masy suchych igieł sosnowych i zeschniętych liści można było zrobić wygodne posłanie, a radość nasza dosięgła szczytu, kiedy żołnierze przynieśli kilka

peków słomy. Jedenastu naszych zdrowych i sprawnych ludzi urządziło wszystko doskonale — garnki wnet zaczęły się gotować i zanim minęła godzina, siedzieliśmy już nad wodzianką, zrobioną z sucharów zabranych w Oszmianie.

Budziło w nas tylko trwogę niesłychane zimno; — później dowiedzieliśmy się, że było wtedy 30 stopni mrozu. Ale ogień palił się jasno, drzewa było podostatkiem, więc na razie pozostawała nam tylko troska o dzień następny. Na gościńcu rozlegała się wrzawa; uzbrojeni i bezbronni — wszyscy razem byli zmieszani. Siedzieliśmy pogrążeni w myślach i w bólu; z trudnością znośłem moje cierpienia. Garczyński toż samo, a Zieliński od Smorgoń nie wyrzekł ani jednego słowa; nadmiar złego, zabrakło mu tytoniu,

a to gnębiło go więcej, niż bóle fizyczne. Kupść, przygębiony troską i cierpieniem, był w stanie silnego rozgorączkowania; reszta rannych nielepiej się miała. Wśród tych smutnych rozmyślań zasnęło w końcu kilku z nas — zdrowi zmieniali się kolejno, czuwając nad naszą małą garstką, w której się zgromadziło tyle cierpień. Pod gołem niebem, przy mrozie trzydziestostopniowym, bez dostatecznego odzienia, dręczeni przez robactwo, wystawieni każdej chwili na napaść nieprzyjaciela, otoczeni rozbójniczą tłuszcą, bezbronni, ranni, zaledwie zdolni wlec się dalej — była to istotnie chwila ciężkiej próby!

— Jeszcze ośm godzin drogi do Wilna — odezwałem się do Zielińskiego. Czy będziemy w stanie dojść?

Poruszył głową z powątpiewaniem. Jedna z najmężniejszych i najsilniejszych podpór naszego małego oddziału, sierżant 2-ej kompanii wołyżerów, Wasilenko, człowiek bardzo silny, poszedł do miasta już późnym wieczorem i przyniósł jeszcze wódki i kilka miarek kartofli.

— Gdyby ludzie nie byli potracili głowy — mówił on — mogliby jeszcze coś dostać — wszystkie doły z kartoflami dotąd nietknięte — ale z Francuzami nikt już nie dojdzie ładu. Już oni nie ci, co dawniej — jedna czapka kozacka sprowadza popłoch; prawdziwa hańba! Nawet sam pan cesarz umknął!

Zapytałem go, co to ma znaczyć.

— No! tak — odpowiedział. — Cesarz uciekł razem z marszałkami, a nas tu zostawił na zgubę.

— Ale z kądże to wiesz? Jak możesz mówić takie rzeczy?

— Panie kapitanie! — odparł. — Wszyscy Francuzi w mieście o tem mówią i wymyślają na niego.

Pocieszyłem się myślą, że cesarz zapewne wyprzedził nas tylko do Wilna dla wydania niezbędnych rozporządzeń.

— Broń Boże! — zawołał Wasilenko. — Cesarz oddał dowództwo Muratowi.

Nie chciałem temu wierzyć i koledzy podzielali moje niedowierzanie. W ciągu nocy słyszeliśmy gęste strzały i wielkie krzyki, a rankiem dowiedzieliśmy się, że to był napad kozaków, którzy na naszych tyłach dogonili silną kolumnę maruderów i częścią ją znieśli, częścią zabrali do niewoli.

Niesłychany mróz przeszkadzał nam do wypoczynku. Na długi czas przed świtem byliśmy już na nogach. Ranek był smutny, jak codzień. Cała okolica, lasy, domy, pola, pokryte były śniegiem, którego białosc oślepiła oczy. Słońce świeciło jak ognista kula, ale nie grzało wcale. Igiełki lodowe wirowały w powietrzu, iskrząc się na kształt brylantów i kłójąc boleśnie w oczy.

Z początku nie mogłem iść — ból pod pachami był zbyt dotkliwy. Czułem, że tam muszą być rany. Dużo już ludzi było w ruchu, bo wszystkim było pilno dojść do miejsca, mającego rzekomo zakończyć nasze cierpienia. Zdawało się, że ludzie biegną na wyścigi, bo niesłychane zimno zagnało do spieszego chodu.

Zmarzniętych wśród drogi było jeszcze więcej, niż dni poprzednich. Ale mijaliśmy tych nieszczęśliwych bez żadnego błysku współczucia, jak gdyby w naszych sercach wygasło wszelkie ludzkie uczucie. Niekiedy słychać było tylko te słowa:

— Nieszczęśliwy! Ach! jakbym chciał być na twojem miejscu!

152

Pochód nasz posuwał się cicho, w milczeniu; nikt nic nie mówił — przerywały tylko chwilami ciszę jęki i skargi umierających.

Było może koło dziewiątej, kiedyśmy doszli do połowy drogi. Na odpoczynek poświęciliśmy czas ściśle wymierzony i poszliśmy rażno dalej. Była może trzecia, kiedyśmy zbliżyli się do Wilna. Byliśmy od dziesięciu godzin w pochodzie i wyczerpani

do ostateczności. Mróz był nie do zniesienia. Dowiedziałem się później, że było 29 stopni. Ale któż zdoła wyrazić nasze zdumienie, kiedy pod miastem uzbrojeni żołnierze zabronili nam wejść, bo wolno było wpuszczać tylko wojsko, idące w porządnym szyku. Skutkiem nadużyć popełnionych w Smoleńsku i w Orszy, chciano w ten sposób ocalić od rabunku magazyny. Cały pochód zatrzymał się przed bramami miasta — kto się odważył wejść w tłum, nie mógł liczyć na to, że się z niego wydobydzie. W dodatku słońce zaczęło się zniżać i robiło się coraz zimniej. Tłum wzrastał z każdą chwilą. Konający i zmarli pomieszani byli z żywymi. Wtedy postanowiliśmy zejść z drogi prowadzącej do miasta i obszedłszy je naokoło, wejść z innej strony. Zabrało to niecałe półgodziny i udało się nam wreszcie wejść bez przeszkody na ulice napełnione bagażami, żołnierzami, zbiegami z okolicy i miejscowymi mieszkańcami. Ale dokąd się teraz zwrócić? Gdzie szukać pomocy? Nagle przypomniało nam się, że podczas pochodu do Rosyi, oficerów naszych przyjmował gościnnie jakiś pan Malewski, blizki krewny naszego pułkownika. Zdało się nam rzeczą najnaturalniejszą, żeby się zwrócić do niego i prosić o nocleg. Ale można sobie wystawić naszą radość i zachwyty, kiedy po przybyciu

tam zastaliśmy samego pułkownika, rachmistrza pułkowego i mnóstwo znajomych i nieznanym oficerów, którzy znaleźli gościnne przyjęcie w tym domu. Był tam również i porucznik Gordon,

153

dowodzący naszym *depôt* w Toruniu, który na wieść o bitwie pod Borodinem, pospieszył tu z bagażami, ale został zatrzymany przez komendanta. I on sam i nasze mienie zostało tym sposobem wplątane w niebezpieczeństwo.

Wierny służący Maciejowski i dzielny sierżant Wasilenko, wnieśli mnie po schodach na górę i umieścili na łóżku, stojącym w nieogrzanym pokoju. Mój stary przyjaciel, Gordon, z którym m razem leżałem w szpitalu jeszcze w Teruelu, wystarał się o materac, pomógł mi rozebrać i owinął w ciepłą kołdrę. Byłem na pół umarły — zaledwie mogłem zebrać myśli, Gordon dał mi koszulę, a służący zabrał moją odzież, żeby ją nad ogniem oczyścić z robactwa i dopiero po kilku filiżankach gorącego piwa z imbirzem i pod ciepłą kołdrą odzyskałem o tyle siły, żeby słuchać tego, co mi opowiadano, i odpowiadać na to, o co mnie pytano. Żyd doktor obejrzał i opatrzył nasze rany, ale prócz tego nie chciał się niczem więcej zająć — przepisał mi na rany, które pod pachami zastał mocno zaognione, jakąś maść bardzo skuteczną. Wieczorem zasnąłem snem kamiennym, który jednak przerywały mi najdziwniejsze wrażenia. Wszystkie przerażające sceny, jakich świadkiem byłem w ciągu ostatnich dwóch tygodni, przesuwały się przedemną. Umyty, oczyszczony, trochę pokrzepiony i posilony kilku filiżankami gorącego piwa (bo kawy nie było), mogłem nazajutrz rano należeć do rady, którą zebrał pułkownik. On jeden tylko ocalał ze wszystkich dowódców pułkowych — o jenerale, dowódcy dywizyi, nie było wieści. Wiadomo tylko było, że w mieście jest Murat, Eugeniusz, Berthier, Davoust, Oudinot, Victor i cała masa rozmaitych jenerałów — nasz pułkownik rozmawiał z Berthierem, ale powrócił z niczem. Miasto zalane było zbiegami, którzy rabowali magazyny. Pułkownik wysłał oficerów i żołnierzy z poleceniem sprowadzenia do jego kwatery wszystkich naszych

154

niedobitków, których spotkają. I rzeczywiście zebrało się z jakich 60-ciu zdrowych, a między nimi kilku oficerów. Sztandary 3-go pułku, które pułkownik wiozł od samej Berezyny, złożone zostały na małych, lekkich saneczkach, zaprzęzonych w dwa ręce konie. Trzem oficerom poruczono specjalną straż nad nimi. Potem wpuszczono do miasta ciężko rannych i umieszczono w naszym domu. Jeden oficer z 20 ludźmi został wyprawiony po żywność. Pułkownik od marszałka Berthiera w którego sztabie dawniej służył — otrzymał awizację na 30,000 franków do *payeur général*, któremu je szczęśliwie wypłacił. Połowa tej sumy została rozdzielona pomiędzy oficerów, podoficerów i żołnierzy. Z naszego *depôt* powydawano obuwię, płaszcze, czapki, koszule i wehniałe pończochy, jednym słowem, nie brakowało niczego, co mogło być potrzebne. Jednocześnie doprowadzono do porządku broń i rozdano naboje.

9-go wieczorem rozeszła się pogłoska o napadzie kozaków na miasto — słychać było rzeczywiście strzały. Krzyki zamieszanie na ulicach było straszne, przypuszczać można, że jako tako poprowadzony atak, poparty kilku granatami, rzuconymi na miasto, byłby z niego wypłoszył całą kompanię, króla, wicekróla i marszałków. Zacząwszy od Murata, a skończywszy na najmłodszym oficerze, wszyscy potracili głowy, pomimo, że nikomu nie zbywało na odwadze, żeby śmierć ponieść bez lęku. Ale okoliczności były silniejsze od ludzi. Sam Napoleon, który przez to dezorganizujące zapędzenie się w głąb Rosyi, zniweczył armię, zanim jeszcze przyszło do bitwy, winien był wszystkiemu złemu, które jak nieuleczalny rak rozpanoszyło się z niepojętą szybkością i zniszczyło do szczytu cały organizm armii.

Często mi się przypominają słowa Marmonta, który czcił z entuzjazmem Napoleona — wyrzeczone o nim:

155

L'orgueil avait remplacé les éclairs du génie.

Kiedy się rozległy pierwsze strzały, nasz pułkownik pobiegł do Murata po rozkazy. Zastał go na przedmieściu Kowieńskim, na radzie z Berthierem, Eugeniuszem i innymi.

— *Il n'y a point de moyens de résister — il faut continuer la retraite — on donnera l'ordre à l'armée de se mettre en mouvement: lâchez d'abord de gagner le Niemen, et puis nous verrons.*

I pułkownik powrócił z tą rozpaczliwą wiadomością, która spadła na nas jak piorun. Rozpoczęły się zaraz przygotowania do wymarszu. Pułkownika niepokoiła wątpliwość, czy my — ranni zdołamy wytrzymać podróż.

— Pozostanie tutaj — to śmierć nieunikniona — odpowiedziałem mu i ruszyłem odważnie w pochód. Tylko około dwudziestu naszych ludzi zmuszonych było pozostać.

Przedarliśmy się przez kłęb wozów i bagażów do bramy miasta i na gościniec, który jak okiem było sięgnąć, pokryty był wozami. I tu niewiekszy panował porządek.

— Mój Boże! Znowu powróciły dawne zwyczaje! — zawołał jeden z żołnierzy.

I miał zupełną słuszność. Ludzie z bronią i bez broni, armaty, sanie, wozy, wszystko tłoczyło się razem zbite w pstrą cizbę. Z największą trudnością przychodziło nam trzymać się razem. Po całogodzinnym pochodzie nagle utknęła cała kolumna i ujrzelśmy przed sobą istne morze ludzi. Wysłani na zwiady posłańcy powrócili z wiadomością, że pierwszy wóz na gościńcu, skutkiem gołolędy nie może wyjechać pod górę, że inne próbowały objechać to miejsce wokoło i że skutkiem tego rozciągnęła się szeroko na całej przestrzeni aż do lasu linia niemożliwie splątanych wozów. Utknęły tam resztki francuskiej artylerii, niesłychane mnóstwo bagażów i rannych, a wreszcie kasa wojenna, w której

156

było dwanaście milionów franków — zabrane w wojnie trofea i zdobyte sztandary, które do samego Wilna zdołaliśmy dowieść. Była to druga Berezyna, tylko, że tu wystąpiło jeszcze jawniej zezwierzenie nicponów i rabusiów. Dla nas najgorszym było to, że nasz oddziałek został rozproszony. W końcu pozostali ze mną i Garszyńskim tylko dwaj kapitanowie — Garlicki i Wandorf — oraz dwaj żołnierze, odkomenderowani do straży przy sztandarach pułkowych.

— Trzeba zwrócić się na lewo — powiedział Garszyński i starać się okrążyć wzgórze.

Tak też i zrobiliśmy. Wyprężono konie, żeby je łatwiej wyprowadzić ze skłębionego tłumu: Garlicki, człowiek atletycznej postawy i Wandorf, małego wprawdzie wzrostu, ale bardzo silny — zaprzęgli się do sani, żołnierze prowadzili konie, a my szliśmy za nimi pieszo. Z początku wszystko było dobrze. Z jednego miejsca zobaczyliśmy gościniec zakręcający na lewo, a na nim maszerującą kolumnę i dużo wozów. Był to korpus Poniatowskiego, w pochodzie do Warszawy. My zaś przy wymarszu z Wilna otrzymaliśmy rozkaz pójścia do Torunia, musieliśmy zatem kierować się na Kowno. Zwróciliśmy się więc na prawo, ale dostaliśmy się wnet między zarośla i wzgórze, które utrudniały niesłychanie pochód. Garszyński i ja byliśmy więcej niż wyczerpani, nie mogliśmy się na małe saneczki, obawiając się zmarznięcia. Siły towarzyszków nie wystarczyłyby do ciągnięcia na sankach i nas. Wśród tych smutnych rozmyślań dostaliśmy się na gościniec. Dzień zaczynał świtać. W tem za nami rozległy się strzały. Nieokielznany tłum pędził w dzikim nieładzie, wszyscy krzyczeli:

— Kozacy! kozacy!

Zostaliśmy odłączeni od naszych towarzyszków i pozostaliśmy sami tylko we dwóch, Garszyński i ja. Ale strzały wkrótce ucichły i spokój powrócił.

157

Słyszałem od Francuzów, że ta awantura przypuszczalnie wynikała z fałszywego alarmu, zrobionego w celu wywołania zamętu dla swobodnego zrabowania skarbcza cesarskiego i wydarcia innym zdobytych łupów. Później dowiedziałem się, że istotnie skarbiec został zrabowany i popełniono „cent horreurs”, oprócz tego, jak mi opowiadał jeden stary, uczciwy Francuz, kapral grenadierów, z ręką na temblaku:

— *La cause de nos désastres* — mówił — *c'est le grand nombre des lâches et infâmes qui déshonorent l'armée; il y a plus de cette canaille sans armes, que toute l'armée d'Italie comptait jadis des bayonnettes.*

Wspominał kampanię w Szwajcaryi w 1799 r., którą odbył i zapewniał, że wojsko tam cierpiało więcej. Jakaż to zmiana! — myślałem sobie — Bagration i Gudin, stojący tam przeciwko sobie i teraz pod Smoleńskiem i pod Możajskiem. W tejsze chwili padł na drodze jakiś nieszczęśliwy i drgał jeszcze biedak, kiedy go już obdarto, a tym czasem tysiąc płaszczy, mundurów i butów pozostawiono w Wilnie!

— *Tenez!* — zawołał kapral. — *Ce sont précisément ces infâmes, dont je parlais tantôt!*

Tak jak on, myślało i czuło tysiące ludzi, a jednak nikt nie był w stanie przywrócić porządku. Uszliśmy już dobry kawał drogi, kiedy Garszyńskiego opuściły siły.

— Kapitanie! — powiedział nagle. — Już nie mogę iść dalej.

Usiedliśmy, na małym pagórku, z którego był rozległy widok. Kolumna uciekających wiała się na kształt długiego szarego węża, na śniegiem pokrytej równinie. Wszyscy mijali nas tak obojętnie, jak my przedtem mijaliśmy tysiące innych. W dali — w stronie Wilna — słychać było niekiedy armatnie strzały.

— Widzę, że już ze mną koniec! — powiedział

158

Garszyński, kiedy pochód zaczął rzadnieć i gromady włóczęgów coraz rzadziej przeciągały. — Nie mogę iść dalej.

— Więc niech się stanie, co się ma stać — odpowiedziałem. — Zostanę z tobą, mógłbym iść co najwyżej godzinę, więc lepiej już nam razem się trzymać.

Ale nie mogę zaprzeczyć, że ogarnęło mnie gorzkie uczucie. Przebyłem od Moskwy przeszło 850 wiorst i teraz tak blisko celu, kiedy przed kilku zaledwie godzinami byliśmy jeszcze wśród grona kolegów, zostać wydanym na zgubę — ciężko było poddać się losowi! Cała nasza uwaga zwróconą była na wojsko, które na gościńcu wileńskim stanowiło rodzaj tylnej straży — gdy i ci przejdą mimo nas, los nasz już będzie rozstrzygnięty. Nie mówiąc nic, wpatrywaliśmy się w tamtą stronę. Wtem zobaczyliśmy nagle dwóch jeźdźców, jak nam się zdawało, w znacznej jeszcze od nas odległości pędzących z boku ku drodze.

— To kozacy! — przemówił Garszyński. — Zaraz się dowiemy, co o tem myśleć.

Im więcej zbliżali się ci mniemani jeźdźcy, tem większa ogarniała nas wątpliwość: widzieliśmy wprawdzie dwa konie, ale jeźdźców nie było i zdawało się, że to są sanie, pędzące galopem ku gościńcowi. Można sobie wystawić naszą radość i zdumienie, kiedyśmy spostrzegli na tych saniach, dobrze wyładowanych, zaprzężonych w dwa ręce, doskonale utrzymane konie, żołnierza z naszego pułku, tego samego Jędrzejewskiego, którego w obozie pod Moskwą, jak wspomniałem, kazałem porządnie oćwiczyć. Zobaczywszy nas, zatrzymał się.

— Na miłość Boską, co panowie tu robią?! — zawołał. — Siadajcie prędko, nie mamy ani chwili do stracenia, za kwadrans będą tu kozacy!

Zeskoczył z sani, powsadzał nas i puścił się szalonym galopem. Wkrótce dogoniliśmy ostatnie

159

grupy maruderów, a kiedyśmy się dostali w samą zwartą ich masę, nasz woźnica skręcił bardzo zręcznie w bok, i zjechawszy z gościńca, jechał wzdłuż niego, ciągle wyciągniętym kłusem. Nie mogliśmy jeszcze ochłonąć z zadziwienia.

— To palec Boży! — powiedział nagle mój towarzysz i łzy napęłniły mu oczy ze wzruszenia nad tak cudownem ocaleniem.

Dojechawszy na czoło kolumny, zwolnił nasz woźnica biegu i dał nam duży kawał chleba i butelkę dobrej wódki. Nakoniec kolo jedenastej dojechaliśmy do małej miściny Iwie, która pełna była ludzi.

— Panie kapitanie — powiedział nasz zbawca — nie możemy tu zostać między tymi Francuzami i Włochami, zabiliby nas i zabrali nasze konie i sanki, możemy nocować tylko razem z naszymi.

Pojechaliśmy dalej, ale już wolniej. I jakby w nagrodę za te godziny męki i niepokoju, przy ostatnich domach miściny zastaliśmy całą naszą kolumnę zebraną na biwaku. Można sobie wystawić radość kolegów. Dałem naszemu zbawcy ośm napoleondorów i kupiłem od niego konie i sanki, ale z tym warunkiem, że przy mnie pozostanie. Wszyscy chcieli kupować sanie, ale, że ja byłem już ich właścicielem, więc ustały wszelkie targi. Kolumna nasza wzrastała w ciągu dnia, tak, że było już w niej mnóstwo oficerów i 60 — 70 żołnierzy pod bronią, którzy mogliby stawić czoło włóczącym się wkoło kozakom. Ale dzień ten miał zakończyć się gorzej. Zaledwie po doskonałym posiłku układli się do snu, rozległ się nagle okrzyk:

— Pali się!

I jasne płomienie wzbily się w górę z tylnej części domu. Rozłożyli się tam Szwajcarzy i rozpalili wielki ogień, który wnet przerzucił się na dom. Połączonym siłom naszych ludzi udało się zburzyć dom i opanować pożar, ale o spoczynku, którego

160

nam tak było potrzeba, nie mogło być nawet mowy. Nazajutrz rankiem ruszyliśmy w dalszy pochód. Garszyński, ja i ciężko ranny sierżant wsiedliśmy na sanie, do który ch włożono resztki zapasów żywności, i pojechaliśmy za wojskiem. Kiedyśmy zbliżali się do Żyźmor, wpadł na nas tłum ludzi z krzykiem:

— *Des cosaques! Des cosaques!*

Nasz oddział wysunął się zaraz na czoło pochodu, ale w miasteczku nie zastaliśmy nieprzyjaciela. Po kilkogodzinnym wypoczynku ruszyliśmy dalej. Ludzie szli tak rażno, że często musieliśmy jechać truchtem, żeby im nadażyć. Przybyliśmy wcześniej do Rumszyszek. I tam opowiadano o kozakach, my sami widzieliśmy nad wieczorem jeźdźców przesuujących się bokiem, więc dla bezpieczeństwa porozstawialiśmy warty. Wieczorem toczyły się walne narady, czy nie lepiej byłoby tutaj przeprowić się przez Niemen, omijając Kowno i skierować się na gościniec warszawski. Ale pułkownik odrzucił ten plan stanowczo. Chciał on, tak jak mu nakazano, iść na Kowno i Królewiec do naznaczonego *depôt général*. Wprawdzie staraliśmy się przekonać go, że przybędziemy wcześniej do celu, jadąc skośnie; ale pułkownik, zawsze łagodny, przyjął to z gniewem i odpowiedział krótko:

— Zostawiam wam do woli, jaką drogę zechcecie obrać, a ja wypełnię rozkaz, jaki mi dano.

Następnego dnia przybyliśmy wcześniej do Kowna. Zastaliśmy załogę pod bronią i porządek w mieście. Wzniesiony świeżo szaniec przedmostowy i inne prócz niego szaniec świadczyły, że zdawano sobie sprawę z ważności tego punktu. Noc przepędziliśmy w małym budynku, na gościńcu do Wiłkowyszek. Od Moskwy do Kowna przebyliśmy 969 wiorst, czyli około 140 mil, 95 wiorst od Wilna — 18 mil mniej więcej przeszliśmy przez jedną noc i trzy dni. Zobaczywszy pod

161

Kownem ostatni słupek wiorstowy, żołnierze zaczęli wołać:

— Przeklęty kraj!

Nazajutrz, 13-go grudnia, kiedyśmy gotowali się do pochodu, wszedł pułkownik, trzymając w ręku papier i zawołał kapitana Kupścia, mnie i porucznika Garszyńskiego.

— To jest rozkaz dla ciebie — zwrócił się do Kupścia — pojedziecie naprzód z Brandtem i Garszyńskim do Torunia, a tam masz *agir en conséquence* — dodał, wręczając mu papier.

Podał każdemu z nas rękę, wręczył Kupściowi 1,000 franków w złocie, żeby wszystko, co potrzeba obstałowa, a w razie potrzeby nabył i zakończył poleceniem, żebyśmy jechali najkrótszą drogą i wyjeżdżali jak najprędzej. Pożegnaliśmy się z towarzyszami, wsiedli do naszych sani i ruszyli do Wiłkowyszek doskonałą drogą, w dzień pogodny, lecz mroźny. W Wiłkowyszkach uzupełniliśmy naszą garderobę podróżną; Kupść kupił sobie wielki kozuch, Garszyński również. Ja pozostałem przy moim kaftanie, tylko kupiłem dwie skóry baranie, któremi poowijałem nogi. Dziwnym sposobem nic tu nie wiadano o strasznem położeniu armii, a i my wystrzegaliśmy się rozgłaszania tej wiadomości.

W Wiłkowyszkach odbyliśmy naradę co do dalszej podróży i rozstrząsnęliśmy rozkaz pułkownika.

Potem następowało mnóstwo szczegółów i objaśnień, ale na nieszczęście, ta cała rzecz, dobrze zapoczątkowana, skończyła się na niczem, bo kiedyśmy wydali masę pieniędzy, urządzili warsztaty i przygotowali wszystko, żeby zabrać się żwawo do szycia mundurów i obuwia, przyszedł rozkaz wymarszu do Poznania.

Podróż naszą kierowaliśmy tak, żeby o ile możności unikać tłumy maruderów. Przez Gołdapię, Węgoborek, Lec, Mikojałki, Szczytno. Nidbork,

Brodnicę i Golub skierowaliśmy się prosto do Torunia.

Jechaliśmy, o ile pozwalały nasze i naszych koni siły, przepędzaliśmy nocę w miastach i po wsiach, najwygodniej jak było można. Wieczorem wywiadywaliśmy się o drogę na następny dzień i jechaliśmy dalej po dobrych przeważnie drogach. Ponieważ nigdzie nie żądaliśmy kwater, tylko wszędzie płaciliśmy za mieszkanie i życie, nie spotykaliśmy żadnych trudności. Przyjmowano nas wszędzie niesłychanie grzecznie, a cała podróż kosztowała tanio.

26-go dojechaliliśmy do Torunia, gdzie zatrzymaliśmy się jeden dzień. Skorzystałem z czasu i pojechałem z Garszyńskim do moich krewnych, gdzie przybyliśmy w sam wieczór Sylwestrowy. Kiedy im powiedziałem w zaufaniu w jakim stanie jest armia, byli niepokieszeni.

— Mój Boże! — wołali z rozpaczą — więc znowu powtórzy się to, co było w r. 1807 i 1812! Nie pozostanie nam nic, oprócz, jednej koszuli na grzbiecie, a na dobitkę mogą nadciągnąć i Rosyane. Niewielka radość z tego niespodziewanego spotkania!

Pozostałem u krewnych, dopóki nie zaczęli zbliżać się Rosyane. Doktor z Inowrocławia opatrywał moją ranę, uważał, że goi się bardzo dobrze, ale powiedział, że upłynie jeszcze jakiś czas, zanim zupełnie powrócę do zdrowia.

Kiedy wojska rosyjskie zbliżyły się do Wisły, przybyła znaczna liczba uciekających oficerów z naszego pułku; znaleźli u nas, naturalnie, najserdeczniejsze przyjęcie i opiekę. Pomiędzy nimi było wielu takich, których uważaliśmy za poległych, naprzykład nieoceniony kapitan Rechowicz. Nad Berezyną otrzymał on postrzał w udo i prócz tego uszkodzenie stawu Tak samo jak Dobrzycki, został opatrzony na pobojuwisku, złożony na pustym wózku od amunicji i powieziony dalej.

Spokojny i rozumny człowiek, który nie stracił nigdy równowagi umysłu, kazał przystanąć w pobliżu biwaku, gdzie stał pułk, przynieść ze swoich bagażów najpotrzebniejsze rzeczy, mianowicie duże futro i żywność, a potem bez odpoczynku jechać drogą do Mołodeczna. Żywnością dzielił się ze swoim służącym, który miał pieczęć o koniach. Tym sposobem zdołał dojechać do Mołodeczna wcześniej, niż czoło maruderów. Kazał tam sprowadzić żyda i zapytał, ileby żądał, za dowieszenie go do Wilna? Po jakimś czasie Żyd przyszedł i zażądał 50 rubli. 25 otrzymał zaraz, drugie 25 miał dostać w Wilnie, i w godzinę potem już Rechowicz jechał na krytych saniach ze służącym i Żydem. Jechali gościńcem i bocznymi drogami, a drugiego dnia, wieczorem stanęli w Wilnie. Za pośrednictwem Żyda któremu wypłacił pozostałe 25 rubli, ugodził drugiego Żyda, który podjął się dostawić go do Kowna, z kąd przejechał na pruskie terytorium. Tam kupił małe saneczki, kazał je obić płótnem, nabył dobrego konia i szosą powoli dojechał do Torunia. I jego też wypłoszyli z tamtąd Rosyane do Poznania, dokąd poszliśmy razem. Rechowicz później był adiutantem Chłopickiego, razem z nim wystąpił ze służby polsko-rosyjskiej i umarł niedawno temu w Łowiczu. Był to człowiek dobrze wychowany, wykształcony, szlachetnego charakteru, prawdziwie rycerskiej odwagi, wierny przyjaciel i wzorowy kolega.

Mógłbym zacytować dużo podobnych wypadków ocalenia. Naprzykład dwóch braci, którzy w obozie, żeby ich tłumnie rozłączył na moście na Berezynie, związali się razem i obaj wpadli do rzeki. Dzielni pionierzy wyłowili ich obu, a setki innych utonęły. Obaj wyszli cało z największych niebezpieczeństw i polegli w kampanii w Niemczech.

Rozmawiałem później niejednokrotnie z oficerami różnych stopni i z podoficerami o tem rozprzężeniu armii, szczególnie z tymi, którzy do Orszy

i Bobrujska pozostali w szeregach. Wszyscy jednomyślnie zgadzali się na to, że nieporządek i brak karności w armii przygotowały grunt do tego rozprzężenia.

Dać jeszcze do tego należy, że wyżsi oficerowie, ze szkodą karności, ciągnęli za sobą wielkie tabory i bagaże, a do ich prowadzenia i eskorty zabierali żołnierzy z szeregów.

Oficerowie i żołnierze zgadzali się na to, że do samego Smoleńska nie było rzeczywistych powodów do rozprzężenia, które już tam wystąpiło tak wyraźnie. Pod Pułtuskim, pod Ostrołęką i pod Iłowem, mówili mi, było jeszcze zimniej, a jednak nikt tam nie widział żołnierza, któryby broń porzucił. Żywności także nie brakowało do tego stopnia, żeby to mogło usprawiedliwić tak straszne rozuzdanie. W Wiaźmie, gdzie, o ile pamiętam, miał dowództwo generał Perte, w Smoleńsku i w Orszy, gdzie dowodzili generałowie Carpentier i Jomini, dużo jeszcze żywności wpadło w ręce nieprzyjaciela.

Do zaprowadzenia porządku niezbędne było parę dni spokoju, ale na to zabrakło czasu.

Już od Krasnoje nie można było myśleć o jakimkolwiek ładzie: zdawało się, że ta masa 30,000—40,000 ludzi bez broni, a między nimi niemała liczba chorych i osłabionych, poddających się jak dzieci każdemu wpływowi, postradała resztki rozsądku. Ale i wyżsi oficerowie również postradali zupełnie jasność sądu. Nikt nie przewidywał kampanii zimowej. Sam Napoleon w jednym z biuletynów, wydanych w Moskwie, wychwalał piękną pogodę i porównywał te dni październikowe do dni wycieczek dworskich w Fontainebleau. To, że jeszcze w październiku było tak pogodnie tam, gdzie według twierdzenia generała Tolla, ludzie zwykle o tej porze jeździli sankami, uspiło wszelkie obawy i dopiero pierwszy mróz, 27-go października, otrzeźwił wszystkich z odurzenia. A gdy wreszcie 4-go listopada

spadł pierwszy śnieg, dopełniło to już miary nieszczęścia. Starzy oficerowie mówili:

— Niegorzej nam tu było, niż w r. 1806, kiedyśmy się znaleźli *dans les landes, les marécages et les bois de la Narew*. W Pułtusku, na Wołyniu, w Działdowie, niemniejsze trudności mieliśmy do zwalczania. Korpusy Davousta, marszałków Lanna i Ney'a w Prusach miały zaledwie połowę żołnierzy, którzy walczyli pod Auerstädem, korpus Augereau zmalał do jednej trzeciej części. Znosiliśmy zimno, głód i trudy wszelkiego rodzaju, a mimo to nikt tam nie widział jednego żołnierza bez broni. Ci wlekli się tylko po za tyłami armii. Klęska w Rosji wynikła z tego, „*que les jeunes soldats ne sont plus rompus à la fatigue, que Messieurs les généraux et les officiers d'état major, sont déshabitués de partager les fatigues avec le soldat.*“

Wspominali ci starzy, że żołnierzom z korpusu Davousta, którzy bez usprawiedliwionych powodów nie brali udziału w bitwie pod Iłowem, nazajutrz wymierzono chłostę na przesiąkłym krwią pobojuwisku.

Korpus Poniatowskiego zawdzięczał tylko starannemu utrzymaniu koni, że przyszedł do Smoleńska ze wszystkimi działami. I gdyby nie ciężkie straty, jakie poniósł w obu bitwach pod Tarutinem 4 października i pod Czyrykowem 18 października, byłby mógł razem z legią Nadwiślańską i dywizją Dąbrowskiego wystawić około 10,000 wyborowego wojska z liczną artylerią.

Wszyscy myśleli, że spełnili obowiązek, dowodząc i walcząc odważnie, kiedy było potrzeba. Ale większym jeszcze błędem było to, że nikt nie pomyślał w jaki sposób rozdzielać znalezione żywność. W Smoleńsku, Orszy, Wilnie i Kownie ludzie cierpieli głód pod napelnionymi magazynami, dopóki żołnierze ich nie zrabowali. Gdyby dowódcy kazali

166

byli porozstawiać na gościńcu pod strażą chleb, suchary, kaszę, owies i wódkę i rozdzielać je między nadciągające wojska, byłoby starczyło dla wszystkich. Sama Wiaźma, Dorogobuż, Dubrowno, Tołoczyn, miały zapasy dostateczne do zaopatrzenia w żywność 6,000 do 8,000 ludzi. Do tego przyłączył się następnie i ten błąd, że zamiast wyprawiać oddziały wojska w niewielkiem od siebie oddaleniu, któreby umożliwiło będącym w pochodzie korpusom podążyć sobie z pomocą w razie potrzeby, albo też pozwolić im iść razem, porozciągano je na znacznej odległości, a potem w rozkazach polecano rzeczy niemożliwe do wykonania. Przez to narażono wojsko na częściowe porażki. Brak jedności w dowództwie powiększył jeszcze nieszczęście i wystąpił już wyraźnie w bitwie pod Krasnoje, gdzie pojedyncze korpusy ponosiły tak wielkie straty. Zdaje się, że Napoleon sam nie zdawał sobie dokładnie

sprawy ze swego położenia. Ileż razy, gdy myślę o tej kampanii, przychodzą mi na myśl słowa Napoleona, które po wielu latach przeczytałem w jego Pamiętnikach:

„*Les premieres qualites du soldat sont: la constance et la discipline, la valeur n'est que la seconde*“.

A tych dwóch zalet brakowało właśnie wielkiej armii.

„*Toute armée qui débute, résiste difficilement aux premières épreuves de la guerre, et si elle a un long trajet à faire, diminue en proportion des distances à parcourir*” — pisze dalej Napoleon w swoich Pamiętnikach i sam musiał doczekać się tego w tej armii, która tak doskonale umiała walczyć. Że resztką wielkiej armii uszła z życiem, było to już winą nieprzyjaciela. O ile człowiek może przewidzieć i obliczyć i sądząc z tego, co się w wojsku działo, cała armia powinna była znaleźć grób w wodach Berezyny.

K O N I E C .

SPIS RZECZY

| | Str. |
|--|------|
| XXXV. Bitwa pod Mołyłowem. — Bezskuteczny pościg. — Przeprawa przez Dniepr. — Dubrowno. — Śmierć sierżanta Dachowicza. — Pochód do Smoleńska. — Energiczne rozporządzenia marszałka Davousta. | 5 |
| XXXVI. Wyjście z obozu. — Pochód do Krasnoje. — Koncentracja wojska. — Utarczka pod Krasnoje 4-go sierpnia. — Murat. — Pochód do Smoleńska. — Opis miasta. — Bitwa pod Smoleńskiem. | 18 |
| XXXVII. Opuszczenie Smoleńska. — Pochód przez pobojowisko pod Walutynem, Dorogobuż, Zemlewo, Wiaźmę, do Gzacka. — Skoncentrowanie armii. — Bitwa pod Szewardynem. — Utarczka 6-go września. — Bitwa pod Możajskiem 7-go. — Biwak na pobojowisku. — Pochód przez Możajsk, Krymskoje i t. d. | 49 |
| XXXVIII. Przybycie 14-go września do rogatek Moskwy. — Wejście wojsk do Moskwy. — Przejście przez miasto i rozłożenie się pod Koroszarowem. — Rabunek miasta. — Pożar. — Wymarsz do Panek. — Uwagi nad przyczyną pożaru. | 79 |
| XXXIX. Dalszy pochód. — Przejście rzeki Moskwy. — Pochód do Brownicy. — Zostają posłany do Moskwy z listami. — Kreml. — Powrót. — Pochód przez Kaszir, Dąbrowicę, Bachowicę. — Utarczka z jazdą rosyjską. — Dalszy pochód. — Bitwa 2 października pod Michałowem. — Bitwa pod Czernisznią. — Rana. — Przewiezienie do Moskwy. | 92 |
| XL. Przeniesienie do Moskwy. — Przybycie do szpitala. — Wyjazd gościńcem smoleńskim. — Troskliwość koleżeńska oficerów polskich. — Smutny stan rzeczy w Smoleńsku. — Dubrowna, Orsza, Tołoczyn, Bobrujsk, Borysów. — Niemożność posuwania się dalej. — Nietrafne rozporządzenia generała Dąbrowskiego i Bronikowskiego. — Przybycie nieprzyjaciela. — Zdobycie mostu. — Powrót do Bobrujska. | 111 |
| XLI. Spotkanie się z pułkiem 20-go listopada. — Odwrót do Berezyny. — Zbudowanie mostu powyżej Borysowa. — Przewiezienie przez most rannych z legii i wojska. — Udaje mi się szczęśliwie przejść razem z nimi. — Od 29-go listopada zaczyna się nasza niewypowiedziana nędza. — Pochód przez Pleszczenice, Mołodeczno, Smorgonie. | 129 |
| XLII. Wejście do Smorgoń. — Pochód przez Oszmianę i Miedniki. — Przybycie do Wilna. — Spotkanie z dowódcą pułku i niedobitkami legii. — Wyjazd z Wilna. — Odłączony od wojska zostają na drodze z kolegą. — Ratuje nas żołnierz z naszego pułku i dowozi do naszych. — Pochód przez Rumszyski i Kowno. — Podróż do Torunia. — Uwagi na zakończenie. | 145 |

